

Laureat Nagrody Bookera 2017

GEORGE  
**SAUNDERS**

LINCOLN W BARDO

**znak**

**LINCOLN W BARDO**

**GEORGE**  
**SAUNDERS**

**LINCOLN W BARDO**

Przekład  
Michał Kłobukowski

Wydawnictwo Znak  
Kraków 2018

...

Tytuł oryginału

*Lincoln in the Bardo*

Copyright © 2017 by George Saunders

Reading group guide copyright © 2017 by Penguin Random House LLC

All rights reserved.

Projekt okładki

Piotr Gidlewski

Opieka redakcyjna

Dorota Gruszka

Adiustacja

Anna Szulczyńska

Korekta

Katarzyna Węglarczyk

Łamanie Jan Szczurek

Copyright © for the translation by Michał Kłobukowski

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5542-5

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl) Społeczny Instytut  
Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Wydanie I, 2018. Printed in EU

*Dla Caitlin i Aleny*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## I

W dniu ślubu naszego miałem lat czterdzieści i sześć, ona zaś osiemnaście. Tak, tak — wiem, co pan sobie myśli: starszy mężczyzna (niechudy, łysawy, na jedną nogę kulawy, z drewnianymi zębami) korzysta z małżeńskich uprawnień ku utraپieniu młodej nieszczęśnicy...

Ale to nie tak.

Bo widzi pan, tegom właśnie postanowił nie robić.

Gdym w noc poślubną wdrapał się po schodach, czerwony na twarzy od trunków i tańców, zastałem ją wystrojoną w jakowąś zwiewną szatkę, w którą wbiła ją ta czy inna ciotka, a trzęsła się, aż jej trzepotał jedwabny kołnierzyk — więc nie mogłem.

Cicho do niej przemawiając, serce przed nią otwarłem: była piękna, a ja stary, szpetny, sterany; dziwneśmy zawarli małżeństwo — nie z miłości, lecz dla wygody; jej ojciec był ubogi, a matka chora. Dlatego trafiła pod mój dach. Doskonale to wszystko wiedziałem. I ani mi się śniło ją tknąć — com też jej oświadczył, widząc jej strach i... wstręt, dodałem.

Zapewniła mię, że wstrętu do mnie bynajmniej nie czuje, chociażem widział, że jej oblicze (nadobne, zarumienione) krzywi się przy tym kłamstwie.

Zaproponowałem, byśmy zostali... przyjaciółmi. Wszelkie pozory skonsumowania związku zachowując. I żeby czuła się w mym domu swobodną, szczęśliwą, starając się uczynić go własnym. Nic ponadto oczekiwać od niej nie zamierzałem.

I takeśmy żyli. Połączyła nas przyjaźń. Zażyła przyjaźń. Nic więcej. I aż tyle. Razem się śmiałyśmy, razem o sprawach domowych postanawiali. Pomagała mi bardziej zważać na sługi, mniej zdawkowo się do nich odzywać. Miała bystre oko i zdołała odnowić dom kosztem zaledwie ułamka spodziewanych wydatków. Ilekroć widziałem, jak się rozpromienia, kiedy wchodzi, lub czułem, jak opiera się o mnie przy omawianiu tej czy innej domowej sprawy, polepszało to los mój zaiste niewytłumaczalnie. Już przedtem byłem dość szczęśliwym, nie narzekam, aż tu nagle z ust sama mi się wyrывała ta oto prosta modlitwa: „Ona tu jest, wciąż tu jest”. Jak gdyby rwąca rzeka przetoczyła się przez mój dom, pozostawiając w nim wszechobecną woń świeżej wody i wrażenie, że jakowaś przyrodzona, zapierająca dech hojność stale krąży nieopodal.

Raz podczas wieczerzy sama z siebie jęła w przytomności kilkorga mych przyjaciół wychwalać me przymioty, mówiąc, że jest człek zacny, troskliwy, rozumny i łagodny.

Gdyśmy spotkali się wzrokiem, ujrzałem, że mówi szczerze.

Nazajutrz zostawiła mi na biurku liścik. Napisała w nim, że choć nieśmiałość broni jej wyrazić to uczucie mową lub uczynkiem, zaznana ode mnie dobroć przyniosła nader pożądany skutek: jest szczęśliwa i dobrze jej w naszym domu, pragnie zatem, jak to ujęła: „poszerzyć granice naszego wspólnego szczęścia w tej poufalej sferze, która dotąd pozostaje mi obcą”. Poprosiła, abym był jej w tej materii przewodnikiem, tak jak „byłem nim w tylu innych stronach dorosłości”.

List przeczytawszy, na wieczerzę się udałem. Żona ma wręcz promieniała. Wymieniliśmy szczerze spojrzenia, na obecność służby nie bacząc, zachwyceni tym, cośmy jakimś cudem zdołali sobie zbudować z jakże nieobiecującego tworzywa.

Owej nocy w jej łóżku dokładałem starań, aby nie być innym aniżeli dotąd: łagodnym, pełnym uszanowania, czci nawet. Niewieleśmy czynili krom pocałunków i wzajemnych uścisków, zechciej pan jednak sobie wyobrazić przepych owej nagłej swobody. Obojeśmy czuli wzbierające pożądanie (jakżeby inaczej), podszyte wszelako niespieszną, niezachwianą tkliwością, którąśmy między sobą zbudowali: godną zaufania więzią, trwałą i szczerą. Nie brakowało mi doświadczenia, za młodum bowiem dość się wyszumiał. Sporo czasu spędziłem

(wstyd powiedzieć) w Marmurowym Zaułku, na Scenie i w straszliwej Wilczej Jamie. Byłem też wcześniej żonatym i wcale dziarsko żem sobie w owym małżeństwie poczynał. Aliści moc tego nowego uczucia całkiem mię zaskoczyła.

Zapadło milczące postanowienie, że następnej nocy zapijemy się głębiej w ów „nowy łąd”, udałem się tedy rano do swej drukarni, walcząc z przyciąganiem, które niby grawitacja zatrzymywało mię w domu.

A właśnie ów dzień - niestety! - był dniem krokwi.

Tak, tak, co za pech!

Krokiew spadła spod stropu, trafiając mię o, tutaj, gdym siedział przy biurku. Nasze plany należało zatem odłożyć na później, dopóki nie wyzdrowieję. Za radą lekarza ległem więc w...

Swego rodzaju szpitalną skrzynię uznano... uznano za...

hans vollman

Wskazaną.

roger bevins iii

No właśnie, wskazaną. Dziękuję, przyjacielu.

hans vollman

Zawsze do usług.

roger bevins iii

Leżałem tedy jak kto głupi w szpitalnej skrzyni pośrodku salonu - tego samego, przez który niedawno (radośnie, wstydliwie, za ręce się trzymając) przeszliśmy do jej sypialni. Po jakimś czasie wrócił lekarz, zaczęli jego pomocnicy przenosić szpitalną skrzynię do szpitalnego powozu, ja zaś pojąłem... pojąłem, że nasze plany odłożyć należy na czas nieokreślony. Cóż za rozczarowanie! Kiedyż w pełni zaznam rozkoszy małżeńskiego łoża; kiedyż ujrzę jej nagą postać; kiedyż zwróci się ku mnie, owym szczególnym nastrojem owładnięta, ze zgłodniałymi ustami, zarumienionym licem; kiedyż jej włosy, wyuzdanie rozpuszczone, spłyną wreszcie na nas oboje?

No cóż, wyglądało na to, że trzeba nam czekać, dopóki ze wszystkim nie wydobrzeję.

Zaiste drażniący był to obrót zdarzeń.

hans vollman

Atoli wszystko ścierpieć jakoś da się.

roger bevins iii

I owszem.

Wyznam wszelako, żem w owym czasie bynajmniej tak tego nie odczuwał. Leżąc w szpitalnym powozie, jeszcze nie uwięziony, obaczyłem, że mogę na chwilę wydostać się ze szpitalnej skrzyni, czmychnąć, wzniecając małe wiry kurzu, a nawet nadtluc jeden z wazonów na werandzie. Lecz żonę mą i lekarza tak pochłonęła rozmowa o mym wypadku, że nic nie zauważyli. Nie mogłem tego znieść. Przyznam, że troszkę dałem się ponieść złości, aż psy pierzchły ze skowytami, bom przez nie przeniknął, sen o niedźwiedziu im zsyłając. Wtedy jeszcze tak potrafił! To były czasy! Dziś nie zdołałbym sprawić, żeby psu przyśnił się niedźwiedź, tak jak nie mógłbym zabrać tego oto naszego milczącego młodego przyjaciela na kolację.



(Bo też młodym się zda, nieprawdaż, panie Bevins? Z rysów twarzy? Z postury?)

W każdym razie wróciłem do szpitalnej skrzyni, płacząc tak, jak my tutaj płaczemy. Znaszli już ten rodzaj płaczu, młodzieńcze? Gdy tuż po przybyciu na ten szpitalny dziedziniec, paniczu, łzy cisną nam się do oczu, troszkę się napinamy, a w stawach pojawia się jakby lekko niezdrowe odczucie i różne drobnostki w nas pękają. Zupelnym nowicjuszom zdarza się nieco popuścić. I to właśnie zrobiłem owego dnia w powozie: popuściłem co nieco, będąc w szpitalnej skrzyni nowicjuszem furią zdjętym, i co z tego wynikło? Owo łajenko zostało ze mną do dziś i w rzeczy samej - oby nie wydało ci się to ordynarnym, paniczu, ani odrażającym; oby nie zaszkodziło rodzącej się między nami przyjaźni - wciąż leży tam na dole, w mej szpitalnej skrzyni, acz znacznie suchsze!

Mój Boże, toś ty jest dzieckiem?

To jeszcze dziecko, nieprawdaż?

hans vollman

Zapewne. Dopiero teraz to widzę.

Nadchodzi.

Niemal w pełni ukształtowany.

roger bevins iii

Najmocniej przepraszam. Dobry Boże. Jeszcze za dzieciństwa uwięznąć w szpitalnej skrzyni i musieć słuchać, jak ktoś dorosły szczegółowo opowiada o łajenku, które własną jego skrzynię kala... Nie jest to bynajmniej wymarzony sposób wkroczenia w nowy, hmm...

To chłopiec. Zaledwie chłopię jeszcze. Ojej.

Stokrotnie przepraszam.

hans vollman

## II

- Wiesz - rzekła do mnie pani Lincolnowa - Prezydent winien każdej zimy wydać kilka wystawnych kolacji, są one zaś nader kosztowne. Jeżeli urządzę trzy wielkie bale, wystawne kolacje będzie można wykreślić. Jeśli tylko zdołam nakłonić pana Lincolna, aby przyklasnął temu pomysłowi, nie omieszkałam wcielić go w życie.

- Moim zdaniem masz rację - powiedział Prezydent. - Przekonująco jej dowiodłaś. Będziemy chyba musieli wydać bale.

Tą modą rozstrzygnąwszy sprawę, przygotowania do pierwszego balu wszczęto.

Elizabeth Keckley, *Za kulisami, czyli trzydzieści lat niewoli i cztery lata w Białym Domu*

Abolicjoniści potępiali urządzane w Białym Domu zabawy, toteż wielu odmówiło wzięcia w nich udziału. Ben Wade ujął podobno swoją odmowę w ostrych słowach: „Czyżby Prezydent i pani Lincolnowa nie wiedzieli o trwającej wojnie domowej? Państwo Wade w każdym razie o niej wiedzą, toteż nie zamierzają oddawać się ucztowaniu i tańcom”.

Margaret Leech, *Pobudka w Waszyngtonie, 1860-1865*

Dzieci - Tad i Willie - raz po raz dostawały prezenty. Zachwycony swym kucykiem, Willie upierał się jeździć na nim co dnia. Pogoda zmienną była, więc się przeziębził i srodze zaniemógł, a niebawem jął mocno gorączkować.

Keckley, *op. cit.*

Wieczorem piątego lutego Willie cały płonął od gorączki, podczas gdy jego matka stroiła się przed balem. Przy każdym oddechu z trudem wciągał powietrze. Pani Lincolnowa widziała, że chłopiec ma zajęte płuca, więc bała się o niego.

Dorothy Meserve Kunhardt i Philip B. Kunhardt jr, *Dwadzieścia dni*

### III

Przyjęcie [u Lincolnów] zajadłe krytykowano, lecz przybyły na nie wszystkie ważne osobistości.

Leech, *op. cit.*

W ścisłu nie sposób było sięgnąć wzrokiem dalej aniżeli na kroków parę; oszałamiał istny kalejdoskop woni, wód, perfum, wachlarzy, tres, kapeluszy, wykrzywionych twarzy, ust otwartych w raptownym krzyku - radości czy strachu, trudno było orzec.

Pani Margaret Garrett, *Wszystkom to widziała. Wspomnienia czasu grozy*

Co kilka kroków stały w wazonach egzotyczne kwiaty z prezydenckiej cieplarni.

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Efektowną grupę tworzył korpus dyplomatyczny: lord Lyons, monsieur Mercier, pan Stoeckl, pan von Limburg, señor Tassara, książę Piper, chevalier Bertinatti i pozostali.

Leech, *op. cit.*

Wschodnią Salę rozjaśniały wielopiętrowe żyrandole wiszące nad dywanami w odcieniu morskiej zieleni.

David von Drehle, *Wzlot ku wielkości*

Wielojęzyczna wrzawa rozbrzmiewała w Błękitnej Sali, gdzie generał McDowell wysławiał się doskonałą francuszczyzną, budzącą podziw Europejczyków.

Leech, *op. cit.*

Każda nacja, rasa, ranga, wiek, wzrost, tusza, rejestr głosu, fryzura, postawa i woń zdawała się mieć tam swych przedstawicieli: jakby nagle ożyła tęcza, wznosząc poliglotyczne okrzyki.

Garrert, *op. cit.*

Przybyli członkowie gabinetu, senatorowie, członkowie Izby Reprezentantów, znamienici obywatele i piękne kobiety z niemal wszystkich Stanów. Wśród obecnych niewielu było oficerów poniżej rangi dowódcy dywizji. Stawili się francuscy książęta, a także książę Felix Salm-Salm - arystokrata i oficer kawalerii, który służył w sztabie generała Blenkera...

Leech, *op. cit.*

... szykowny Niemiec Salum-Salum; bracia Whitneyowie (podobni jak dwie krople wody bliźniacy, których odróżnić można było tylko po tym, że jeden miał naszywki kapitańskie, a drugi porucznika); ambasador Thorn-Tooley; państwo Fessendenowie; powieściopisarka E.D.E.N. Southworth; George Francis Train i jego piękna żona („dwakroć odeń młodsza i tyleż wyższa”, jak w owym czasie powszechnie dowcipkowano).

Garrett, *op. cit.*

W ogromnej kompozycji kwiatowej nieomal tonęła grupa przygarbionych starców, którzy stali, głowy chyląc ku sobie, namiętą dysputą pochłonięci. Byli to Abernathy, Seville i Kord, wszyscy trzech mieli zaś umrzeć przed końcem roku. Siostry Casten, straszliwie wysokie i blade,

stały nieopodal w przechyle, niby alabastrowe pylniki w pogoni za światłem, usiłując podsłuchać rozmowę.

Jo Brunt, *Cytadela Unii. Wspomnienia i wrażenia*

Stanąwszy na czele, o jedenastej pani Lincolnowa z Prezydentem pod rękę poprowadziła cały korowód wokół Wschodniej Sali.

Leech, *op. cit.*

I gdyśmy tak parli przed siebie, jakiś nieznajomy zaprezentował nowy taniec zwany Jim Wesolek. Wobec nalegań zgromadzonych wokół niego powtórzył popis, który nagrodzono brawami.

Garrett, *op. cit.*

Ku powszechnej uciezce wyszło na jaw, że któryś służący zamknął drzwi paradnej jadalni i zapodział klucz. „Wzywam do marszu naprzód!” - zawołał ktoś z gości. „Dalszą ofensywę opóźnia jedynie idiotyzm dowódców” - rzekł inny, drwiąco cytując wygłoszone niedawno w Kongresie przemówienie.

Leech, *op. cit.*

Otóż i - pomyślałem - owa niekarna społeczność ludzka, która - zbiorową swą tępotą rozplomieniona - popycha zbrojny naród ku epickiemu kataklizmowi wojny, nieświadoma jeszcze, czym on będzie: zwalisty, młócający na oślep organizm, równie prawy i dalekowzroczny jak szczenię nie-szkolone.

Z prywatnego listu Alberta Sloane'a, za zgodą jego rodziny

Wojna trwała zaledwie od roku. Jeszcześmy nie wiedzieli, czym jest.

E.G. Frame, *Upojna młodość. Dorastanie podczas wojny domowej*

Kiedy wreszcie odnaleziono klucz i tłum rozradowanych gości wlał się do jadalni, pani Lincoln miała prawo pysznić się wspaniałością posiłku.

Leech, *op. cit.*

Sala mierzyła dwanaście metrów wzdłuż i dziewięć wszerz, mieniła się zaś tyloma barwami, że wydawała się pełna, zanim jeszcze ktokolwiek do niej wszedł.

Daniel Mark Epstein, *Lincolnowie. Wizerunek małżeństwa*

Drogie wina i inne trunki lały się szeroką strugą, a ogromną japońską wazę napełniono prawie czterdziestoma litrami szampańskiego ponczu.

Leech, *op. cit.*

Pani Lincolnowa najęła sławnego nowojorskiego kuchmistrza C. Heerda. Koszt ponoć przewyższył dziesięć tysięcy dolarów. Nie zaniedbano żadnego szczegółu; żyrandole tonęły w girlandach kwiatów, a stoły jadalne przyozdobiono płatkami róż rozsypanymi po specjalnie przyciętych prostokątnych lustrach.

Brunt, *op. cit.*

Grubiański, przesadny popis, i to podczas wojny.

Sloane, *op. cit.*

Elsa zaniemówiła i tylko raz w raz dłoń mą ścisnęła. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że właśnie tak ucztowali starożytni. Cóż za hojność! Ileż dobroci okazali nam drodzy gospodarze!

Petersen Wickett, *Nasza stolica podczas wojny*

W jadalni stał długi stół nakryty olbrzymim zwierciadłem, na którym umieszczono potężne budowle z cukru. Najłatwiej było rozpoznać Fort Sumter, okręt wojenny, świątynię wolności, chińską pagodę, szwajcarski domek...

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Cukiernicza miniaturka świątyni, a wokół niej Bogini Wolności, chińskie pagody, rogi obfitości, fontanny tryskające strugami waty cukrowej pośród gwiazd...

Stanley Kimmel, *Waszyngton pana Lincolna*

Ule, w których roily się pszczoły całkiem jak żywe, napełniono *charlotte russe*. Dyskretną aluzję do wojny stanowił hełm ozdobiony powiewnym pióropuszem z waty cukrowej.

Dzielną amerykańską fregatę o nazwie „Unia”, zbrojną w czterdzieści armat i płynącą pod pełnymi żaglami, podpierały spowite gwiazdzistym sztandarem cherubiny...

Leech, *op. cit.*

Nieco z boku na stoliku wznosił się cukrowy Fort Pickens, otoczony czymś jadalniejszym aniżeli barbety, w postaci smakowicie przyrządzonych „kurcząt z dodatkami”...

Kimmel, *op. cit.*

Okrywająca Panią Wolność powłóczysta suknia z cukru opadała niby draperia na chińską pagodę, wewnątrz której maleńkie rybki z czekolady pływały w sadzawce z waty cukrowej. Nieopodal krzepcy aniołowie z ciasta odganiał machaniem rąk pszczoły zawieszane na cieniuteńkich nitkach z cukrowej polewy.

Wickett, *op. cit.*

Zrazu misterna i doskonała, owa cukiernicza metropolia z każdą godziną doznawała coraz większego uszczerbku, biesiadnicy porywali bowiem całe kwartały ulic, biorąc je w garście lub chowając do kieszeni, aby po powrocie do domu poczęstować nimi najbliższych. Kiedy późniejszym wieczorem nakryty lustrem stół zakołysał się pod naporem tłumu, niektóre słodkie budowle na oczach widzów w gruzach legły.

Garrett, *op. cit.*

Raczyli się kruchą bazanciną, tłustymi przepiórkami, stekami z dziczyzny i wirginijską szynką. Objadali się mięsem głowienek, świeżym indykiem i tysiącami przybrzeżnych ostryg, które zaledwie przed godziną wyjęto z muszli i włożono do lodu, a teraz pochłaniano z głośnym siorbaniem, już to na surowo, już to w zasmażce z masła i tartej bułki albo duszone w mleku.

Epstein, *op. cit.*

Tych oraz innych smakołyków podano taką obfitość, że gromadny szturm z górą tysiąca gości nie zdołał ich w widoczny sposób przetrzebić.

Kimmel, *op. cit.*

Wieczór wyprany był jednak z radości, ponieważ gospodyni i jej mąż tylko się mechanicznie uśmiechali. Raz po raz wchodzili na piętro, żeby sprawdzić, jak ma się Willie, on zaś wcale nie miał się dobrze.

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

#### IV

Gęste tony Orkiestry Marynarki Wojennej dobiegały z sal parteru do pokoju chorego jako cichy, stłumiony szmer, szalony, ledwie słyszalny szloch dalekich duchów.

Keckley, *op. cit.*

Willie leżał w sypialni Księcia Walii o ścianach ozdobionych ciemnofioletowymi makatami ze złocistą frędzlą.

Epstein, *op. cit.*

Policzki jego ładnej, krągłej buzi płonęły od gorączki. Stopy niespokojnie poruszały się pod rdzawoczerwoną narzutą.

*Historia tuż pod ręką*, opr. Renard Kent, wypowiedź pani Kate O'Brien

Zgrozę i konsternację prezydenckiej pary łączył sobie każdy, kto kochał dziecko i doznał owego strasznego przecucia, wspólnego wszystkim rodzicom, że Los życie malca niekoniecznie aż tak wysoko szacuje, może tedy nim rozporządzić wedle swego widzimisie.

*Wybrane listy Edwine Willow z lat wojny domowej*, opr. Constance Mays

Ze ściśniętymi strachem sercami po raz kolejny zeszli na parter posłuchać występu śpiewaków w osobach rodziny Hutchisonów, która z przerażającym realizmem wykonała *Płonący statek*, co wymagało odtworzenia huku sztormu na morzu, trwożnych krzyków uwieczonych pasażerów, płaczu matki tulącej do śnieżnego łona niemowlę - słowem, był to „tupot, popłoch i głosów wrzawa — »Pożar! Pożar!«”.

*Na ten widok całkiem pobledli żeglarze,*

*bo już pewnym się zdało, że zginą w pożarze,*

*dymu sploty się pięły coraz wyżej nad morze —*

*straszno w ogniu skonać, o Boże, mój Boże!*

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Trwał taki zgiełk i harmider, że trzeba było krzyżeć, aby zostać zrozumianym. Zajeżdżały coraz to nowe powozy. Wokół otwartych na oścież okien gromadziły się grupki gości złąknionych haustu nocnego chłodu. W sali panował nastrój radosnej paniki. Zrobiło mi się trochę słabo i chyba nie mnie jednej. Niektóre matrony osunęły się tu i ówdzie na fotele. Pijani mężczyźni nieco zbyt uporczywie wpatrywali się w wiszące na ścianach obrazy.

Gareth, *op. cit.*

## V

Wielu gościom najbardziej utkwił w pamięci piękny księżyc, który świecił tamtego wieczoru.

Ann Brighney, *Czas wojny i straty*

W kilku opowieściach o tamtym wieczorze wspomniano niezwykłą światłość księżyca.  
Edward Holt, *Długa droga ku chwale*

Wspólnym akcentem we wszystkich tych opowieściach jest złocisty księżyc wdzięcznie zawisły na całą sceną.

Bernadette Evon, *Wieczorki w Białym Domu. Antologia*

Noc była bezksiężycowa, a niebo zasnuwały gęste chmury.

Wickett, *op. cit.*

Opasty zielony półksiężyc wisiał nad całym tym oblędem niby flegmatyczny sędzia na wszelkie szaleństwa ludzkie zobojętniały.

Dolores R Leventrop, *Moje życie*

Owej nocy księżyc był w pełni, żółtoczerwony, jakby odbijał blask jakiegoś ziemskiego pożaru.

Sloane, *op. cit.*

Gdym chodził po sali, raz po raz to w tym, to w tamtym oknie ukazywał mi się srebrzysty klin księżyca niby stary żebrak, pragnący, aby go zaproszono do środka.

Carter, *op. cit.*

Nim kolację podano, wysoko na niebie świecił już księżyc, mały i niebieski, jeszcze promienny, acz nieco uszczuplony.

I.B. Brigg III, *Czas miniony* (niewydane pamiętniki)

Trwała noc, ciemna i bezksiężycowa; nadciągała burza.

Albert Trundle, *Najradośniejsze lata*

Goście zaczęli się rozchodzić, kiedy żółty księżyc w pełni wisiał wśród porannych gwiazd.

D.V. Featherly, *Waszyngtońskie potęgi*

Chmury były gęste, ciężkie, nisko nawisłe, w kolorze matowego różu. Księżyc znikł za nimi. Mój mąż i ja zasłaliśmy jeszcze do pokoju, w którym cierpiał mały Lincoln. W milczeniu pomodliłam się za zdrowie chłopca. Odnaleźliśmy swój powóz i pojechaliśmy do domu, gdzie nasze dzieci, Bogu litościwemu niechaj będą dzięki, spokojnie spały.

Abigail Service, *Matka pamięta*



## VI

Ostatni goście zabawili prawie do świtu. W suterenie służący przez całą noc sprząтали i zmywali statki, dopijając resztki wina. Byli tak zgrzani, zmęczeni i pijani, że kilku wszczęło kłótnię, z której wynikła bójka na pięści.

Von Drehle, *op. cit.*

Słyszałam kilkakroć, jak naszeptywano, że nie uchodzi takim uciechom się oddawać, gdy sama Śmierć u progu stanęła, a w życiu publicznym w takim czasie jak największa skromność byłaby wskazana.

*Listy zebrane Barbary Smith-Hill z czasu wojny*, opr. Thomas Schofield i Edward Moran

Zwolna minęła noc; nadszedł ranek, a Williemu się pogorszyło.

Keckley, *op. cit.*

## VII

Wczoraj koło trzeciej nadjechała spora procesja - może ze dwadzieścia powozów, których nie było gdzie podziąć - Stały na trawnikach przed domami i skosem na cmentarnym gruncie przy parkanie — I któż to wysiadł z karawanu, jeśli nie Pan L. we własnej osobie, którego z podobizn rozpoznała — Ale srodze pochylony i smutnego oblicza, prawie iść o własnych siłach niezdoła, jakby wzbraniał się wnieść na owo koszarne pole — Podówczas jeszcze nie znałam smutnej nowiny, więcem się na chwilę zacukała, lecz gdy wkrótce wszystko jasnym się stało, pomodliłam się za chłopca i rodzinę jego — wiele wszak pisano w gazetach o jego chorobie, a otóż i jej nieszczęsny kres — Powozy zaś nadjeżdżały jeszcze przez godzinę, aż do szczętu ulicę zatarasowały.

Cały ten liczny tłum znikł w kaplicy, a ja słyszałam przez otwarte okno, co się tam w środku działo: muzykę, kazanie, płacz. Potem zgromadzeni się rozeszli, a powozy rozjechały, lecz kilka ugrzęzło i trzeba je było wydobyć z błota, na ulicy zaś i trawnikach został wielki nieporządek.

Dziś także samo plucha i ziąb, lecz mimo to koło drugiej nadjechał nieduży powozik, zatrzymał się przy cmentarnej bramie i znowu wysiadł zeń Prezydent, tym razem w towarzystwie trzech panów: jednego młodego i dwóch STARYCH. - u bramy powitał ich pan Weston z młodym przybocznym i wszyscy do kaplicy się udali - Niebawem przyboczny pospołu z pomocnikiem załadował trumienkę na ręczny wózek, za którym ruszyła cała ta smutna gromadka. Prezydent i jego towarzysze brnęli w błocie - jakby ku północno-zachodniemu narożnikowi cmentarza. Idzie się tam stromo pod górę, a na domiar złego wciąż padało, była to zatem scena osobliwie łącząca w sobie posępną melankolię z ucieszną karykaturalnością, gdy pod ręczni z trudem przytrzymywali na wózku trumieneczkę, a jednocześnie wszyscy obecni, nawet pan Lincoln, pilnie dreptali drobnym kroczkiem, iżby im się stopa nie omsknęła na śliskiej od deszczu trawie.

W każdym razie wygląda na to, że nieszczęsne dziecko Lincolnow zostało tam, po drugiej stronie drogi, wbrew zapowiedziom gazet, które twierdziły, jakoby ciało miano niebawem zawieźć do Illinois. Lincolnom użyczono miejsca w grobowcu należącym do sędziego Carrola, a i wystaw sobie, Andrew, jak musi to być bolesnym, gdy trzeba spuścić najdroższego syna niby zmiażdżonego ptaka w kamienną czeluść i ruszyć dalej.

Dziś w nocy spokoj, nawet Potok zdaje się pluskać ciszej aniżeli zazwyczaj, drogi Bracie. Właśnie wychynał księżyc, oświetlając kamienne nagrobki, i przez chwilę miałam wrażenie, że cmentarzem zawładnęli aniołowie rozmaitych kształtów i rozmiarów: opasli, mali jak psy, konni i tam dalej.

Przywykłam do towarzystwa tylu Umarłych i dobrze mi z nimi, gdy tak spoczywają w Ziemi i zimnych kamiennych Domkach.

*Wojenny Waszyngton. Listy Isabelle Perkins z czasów wojny domowej, zebrał i opracował Nash Perkins III, wpis z 25 lutego 1862*

## VIII

Prezydent zostawił zatem swego synka w użyczonym mu grobowcu i wrócił do pracy dla dobra kraju.

Maxwell Flagg, *Lincoln. Powiastka dla chłopców*

Nie sposób było sobie wyobrazić zaciszniejsze ani piękniejsze miejsce niż to, gdzie stał grobowiec, całkowicie niewidoczny dla kogoś, kto przypadkiem zawitał na cmentarz — ostatni wśród grobów po lewej, w najdalszym zakątku, na szczycie niemal pionowego zbocza opadającego ku Skalistemu Potokowi, którego porywisty nurt mile pluskał, a na tle nieba las wznosił się bezlistnym, tęgim murem.

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

## IX

Już we wczesnej młodości odkryłem w sobie skłonność pewną, która mnie samemu naturalną, a nawet cudowną się zdała, lecz otoczenie — ojciec, matka, bracia, koledzy, nauczyciele, duchowni, dziadkowie - byli o niej wręcz przeciwnego mniemania, znajdując ją wynaturzoną i haniebną. Targała mną tedy bolesna rozterka: mamże wyrzec się swej skłonności, ożenić się i skazać na pewien, by tak rzec, niedosyt? Pragnąłem szczęścia (jak chyba wszyscy go pragną), zawarłem przeto niewinną - a raczej w m i arę niewinną - przyjaźń ze szkolnym kolegą. Wkrótce jednak ujrzeliśmy, że nie masz dla nas nadziei, toteż (pominę tu niektóre szczegóły, przerwy i powroty, nowe początki, szczerze postanowienia oraz ich łamanie, w pewnym miejscu, w kącie, hmm, wozowni, i temu podobne) któregoś popołudnia, dzień czy dwa po wyjątkowo szczerzej rozmowie, kiedy to Gilbert oznajmił mi, że zamierza odtąd „żyć godziwie\*”, udałem się do swego pokoju, uzbrojony w nóż rzeźnicki, i napisawszy krótki list do rodziców (zawierający głównie przeprosiny) i drugi do niego (*Wbkochałem, odchodzę zatem spełniony*), nad porcelanową misą nadgarstki dość okrutnie sobie pociąłem.

Na widok obficie tryskającej krwi, co o biel misy raptem czerwienią zatętniła, zrobiło mi się mdło, więcem się osunął na podłogę i właśnie wtedy - no cóż, wstyd powiedzieć, ale zmieniłem zdanie. Dopiero wtedy (prawie już za progiem, by tak rzec) pojąłem, jak niewysłowienie pięknym jest to wszystko, jak dokładnie przysposobionym gwoli przyjemności naszej, i ujrzałem, że lada chwila roztrwonię cudowny dar w postaci przyzwolenia, bym dzień w dzień przechadzał się po tym bezkresnym rajku zmysłów, przewspaniałym jarmarku, szczerze wyposażonym w skarby wszelakie: tańczące w promiennych skosach sierpniowego słońca roje owadów; trzy karosze stojące łbami ku sobie na polu, po pęciny w śniegu; woń rosołu z wołowiny wiatronośnie sącząca się z okna pomarańczowej barwy w chłodne jesienne...

roger bevins iii

Łaskawco. Przyjacielu.  
hans vollman

Czyżbym znów się zapędził?  
roger bevins iii

W istocie.  
Zaczerpnij tchu. Nic złego się nie dzieje.  
Chyba trochę płoszysz nowo przybyłego.  
hans vollman

Stokrotnie przepraszam, paniczu. Chciałem cię tylko powitać, jak potrafię.  
roger bevins iii

Na widok obficie tryskającej krwi osunąłeś się na podłogę i zmieniłeś zdanie.  
hans vollman

Tak.

Na widok obficie tryskającej krwi, co o biel misy raptem czerwienią zatętniła, zrobiło mi się mdło, więcem się osunął na podłogę. I właśnie wtedy zmieniłem zdanie.

Całą nadzieję pokładając w tym, że znajdzie mnie ktoś spośród służby, dokuśtykałem do

schodów i rzuciłem się w dół. Zdołałem się jakoś doczołgać do kuchni...

Gdzie też do tych pór leżę.

Czekam, aż mnie znajdą (spocząłem na podłodze, głowę o piec oparłszy, nieopodal przewróconego krzesła, a mego policzka dotyka skrawek skórki pomarańczy) i ocucą, żebym mógł wstać, posprzątać okropny bałagan, którego narobił (Matka nie będzie kontentą), wyjść z domu na ten piękny świat jako nowy, śmielszy człowiek i zacząć żyć! Czy podążę za swą skłonnością? Ależ tak! I to z zapalem! O mały włos wszystkiego nie straciwszy, wyzbyłem się wszelkich trwóg, wahania i nieśmiałości, gdy więc stanę na nogi, zamierzam z oddaniem wędrować po tej ziemi, chłonąc, wachając, kosztując, kochając, kogo jeno zechcę; dotykając, smakując, nieruchomiejąc pośród pięknych zjawisk tego świata, takich jak chociażby pies, co w trójkąceniu korony drzewa wierzga przesuszenie; piramidka cukru na akacyjnym blacie stołu, którą niewyczuwalny przewiew ziarnko po ziarnku w nowe miejsce przekłada; chmura żeglująca ponad krągłym zielonym wzgórzem, na którego szczycie sznur kolorowych koszul żywiołowo tańczy na wietrze, podczas gdy w mieście u stop wzgórza rozkwita fioletowo błękitny dzień (wiosny muza wcielona), a każdy dziedziniec trawą wilgotny, kwiatami nakłuty dosłownie szaleje ze...

roger bevins iii

Przyjacielu.

Bevins.

hans vollman

„Bevins” miał kilka par oczu    Rozbieganych wielce    I nosów kilka    Chciwie węszących    Jego dłonie (ich także miał wiele, a może tak szybko nimi machał, że zdawały się mnożyć) sięgały to tu, to tam, raz po raz coś podnosząc ku twarzy z nader dociekliwym

Trochę to straszne

Kiedy opowiadał o sobie, tyle dodatkowych oczu, nosów i dłoni mu wyrosło, że ciało jego prawie znikło wśród nich    Oczy jak winne grona    Dłonie obmacywały powieki    Nosy wachały dłonie

Na każdym z licznych nadgarstków - szramy.

willie lincoln

Nowy siedział na dachu swego lazaretu, w zdumieniu patrząc z góry na pana Bevinsa.

hans vollman

Od czasu do czasu ukradkiem zerkając ze zdziwieniem na łaskawego pana. Na pański pokazny...

roger bevins iii

Daj waść pokój, nie ma potrzeby wspominać...

hans vollman

A ten drugi (krokwiał trafiony)    Całkiem goły    Z przyrodzeniem nabrzmiałym do rozmiarów    Oczu nie mogłem oderwać

Podrygiwało, kiedy on

Kluchowate ciało    Z nosem szerokim i płaskim jak u owcy

Goluteńki

Głowa wgnieciona okropnie      Jakże on mógł chodzić i mówić z takim wstrętnym  
willie lincoln

Niebawem przystąpił ku nam wielebny Everly Thomas.  
hans vollman

Przybył jak zwykle kulawym biegiem, z uniesionymi brwiami, lękliwie za się  
spoglądając, ze zjeżonym włosom i usty zgrozą w równiuteńkie „O” wyokrąglonymi. Mówił  
jednak jak zawsze z niezmaconym spokojem i rozwagą.  
roger bevins iii

Nowy? - spytał Wielebny.  
Mamy chyba zaszczyt zwracać się do niejakiego panicza Carrolla, rzekł pan Bevins.  
Chłopię tylko patrzyło na nas z nijaką miną.  
hans vollman

Nowy był przystojnym chłopcem lat około dziesięciu lub jedenastu. Ostrożnie rozglądał  
się wokoło, oczami mrugając.  
wielebny everly thomas

Niby wyrzucona na brzeg ryba, znieruchomiała i czujna, własnej bezbronności świadoma.  
hans vollman

Przypominał mi mego bratanka, który gdy załamał się pod nim lód na rzece, wrócił do  
domu, na kość zmarznięty. Z obawy przed karą nie śmiał wejść do środka; zastałem go, gdy  
opierał się o drzwi, aby się przy nich choć trochę ogrzać, oszołomiony, skruszony, ledwie  
przutomny z zimna.  
roger bevins iii

Zapewne gdzieś cię ciągnie? - rzekł pan Vollman. - Korci? Żeby pójść? Dokądś? Gdzie  
będzie wygodniej?  
Czuję, że mam czekać, odparł chłopiec.  
Ono mówi! - zawołał pan Bevins.  
wielebny everly thomas

Na cóż to masz czekać? - spytał pan Owczokluch.

Na matkę, odrzekłem. Na ojca. Niezadługo przybędą. Zabrać mię Pan Owczokluch  
smutno pokręcił głową      Zadrzało mu przy tym przyrodzenie      Też smutno  
Może i przybędą, rzekł wielooki. Ale wątpię, czy cię zabiorą.  
Wszyscy trzej się roześmiali      Czemu zawtórowało gromkie klaskanie mnogich dłoni  
wielookiego      I kiwanie nabrzmiałym przyrodzeniem pana Owczoklucha      Nawet Wielebny się  
śmiał      Choć ani na chwilę nie znikł mu z twarzy wyraz zgrozy  
W każdym razie niedługo zabawią, rzekł pan Owczokluch.  
Czując przez cały czas, że woleliby być gdzie indziej, dodał wielooki.  
Myśląc tylko o obiedzie, wtrącił Wielebny.

Wiosna już blisko      Zabawki spod choinki ledwie tknięte      Mam szklanego  
żołnierzyka, co kręci głową      Można mu zmieniać epolety      Wkrótce zakwitną

kwiaty Lawrence da nam obu po kubku nasion z komórki w ogrodzie Mam czekać  
powiedziałem  
willie lincoln

## X

Rzuciłem panu Bevinsowi spojrzenie.  
hans vollman

Ci młodzi z zasady nie powinni zbyt się ociągać.  
roger bevins iii

Matthison, *W Wieku Lat Dziewięciu!* Ociągał się niecałe pół godziny. A potem rozprysnął się z cichym pstrykiem, jakby kto pierdnął. Dwyer, *6 Lat i 5 Miesięcy?* Po przybyciu nie było go już w szpitalnej skrzyni. Widać ulotnił się po drodze. Sullivan, *Dziecię*, ociągał się przez dwanaście, może trzynaście minut jako raczkująca, wrzeszcząca kula strapionego światła. Russo, *W Szóstym Roku Życia Zabrana Światłość Ócz Matki Swej?* Ociągała się raptem cztery minuty. Zajrzała za wszystkie kamienie po kolei. „Kajetu swego poszukuję”.

hans vollman

Biedactwo.  
wielebny everly thomas

Bliźniacy Evansowie, *Razem Opuścili Żalony Ten Padół; Mając 15 Lat i 8 Miesięcy*, ociągali się przez minut dziewięć, zanim odeszli dokładnie w jednej chwili (jak bliźniakom przystało). Percival Strout, *Siedemnastoletni*, ociągał się przez czterdzieści minut. Sally Burgess, *Dwunastoletnia i Wszystkim Droga*, ociągała się minut siedemnaście.

hans vollman

Belinda French, *Mała. Pamiątka*. Pamiątacie ją?  
roger bevins iii

Mała jak bochen chleba, leżała bez ruchu, śląc na wsze strony matowy biały blask i ten przenikliwy lament.

wielebny everly thomas

Przez pięćdziesiąt siedem minut jak obszył.  
hans vollman

Długo po tym jak jej matka, Amanda French, *Żywot Postradała, Nadobnej, Lecz Nieszczęsnej Dziecinie Go Dając*, dalej ruszyła.

roger bevins iii

Leżały razem w szpitalnej skrzyni.  
hans vollman

Nader wzruszający widok.  
wielebny everly thomas

Lecz w końcu odeszła.  
roger bevins iii



Bo też ci młodzi odchodzić powinni.  
wielebny everly thomas

I większość naturalną rzeczą koleją to czyni.  
roger bevins iii

Bo inaczej...  
wielebny everly thomas

Wystawcie sobie zatem nasze zdziwienie, gdyśmy przechodząc mimo jaką godzinę później, zastali chłopca wciąż na tym samym dachu. Rozglądał się wokół siebie z nadzieją, jakby czekał na powóz, którym go stąd uprowadzą.  
hans vollman

I darujcie, że o tym wspomnę, ale odór dzikiej cebuli, który wydzielają młodzi, kiedy zbyt się ociągają, mocno już był zgęstniał.  
roger bevins iii

Pora była działać.  
wielebny everly thomas

## XI

Pójdź z nami, chłopczyno, rzekł pan Owczokluch. Chcemy cię z kimś poznać.

Możesz chodzić? — spytał wielooki.

Okazało się, że mogę

Mogłem chodzić    Mogłem szybować    Mogłem nawet szybochodzić

Szybowniczy spacer? Ja na to jak na lato    Pod nami w skrzynce w owym domku  
jakowaś szkarada leżała

Szkaradnie

Czy mogę wam coś wyznać?

Miała twarz robala

Robala, powiadam!    Robala wielkości chłopca    W ubranko me odzianego

Okropność.

willie lincoln

Chłopczyna rękę wyciągnął, jakby chciał ująć moją, ale się chyba rozmyślił, może  
wstydząc się dziecinady.

hans vollman

Ruszyliśmy tedy ku wschodowi.

roger bevins iii

## XII

Witajcie, zacni panowie. Jeśli taka wasza wola, nazwy niekturzych naszych kwiatufl  
leśnych rada wam wyjawię.

pani elizabeth crawford

Pani Crawford pociągnęła za nami, jak zwykle okazując niezmierną uniżność: kłaniając  
się, uśmiechając, szurając stopą i raz po raz się wzdrygając.

roger bevins iii

Jest tu na pszykład dziki goździk, dziki obuwik, wszelkie odmiany dzikich ruż. Jest  
trojęść bulwiasta, wiciokszew, kosaćce rużnobarwny i żułty tudzież wielkie Mnustwo innych  
odmian, kturzych Nazw naprendce przypomnieć sobie nie umiem.

pani elizabeth crawford

Nieustannie nękana przez Longstreeta, tego nędznika, co mieszka nieopodal koślawej  
ławki.

roger bevins iii

Zważcie panowie subtelne me rozeznanie w istotnych szczegółach ubioru: haftkach,  
sznurówkach gorsetu, przemyślnym kroju spódnic spacerowych, powiadam ci, Brudas, to jakby  
kto cebulę obierał - trzeba rozsupływać, rozpinać, urabiać, aż się człek wreszcie dogrzebie, acz  
nierychło, do osi dramatu, do klejnotu - rzec by można - do gąszczu w dolince...

sam „gładysz” longstreet

Po drodze bez ustanku ją obmacywał i obłapiał, a pani Crawford trwała w błogiej  
nieświadomości jego obmierzłych nadskakiwań.

wielebny everly thomas

Zdumione chłopię tuż za nami podążało, to tu, to tam popatrując.

hans vollman

A teraz zaśpiewam waszmościom Urywek albo, jeśli zechcecie, całą Piosnkę, co to ją  
śpiewał niegdyś drogi muj mąż. Muwił, że to Pieśń weselna Adama i Ewy. Zaśpiewał ją na ślubie  
mej siostry. Często układał Piosnki i je Śpiewał i...

O nie, bliżej jusz nie podejđę.

Dobrego dnia panom życzę.

pani elizabeth crawford

Doszliśmy tymczasem na skraj bezludnego pustkowia, co ciągnie się przez kroków  
kilkaset aż do złowrogiego parkanu z żelaza.

hans vollman

Obrzydłej, nieprzekraczalnej granicy.

roger bevins iii

Jakże nam nienawistnej.

hans vollman

Traynorówna leżała jak zwykle - uwięzła w parkanie, wręcz weń wrośnięta, przybrawszy naówczas postać przerażającego, okopconego paleniska.

roger bevins iii

Mimo woli przypomniałem sobie jej pierwszy tutaj dzień, kiedy to nieustannie przejawiała się jako wirująca w tańcu młódka w letniej, raz po raz zmieniającej barwę sukience.

wielebny everly thomas

Zawołałem do niej, prosząc, aby z chłopięciem pomówiła.

O niebezpieczeństwach, które tutaj grożą. Młodym.

hans vollman

Dziewczyna milczała. Tylko drzwiczki paleniska, którym była w owej chwili, otworzyły się i zamknęły, straszliwie rozżarzone, pomarańczowe wewnątrz na mgnienie przed nami odsłaniając.

roger bevins iii

Raptem przeistoczyła się w zwałony most, sępa, wielkie psisko, w okropną wiedźmę tort czekoladowy pochłaniającą, w łan kukurydzy powodzią zalany, w parasol stargany wiatrem, któregośmy czuć nie mogli.

wielebny everly thomas

Nasze szczerze zaklinania nic nie dały. Dziewczyna nie zechciała przemówić.

hans vollman

Odwróciliśmy się, zamierzając odejść.

roger bevins iii

Dostrzegła wszelako w chłopczynie coś, co ją wzruszyło. Parasol przemienił się w pole kukurydzy; kukurydza w wiedźmę; wiedźma w dziewczynę.

hans vollman

Przyzwała go skinieniem.

roger bevins iii

Chłopię ostrożnie się zbliżyło, ona zaś jęła doń mówić cichym, niesłyszalnym dla nas głosem.

hans vollman

### XIII

Panicz Bristol pragnął mię, paniczowie Fellowes i Delway takosz, wieczorami siadywali wokół mnie na trawie, a w oczach płonęło im najżarliwsze, najtkliwsze Pragnienie. Siedziałam na wiklinowym fotelu, we fioletowo-czerwonej sukience, pośród krengu żarliwych, tkliwych, pełnych podziwu spojzeń aż do nocy, kiedy to ten czy ów hłopiec na wznak się kładł, mówione: Ależ gwiazdy, a ja pszytwierdzałam: O, tak, jak pięknie dziś wyglądają, a wyobrażałam sobie (wyznam), że leże obok niego, inni zaś hłopczy widzonc, jak patsze na leżoncego, też sobie wyobrażali, że kładą się obok mnie. Fszystko to było bardzo A potem Matka słała po mnie Annie.

Za fcześnie odeszłam. Z tego balu, z tego Świetlista obietnica takich nocy jednej za drugą aż po wybór, który byłby właściwy, i stałaby się Miłość, a z Miłości stałoby się dziecko i o nic więcej nie proszę Tak bardzo chciałam pszytulić Dziecię kohane.

Wiem doskonale, zem nie taka piękna jak niegdyś. I z biegam czasu, wyznam, poznałam pewne słowa, wcześniej mi nie znane.

Jeb huj guwno pizdzić zwyobracać cwelić

I poznałam myślą pewne niepszystojne rewiry, gdzie takie sprawy

Pułmroczne niepszespieczne lachociężne konty w załułkah

Pokohałam je

Tensknie za niemi. I takam gniewna.

Nie zaznałam nic. A nic.

Za fcześnie odeszłam Żeby zaznać Zaledwie czternaście.

Lat pszeżytyh

Proszę zająć jeszcze kiedy paniczu miło było poznać Ale jebię twyh staryh pszyjaciół (wieńcej ich tu nie sprowadzaj), co pszyłażą się gapić i mię wydrwiwać, i każą mi powtazać - nie, to hybione słowo - spotworniać, spotwazać to, co robie. Hociasz sami robią kubek w kubek to samo. Nieprawdasz? A za to, co robie, jeśli tylko wytrwam, bez wontpienia nagrodą będzie z dawna wymażony powrót do Zielonej trawy, spojrzeń tkliwych.

elise traynor

## XIV

Gdyśmy stamtąd odchodzili, chłopczyna milczał.

Ze mną też się to stanie? - spytał w końcu.

Niewątpliwie, odparł pan Vollman.

Właściwie... właściwie już się troszkę stawa, delikatnie dodał Wielebny.

roger bevins iii

Doszliśmy tam, gdzie piaszczysta ścieżka w dół opada.

wielebny everly thomas

Mimo Freeleya. Mimo Stevensa. Mimo czworga maleńkich Nesbittów tudzież ich Anioła z pochyloną głową.

roger bevins iii

Mimo Mastertona. Mimo Ambustiego. Mimo obelisku, trzech ławek i popiersia tego aroganta Merridale'a z wysokim postumentem.

hans vollman

No to chyba winienem pójść za panów radą, rzekł mały.

Grzeczne chłopię, pochwalił go pan Vollman.

roger bevins iii

## XV

Uściskaliśmy chłopca u drzwi jego domku z białego kamienia.  
hans vollman

Nieśmiele się do nas uśmiechnął, drżąc lekko na myśl o tym, co go czekało.  
wielebny everly thomas

Idź, łagodnie rzekł pan Bevins. Tak będzie najlepiej.  
hans vollman

Idźże już stąd, dodał pan Vollman. Nic tu po tobie.  
roger bevins iii

Żegnajcie zatem, rzekł chłopczyna.  
Nic w tym strasznego, zapewnił go pan Bevins. To naturalna kolej rzeczy.  
hans vollman

I wtedy to się stało.  
roger bevins iii

Niezwykłe zdarzenie.  
hans vollman

Nigdy wcześniej nie widziane.  
wielebny everly thomas

Chłopiec ominął nas wzrokiem.  
hans vollman

Jakby dostrzegł coś za naszymi plecami.  
roger bevins iii

Z radości twarz mu pojaśniała.  
hans vollman

Ojciec, powiedział.  
wielebny everly thomas

## XVI

Niezwykle wysoki i zaniedbany jegomość zmierzał ku nam poprzez mrok.  
hans vollman

Wbrew wszelkim prawidłom. Skończył już się wszak czas odwiedzin. Bramę cmentarza zamknięto.  
wielebny everly thomas

Dzień przyjazdu chłopca jeszcze nie dobiegł końca. Innymi słowy, jegomość ów najpewniej był tu...  
roger bevins iii

Dopiero co.  
hans vollman

Tegoż popołudnia.  
roger bevins iii

Wbrew wszelkim prawidłom.  
wielebny everly thomas

Dżentelmen ten zbłąkanym się zdawał. Parokrotnie przystawał, rozglądał się wokoło, po własnych śladach wracał, inną drogę obierał.  
hans vollman

Cicho szlochał.  
roger bevins iii

Wcale nie szlochał. Mego przyjaciela pamięć zawodzi. Był zdyszany. Nie szlochał.  
hans vollman

Cicho szlochał, a jego smutek wzmagająca rosnąca irytacja tym, że zabłądził.  
roger bevins iii

Miał sztywne, kanciaste ruchy.  
wielebny everly thomas

Chłopczyna wypadł za drzwi i z uradowaną miną ku jegomościowi biegiem się puścił.  
roger bevins iii

Radość jego zastąpiło przykre zdziwienie, gdy tamten nie porwał go w ramiona, jak zapewne w takich razach zwykł był czynić.  
wielebny everly thomas

Wręcz przeciwnie: chłopiec przeniknął przez mężczyznę, ten zaś szedł dalej ku domkowi z białego kamienia, nie przestając szlochać.



roger bevins iii

Wcale nie szlochał. Był bardzo opanowanym, poruszał się z wielką godnością i pewnością...

hans vollman

Dzieliło go od nas zaledwie piętnaście kroków i zmierzał prosto ku nam.

roger bevins iii

Wielebny chciał, byśmy ustąpili z drogi.

hans vollman

Jest bowiem głęboko przekonany, że nie lża dawać przez się przenikać.

roger bevins iii

Jegomość doszedł do domku z białego kamienia i kluczem kłódkę otworzył, a chłopię w ślad za nim próg przestąpiło.

hans vollman

Pan Bevins, pan Vollman i ja, troską o dobro chłopca przejęci, we drzwiach stanęliśmy.  
wielebny everly thomas

I wtedy jegomość zrobił coś... nie bardzo to umiem.

hans vollman

Był rosłej budowy. Znać było po nim siłę. Miał jej dość, by wyciągnąć...

wielebny everly thomas

Szpitalną skrzynię.

hans vollman

Szpitalną skrzynkę chłopca z wnęki w ścianie wyjąwszy, na posadzce ją postawił.

roger bevins iii

I otworzył.

hans vollman

Klęknąwszy przy niej, spojrzął na to, co...

wielebny everly thomas

Spojrzął na postać chłopczyny w szpitalnej skrzyni twarzą do dołu leżącą.

hans vollman

Tak.

wielebny everly thomas

I wtedy zaszlochał.

hans vollman

Szlochał od początku.  
roger bevins iii

Wyrwał mu się jeden jedyny rozdzierający szloch.  
hans vollman

Albo westchnienie. Mnie zdało się to raczej westchnieniem. Jakby westchnął,  
rozpoznawszy.

wielebny everly thomas

Wspomniawszy.  
hans vollman

Nagle sobie przypomniawszy, co był utracił.  
wielebny everly thomas

Czule dotknął twarzy i włosów.  
hans vollman

Jak to bez wątpienia po wielekroć czynił, póki chłopiec był jeszcze...  
roger bevins iii

Mniej chorym.  
hans vollman

Westchnął, rozpoznawszy, jakby mówił: Oto znów tu jest, znów tu jest me dziecię, nic a  
nic nie zmienione. Odnalazłem je, tak niegdyś mi drogie.

wielebny everly thomas

Nadal tak drogie.  
hans vollman

Zaiste.  
roger bevins iii

Albowiem strata całkiem świeżą była.  
wielebny everly thomas

## XVII

Willie Lincoln nikł w oczach.

Epstein, *op. cit.*

Dni wlokły się żmudną koleją, on zaś słabł, coraz bardziej przeźroczyściejąc.

Keckley, *op. cit.*

William Stoddard, sekretarz Lincoln, zapamiętał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta: „Czy nie ma nadziei? Żadnej. Tak twierdzą lekarze”.

Doris Kearns Goodwin, *Drużyna rywali. Geniusz polityczny Abrahama Lincoln*

Gdym koło piątej dziś po południu leżał na sofie w sekretariacie, wyrwał mię z drzemki, nagle wchodząc. „Wiesz, Nicolay — rzekł, dławiąc się od uczuć wezbranych - mój synek odszedł, naprawdę odszedł!”, i wybuchnąwszy płaczem, odwrócił się i do gabinetu swego wszedł.

John G. Nicolay, *Z Lincolnem w Białym Domu*, opr. Michael Burlingame

Śmierć nastąpiła zaledwie przed paroma chwilami. Zmarły leżał na łóżku pod odwinietą narzutą. Miał na sobie niebieską pidżamę. Ręce wyciągnięte wzdłuż boków. Policzki jeszcze płonęły. Na podłodze leżały ciśnięte na stos trzy poduszki. Stolik nocny stał skośnie, jakby go bez ceregieli odepchnięto.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincoln*, opr. Stone Hilyard, wypowiedź pokojówki Sophie Lenox

Pomogłam go umyć, ubrać i na łóżku ułożyłam. I wtedy wszedł pan Lincoln. Nigdy nie widziałam mężczyzny tak przytłoczonego żałobą. Podszedł do łóżka, odsłonił twarz dziecka swego i na długo wpatrzył się w nią z miłością szczerą, szepcząc: „Mój biedny synek, za dobry był dla tej ziemi. Bóg wezwał go do domu. Wiem, że dużo mu lepiej w niebie, ale takem go kochał. Trudno, ach, jak trudno z jego śmiercią się pogodzić!”.

Keckley, *op. cit.*

Był pupilem ojca. Łączyła ich wielka zażyłość. Często widywano, jak trzymali się za ręce.

Keckley, *op. cit.*, wypowiedź Nathaniela Parkera Willisa

Był wierną kopią ojca, którego przypominał zarówno magnetyczną osobowością, jak i wszystkimi talentami oraz upodobaniami.

Ruth Painter Randall, *Synowie Lincoln*

Był tym właśnie dzieckiem, w którym Lincoln pokładał najtkliwsze nadzieje; rzecz by można: zwierciadkiem, do którego ojciec mógł mówić szczerze, otwarcie i ufnie.

Tyron Philian, *Obrachunki. Wspomnienia z za kulis trudnego czasu*

Will był to wykapany pan Lincoln, w każdym calu, nawet głowę trzymał tak jak ojciec, ku lewemu ramieniu lekko pochyloną.

Burlingame, *op. cit.*, wypowiedź sąsiada ze Springfield

Malcy budzą w nas taką miłość, taką nadzieję, że zaznają wszelkich uroków życia, taką czułość wobec kompozycji przymiotów, która w każdym niepowtarzalnie się przejawia: w brawurowych wybrykach, w kruchości, w powiedzonkach, przejęzyczeniach i temu podobnych; w zapachu włosów i głowy, w ciepłe drobnej rączki, którą trzymasz w swojej - i nagle malec znikł! Zabran! Spada to jak grom z jasnego nieba, gdy tak brutalny gwałt nastąpi w świecie dotychczas, zdawałoby się, dobrotliwym. Z nicości wykwitła wielka miłość; a kiedy jej źródło unicestwiono, przeistacza się, poszukująca i schorzała, w najotchłanniejsze z wyobraźalnych cierpień.

Pani Rose Milland, *Esej o utracie dziecka*

„Najcięższa to w moim życiu próba” - wyznał pielęgniarka i w nagłym porywie buntu ten przytłoczony troską i smutkami człowiek zakrzyknął: „Czemu tak? Czemuż to?”.

James Morgan, *Abraham Lincoln. Chłopiec i mężczyzna*

Potężne łkania odbierały mu mowę. Ukrył twarz w dłoniach a jego wysoką postać burza uczuć wstrząsała. Z oczami pełnymi łez stałam w nogach łóżka, patrząc nań w niemym, paralizującym zdumieniu. Żałoba zachwiała nim, czyniąc zeń słabe, bierne dziecko. Ani śniła, że ten twardy charakter może się poddać takiemu wzruszeniu. Nigdy nie zapomnę owych chwil uroczystych, gdy geniusz i wielkość opłakiwały utraczonego idola miłości.

Keckley, *op. cit.*

## XVIII

Willie Lincoln był najkochańszym chłopcem, jakiegom w życiu znała - byстрыm, roztroprnym, miłego usposobienia i łagodnego obejścia.

Julia Tafit Bayne, *Ojciec Tada Lincolna*

Był jednym z tych dzieci, na których podobieństwo ludzie wyobrażają sobie własne, zanim te na świat przyjdą.

Randall, *op. cit.*

Jego opanowanie - *aplomb*, jak zowią je Francuzi - zaiste niezwykłym było.

Willis, *op. cit.*

Umysł miał czynny, dociekliwy i sumienny; naturę przyjazną i czułą; odruchy dobrotliwe i wielkoduszne; w mowie i manierach był zaś łagodnym i uroklivym.

Phineas D. Gurley, *Mowa żałobna nad grobem Williego Lincolna*, „Illinois State Journal”

Nigdy nie omieszkał odszukać mię pośród tłumu, aby dłoń uścisnąć i miłe słówko rzucić; u chłopca lat zaledwie dziesięciu było to dla obcego człowieka więcej niż ujmujące.

Willis, *op. cit.*

Ubrania nosił Willie szare i mocno workowate, całkiem inne niżli stroje wyfiokowanych skarbenków modnych matek.

Laura Searing (pseudonim Howard Glyndon), *Prawda o pani Lincolnowej*

Gdym dnia pewnego Biały Dom mijał, bawił się z kolegą na chodniku przed wejściem. Pan Seward zajechał powozem z księciem Napoleonem tudzież dwoma z jego świty i żartobliwie bohaterskim gestem (między chłopcem a Sekretarzem najwidoczniej istniała bowiem niejaka zażyłość) owa urzędowa osoba zdjęła kapelusz, a Napoleon poszedł w jej ślady i wszyscy powitali prezydenckie książątko ceremonialnym salutem. Bynajmniej nie stropiony tym hołdem, Willie wyprężył się na baczność, z gracją i opanowaniem zdjął czapeczkę i niczym mały ambasador uroczyście skłonił się do ziemi.

Willis, *op. cit.*

Twarz jego promieniała inteligencją i wrażliwością, dzięki czemu zdawał się osobliwie interesującym, a nieznanomi określali go mianem udatnego małego jegomościa.

Searing, *op. cit.*

Łacno można sobie wystawić, że chłopiec takimi przymiotami obdarzony zdołał przez lat jedenaście wrosnąć w serca tych, co go najlepiej znali.

Gurley, *op. cit.*

Pogodne dziecię, wszystkim drogie i w obejściu bezpośrednio, ogromnie wrażliwe na uroki świata.

Carol Dreiser, *Oni znali synów Lincolna*, wypowiedź Simona Webera

Ten chłopiec słodki jak pączuś, pulchny i bładny, któremu długa kędzierzawa grzywka

często między oczy opadała, w chwilach wzruszenia lub onieśmienia zaczynał bezwiednie podnosić i zamykać powieki, szybko mrugając.

Opal Stragner, *Mali ludkowie prezydenta*

Na widok choćby najdrobniejszej krzywdy twarz zasnuwał mu wyraz troski, w oczach zaś łzy wzbierały, jakby w owym niefortunnym szczególe przeczuwał niesprawiedliwość ogólniejszej kondycji. Pewnego razu towarzysz zabaw przyniósł mu zabitego własnoręcznie kamieniem rudzika, trzymając go między dwoma patykami niby w szczypcach. Willie szorstko chłopca ofuknął, zabrał ptaka i odszedł, aby go pochować, po czym aż do końca dnia zgaszonym był i milczącym.

Simon Iverness, *Utracony anioł Lincolna*

Najgłówniejszą jego cechą była, rzekłbym, nieustraszona, lecz dobroduszna szczerść: pozwalał wszystkiemu być tak rozmaitym, jak tylko samo zapragnie, a zarazem niewzruszenie trwał we własnej świadomej prostolinijności. Spostrzegłem, że nieodparcie przykuwa mą uwagę jako jedno z owych słodkich zagadnień dzieciństwa, którymi świat z rzadka bywa pobłogosławiony.

Po pogrzebie doktor Gurley zwierzył się na stronie kilku osobom, że Willie tuż przed śmiercią poprosił go, aby wyjął ze skarbonki na jego biurczku zaoszczędzone sześć dolarów i dał je towarzystwu misyjnemu.

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Wśród całego przepychu, który otaczał tego małego jegomościa w jego nowym domu, był on mężnie i pięknie sobą i niczym więcej. Niby polny kwiat ze stepu do cieplarni przesadzony zachował swe stepowe nawyki, niezmiennie czyste i proste, aż do samej śmierci.

Willis, *op. cit.*

Gdy wiele miesięcy później na polecenie pani Lincolnowej jej stare ubrania przeglądała, znalazłam w kieszeni płaszcz zwinętą w kłębek rękawiczuszkę. Naszło mię wtedy tyle wspomnień, że łzami się zalała. Nigdy nie zapomnę tego słodkiego chłopczyka ani jego uroczych obyczajów.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincolna, op. cit., wypowiedź pokojówki Sophie Lenox*

Nie był doskonałym; był wszak - pamiętajmy - małym chłopcem. Bywał rozhukanym, niesfornym, nadpobudliwym. Był chłopcem. Ale — powiedzieć należy - całkiem d o b r y m chłopcem.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincolna, op. cit., wypowiedź kamerdynera D. Strumphorta*

## XIX

Południową porą Prezydent, pani Lincolnowa i Robert zeszli na parter, aby po raz ostatni wspólnie odwiedzić kochanego i utraconego. Nie życzyli sobie żadnych świadków ostatnich smutnych chwil, które mieli spędzić w domu ze zmarłym dzieckiem i bratem. Zabawili przy nim niemal pół godziny. Przez ten czas nadciągnęła sroga nawałnica, jakiej miasto od lat nie zaznało, a straszliwa ulewa z wichurą, szalejąca na dworze, zdawała się harmonijnie współgrać z burzą rozpaczy, która duszami żałobników targała.

Benjamin Brown French, *Świadek młodej republiki. Dziennik pewnego Jankesa, 1828-1870*, opr. D.B. Cole i J.J. McDonough

Przez te pół godziny, które rodzina spędziła przy zmarłym chłopcu, błyskawice raz po raz pruły mroczne niebo, od grzmotów potężnych jak salwy armatnie drżała zastawa, a z północnego zachodu nacierały porywiste wichry.

Epstein, *op. cit.*

W przestronnych korytarzach dawały się słyszeć owego wieczoru donośne odgłosy żalu i bynajmniej nie wszystkie dobiegały od strony pokoju, w którym leżała bez zmysłów pani Lincolnowa, albowiem słycać było także głośniejsze jęki Prezydenta.

Elliot Sternlet, *Moje dziesięciolecie w Białym Domu*

Od tamtej pory minęło już półtora stulecia, wciąż jednak odczuwa się jako niedyskrecję wyobrażanie sobie tamtej okropnej sceny - szoku, łzawego niedowierzania, dzikich okrzyków żalu.

Epstein, *op. cit.*

Chyba dopiero w porze, gdy zazwyczaj chłopiec przed pójściem spać przychodził pogawędzić albo pozbytkować, pan Lincoln naprawdę pojął nieodwracalność poniesionej straty.

Stanley Hohner, *Wybrane wspominki z życia służby*

Koło północy przyszedłem zapytać, czy mogę mu coś przynieść. Wstrząsnął mną jego widok. Włosy miał potargane, a na bladym obliczu świeże ślady łez. Zdumiony jego wzburzeniem, udałem sobie w duchu pytanie, do czego to doprowadzi, jeśli Prezydent nie znajdzie dla swych uczuć jakowegoś ujścia. Nieco wcześniej zwiedziłem był hutę w Pensylwanii, gdzie pokazano mi wentyl bezpieczeństwa do upuszczania pary. Stan pana Lincoln zdawał się domagać użycia takiegoż wentyla.

Naoczny świadek dziejów. *Biały Dom za kadencji Lincoln, op. cit* wypowiedź kamerdynera D. Strumphorta

## XX

Niechlujny dżentelmen jął wydziwiać nad drobnym ciałkiem, głaszcząc je po włosach, klepiąc po bladych, jakby lalczynych rączkach i raz po raz rączęta te przekładając.

roger bevins iii

Chłopię stało tymczasem tuż obok, zanosząc usilne błagania, aby ojciec spojrział w j e g o stronę i nad n i m nieco powydziwiał albo i go poklepał.

wielebny everly thomas

Których to błagań dżentelmen zdawał się nie słyszeć.

roger bevins iii

Wtem owo i tak już niepokojące, niestosowne widowisko jeszcze głębszego dna sięgnęło.

hans vollman

Usłyszeliśmy, że Wielebny raptem się zatchnął (a lubo fizys jego o czymś wręcz przeciwnym świadczyć się zdawa, wstrząsnąć nim niełatwo).

roger bevins iii

On weźmie to dziecko na ręce, rzekł Wielebny.

hans vollman

I tak też uczynił.

Wyjął drobne ciałko ze...

roger bevins iii

Szpitalnej skrzyni.

hans vollman

Pochylił się, ze skrzyni ciałko wyjął i ze zdumiewającą u takiego niezgrabiasza zwinnością natychmiast na posadzce siadł, kładąc sobie owo drobne brzemie na kolanach.

roger bevins iii

Wtuliwszy głowę między jego podbródek a szyję, zaszlochał, zrazu urywanie, potem zaś niepohamowanie, uczuciom wszelkim upust dając.

wielebny everly thomas

Tuż przy nim chłopczyna pomykał tymczasem tam i sam, najwidoczniej boleśnie zawiedziony.

hans vollman

Dziesięć minut bez mała człek ten trzymał na rękach...

roger bevins iii

Szpitalną larwę.



hans vollman

Zawiedziony brakiem uwagi, do której rościł sobie prawo, chłopiec podszedł do ojca i oparł się oń, mężczyzna zaś wciąż tulił i lekko kołysał...  
wielebny everly thomas

Szpitalną larwę.  
hans vollman

Wzruszony ponad wszelką miarę, odwróciłem się tyłem do tej sceny. I ujrzałem, że nie jesteśmy z nią sami.  
roger bevins iii

Przed domkiem tłum był się zgromadził.  
wielebny everly thomas

Wszyscy milczeli.  
roger bevins iii

Tamtę zaś dziecię swe wciąż łagodnie kołysał.  
wielebny everly thomas

Ono zaś w tejże chwili cichutko stało o niego oparte.  
hans vollman

I nagle dżentelmen przemówił.  
roger bevins iii

Chłopczyna poufale zarzucił mu rękę na kark, jak to zapewne nieraz był czynił, i przysunął się doń bliżej, aż dotknął głową jego głowy, aby lepiej słyszeć słowa, które tamten szeptał prosto w szyję larwy.  
hans vollman

Rozczarowania znieść już nie mogąc, chłopiec jął...  
roger bevins iii

Chłopię jęło wnikać w siebie.  
hans vollman

By tak rzec.  
roger bevins iii

Chłopiec jął wnikać w siebie i niebawem cały w sobie się skrył, po czym dżentelmen znów się rozszochał, jakby wyczuł zmianę, która zaszła w tym, co do się tulił.  
wielebny everly thomas

Była to scena ponad moje siły, nazbyt osobista, więcem odszedł stamtąd i samotnie przed

się ruszył.

hans vollman

Ja także.

roger bevins iii

Jam zaś został w osłupieniu, modlitwę za modlitwą odmawiając.

wielebny everly thomas

## XXI

Z ustami przy uchu robala Ojciec rzekł:

Bardzośmy się kochali, mój drogi Willie, lecz z przyczyn dla nas obu niepojętych łączącą nas więź nadszarpnięto. Zerwać jej jednak przenigdy się nie da. Dopókim żyw, dopóty przy mnie będziesz, dziecko.

I zaszlochał

Mój drogi Ojciec płakał Trudno było na to patrzeć I choćbym nie wiedzieć ile go głaskał, całował i pocieszyć się starał, nic to nie

Niosłeś radość, rzekł. Wiedz to, proszę. Wiedz, żeś niósł radość. Nam. W każdej minucie, w każdej porze, niosłeś... dobrześ się spisał. Tak się spisałeś, że miło było cię znać.

I mówił tak do robala! Jakżem pragnął, żeby to do mnie powiedział Jakżem pragnął poczuć na sobie jego wzrok Pomyślałem zatem, zgoda, Bożiu dopomóż, dopnę tego, że mię ujrzy No i wszedłem Całkiem gładko Powiadam, czułem się z tym wcale nieźle Trochę jakbym na swe miejsce wracał A kiedym już znalazł się w środku i w mocnym ojcowskim uścisku, tkwiłem też po części w samym Ojcu

I dokładnie wiedziałem, kim jest

Czułem, jak leżą jego długie nogi Jak to jest, kiedy ma się brodę W ustach smakowało kawą i chociaż właściwie nie myślałem słowami, wiedziałem, że... *dobrze mieć go w ramionach. Dobrze mi to robi. Czy jest w tym coś niewłaściwego? Bluźnierczego? Nie, nie, on mój, nasz, muszą tedy być w tym rozumieniu tutaj bogiem; o wszystkim, co go dotyczy, sam mogę rozstrzygać. A to, wierzę, dobrze mi zrobiło. Pamiętam go. Znów. Kim był. Bom już trochę zapomniał. I oto: jego dokładne proporcje, ubranie wciąż jeszcze nim pachnące, pukiel włosów między mymi palcami, znajomy ciężar, którym tylekroć podnosił, gdy zasypiał w salonie, a ja z nim na rękach szedłem na górę do...*

*Dobrze mi to zrobiło.*

*Tak wierzę.*

*To sekret. Sekretna słabość, która mię podbudowuje; a podbudowując, sprzyja temu, bym w innych sprawach obowiązki swe wypełnił; przybliża kres tego okresu słabości; nikomu nie szkodzi; nie ma w tym zatem nic złego, odejdę stąd przeto z takim oto postanowieniem: mam prawo tu powracać, ilekroć zechcę, nikomu o tym nie mówiąc, dopóty przyjmując wszelkie wsparcie, jakiego mi te odwiedziny udzielą, dopóki wspierać mię one nie przestaną.*

A potem Ojciec dotknął głową mojej głowy.

Drogi chłopcze, rzekł, przyjdę tu jeszcze. Obiecuję.

willie lincoln

## XXII

Po jakiej półgodzinie ów niechluj opuścił domek z białego kamienia i niepewnym krokiem w ciemność odszedł.

Do domku wniknąwszy, zastałem chłopca w kącie siedzącego.

Mój ojciec, rzekł.

Tak, odparłem.

Powiedział, że jeszcze tu przyjdzie, dodał chłopiec. Obiecał. Ogarnęło mię niezmiernie, niewytłumaczalne wzruszenie. Cud to zaiste, rzekłem.

wielebny everly thomas

### XXIII

Okolo pierwszej dziś w nocy wedle niniejszego raportu przy bramie wjazdowej stawił się Prez. Lincoln prosząc abym go wpuścił rzeczoną bramą żem zaś nie widział wyboru zważywszy na jego stanowisko czyli Prezydenta godność wcale niemałą dla niego czy kogokolwiek innego rad nierad wpuściłem go chociaż jak ci wiadomo Tom podług protokołu po zamknięciu bramy nie lża jej roztwierać aż póki nie nadejdzie wyznaczona pora roztwierania znaczy się ranek lecz prosił mię sam Prez. toteż byłem w niejkiej rozterce a przy tym nieco otumaniony z racji pory późnej jakem już nadmienił i po wczorajszych zabawach w parku z mymi dziećmi Philipem Mary i Jackiem juniorem skąd zmęczenie i przyznam ci się krótka drzemka przy twym biurku Tom. Nie wypytywałem co Prez. tu w ogóle robi ani o nic innego i dopiero gdyśmy się wzrokiem spotkali popatrzył na mnie tak szczerze życzliwie i trochę boleśnie jakby chciał powiedzieć no cóż przyjacielu wiem że to nieco dziwne lecz wejrzenie miał tak stęsknione żem nie potrafił mu odmówić bo przecie jego synka ledwie co dziś pochowano więc sam pomyśl jak ty czy ja czulibyśmy się lub sobie poczynali w podobnie smutnym położeniu Tom gdyby twój Mitchell albo mój Philip Mary czy Jack junior oddał ducha no szkoda gadać.

Nie było z nim woźnicy ni stangreta bo przyjechał sam na niedużym koniku co mię mocno zdziwiło bo to przecie Prez. i w ogóle a nogi ma długachne koń zaś był niskawy więc wyglądało jakby jakiś insekt ludzkich rozmiarów przywarł do nieszczęsnej szkapki która gdy ją od brzemienia wreszcie uwolniono stała strudzona oklapła i zdyszana jakby sobie myślała będzie co po powrocie opowiadać innym konikom jeżeli nie będą spały i wtenczas Prez. poprosił o klucz do grobowca Carrollów więcem mu go dał a potem patrzyłem jak idzie przez smętarz i żalowałem żem nie był uprzejmy przynajmniej się zaofiarować z pożyczeniem lampy bo własnej nie miał tylko brnął w te egipskie ciemności jak pielgrzym co się na pustynne bezdroża zapuszcza Tom okropnie mię to zasmuciło.

A najdziwniejsze Tom że on tam tyle czasu mitręży. Kiedy to piszę jeszcze go nie ma z powrotem. Gdzież on się podziewa Tom. Zabłądził czyżby zabłądził. Zgubił drogę albo upadł i coś sobie złamał a teraz leży i woła.

Przed chwilą wyszłem posłuchać żadnych okrzyków.

Gdzież on jest o tej porze nie wiem Tom.

Może gdzieś tam w lesie wraca do siebie po tych odwiedzinach dając sobie popłakać w samotności?

Z dziennika stróżów Cmentarza na Dębowym Wzgórzu z lat 1860-1878, wpis Jacka Mandersa z nocy 25 lutego 1862, przytoczony za zgodą pana Edwarda Sansibela

## XXXIV

Trudno byłoby przecenić ożywcze działanie owej wizyty na społeczność naszą.  
hans vollman

Ludzie od lat nie widziani wyszli lub wypełzli i stanęli onieśmieleni, z zachwytem i niedowierzaniem gestykulując.  
wielebny everly thomas

Inni, których n i g d y ś m y dotąd nie widzieli, nareszcie z wielką tremą zadebiutowali.  
roger bevins iii

Któż mógł wiedzieć, że Edenston to tyci człeczyna w zielonym stroju i przekrzywionej na bakier peruce? Któż by zgadł, że Cravwell to niewiasta iście żyrafiej postury, w binoklach, z książką w ręku, zawierającą lekką poezję jej własnego pióra?  
hans vollman

Pochlebstwa, uszanowanie, uśmiechy, dźwięczny śmiech i czułe powitania dniowi owemu ton nadawały.  
roger bevins iii

Mężczyźni krążyli pod wysoko stojącym lutowym księżycem, ubiory swe wzajemnie chwając i gesty znajome powtarzając, jako to butem w ziemię kopanie, kamieniem rzucanie, ciosu pięścią markowanie. Niewiasty za ręce się trzymały, ku niebu zwróciwszy oblicza, i wzajem tytułowały się „miłą” lub „drogą”, raz w raz pod drzewami przystając, aby czynić sobie osobliwe wyznania przez wiele lat odosobnienia przemilczane.  
wielebny everly thomas

Ludzie byli s z c z ę ś l i w i, ot co; na nowo odkryli ów stan.  
hans vollman

Ożywiała ich świadomość, sama świadomość, że ktoś...  
roger bevins iii

Stamtąd...  
hans vollman

Że ktoś stamtąd raczył...  
roger bevins iii

Najbardziej niezwykle był dotyk.  
wielebny everly thomas

Samo przybycie kogoś z dawnego miejsca nie miało bowiem w sobie nic niezwykłego.  
hans vollman

O, tamci pojawiali się nawet dość często.

wielebny everly thomas

Z tymi swoimi cygarami, wieńcami, łzami, krepą, ciężkimi powozami i karymi końmi  
tupiącymi u bramy.

roger bevins iii

Te ich plotki, to ich skrępowanie, cedzone, nijak nas nie dotyczące słowa.

wielebny everly thomas

Ich ciepłe ciała, parujące oddechy, wilgotne gałki oczne, przyciasna bielizna.

roger bevins iii

Straszliwe szpadle, które o drzewa nasze niedbale opierali.

wielebny everly thomas

Ale dotyk. Mój Boże!

hans vollman

Nie żeby nas nigdy nie dotykali.

roger bevins iii

Ależ dotykali człowieka, i owszem. Wpychali go gwałtem do szpitalnej skrzyni.

hans vollman

Ubierali wedle własnego widzimisię. Zszywali i malowali, jeśli zaszła potrzeba.

roger bevins iii

Lecz gdy już go po swojemu urządzili, nigdy więcej go nie dotykali.

hans vollman

Prócz Ravendena.

wielebny everly thomas

No tak, Ravendena jeszcze potem dotknęli.

roger bevins iii

Ale ten rodzaj dotyku...

hans vollman

Nikt nie chce być tak dotykanym.

wielebny everly thomas

Dach jego kamiennego domku przeciekał. Woda uszkodziła szpitalną skrzynię.

roger bevins iii

Wywlekli ją na światło dzienne i zdarli wieko.

wielebny everly thomas

Była jesień, więc liście biedaka obsypały. A taki był dumny. Bankier. Twierdził, że ma wielki dom na...

hans vollman

Wywlekli go ze skrzyni i do nowej wrzucili, aż gruchnęło. I żartem spytali, czy bolało, a jeżeli tak, to czy skargę złożyć zamierza. Potem długo i ze smakiem palili, biedny zaś Ravenden (do pasa w skrzyni, a od pasa na zewnątrz, z głową pod nader niewygodnym kątem przechyloną) przez cały czas wściekał, żeby go łaskawie zechcieli ułożyć w mniej uwłaczającej...

wielebny everly thomas

Ten rodzaj dotyku...

roger bevins iii

Nikt go nie chce.

hans vollman

Ale to... było coś całkiem innego.

roger bevins iii

Tulenie, czas poświęcony, czułe słowa prosto do ucha szeptane? Mój Boże! Mój Boże!

wielebny everly thomas

Być dotykany tak miłośnie, tak tkliwie, jakby wciąż było się...

roger bevins iii

Zdrowym.

hans vollman

Jakby wciąż było się godnym czułości i szacunku? Podniosło nas to na duchu. Nadzieją natchnęło.

wielebny everly thomas

Może jednak nie byliśmy aż tak miłości niegodni, jakeśmy sądzić przywykli.

roger bevins iii



## XXV

Nie rozumcie nas opacznie. Byliśmy wszak niegdyś matkami, ojcami. Przez wiele lat byliśmy mężami, znamienitymi ludźmi, którzy zajęli tu owego pierwszego dnia z tak licznym i smutnym orszakiem, że gdy ten ruszył naprzód, aby oracji posłuchać, parkany nieodwracalnie pouszkadzał. Byliśmy młodymi żonami, zesłanymi tutaj w czasie porodu, kiedy bezlitosny ból przez okoliczność ową zadany z właściwych nam delikatnych przymiotów nas odarł, nasi zaś owdowiali małżonkowie tak nas miłowali, tak byli udręczeni grozą ostatnich chwil naszych (świadomością, żeśmy wpadły w ten straszny czarny dół, od siebie samych bólem oderwane), że nigdy potem żadnej innej nie pokochali. Byliśmy mężczyznami tęgiej postury, milcząco kontentymi, którzy już w zaraniu młodości pospolitość własną pojawszy, radośnie (jakby z rozbawieniem na barki brali ciężkie brzemie) życiu swemu inny kierunek nadali; skorośmy wielkości osiągnąć nie mogli, postanowiliśmy być użytecznymi; zamożnymi, łaskawymi, a przeto dobro czynić zdolnymi: z uśmiechem, z dłońmi w kieszeniach, patrzyliśmy, jak świat, który subtelnie naprawiamy, przechodzi mimo (oto pusty kufer posażny za naszą sprawą napęczniony; oto czyjeś kształcenie potajemnie ufundowane). Byliśmy jowialnymi, dowcipnymi sługami, których panowie nasi polubili za to, żeśmy umieli rzucić parę słów pociechy, gdy wyruszali na spotkanie ważkiego dnia. Byliśmy babciami, wyrozumiałymi i szczerymi powiernicami pewnych mrocznych sekretów, potrafiącymi słuchać bez osądzania, a tym samym ofiarowywać milczące wybaczenie i wpuszczać promyk słońca. Zmierzam do tego, żeśmy byli z n a c z n i. K o c h a n i. Nie samotni, nie zagubieni, nie dziwaczeni, lecz mądrzy, każdy i każda na swój sposób. Odejście nasze boleśnie przeżywano. Ci, co nas kochali, siadali na łózkach, głowę dłonią podpierając; twarze na stołach składali, iście zwierzęce dźwięki wydając. Byliśmy kochani, powiadam, i jeszcze po wielu latach na wspomnienie nasze ludzie się uśmiechali, wspomnieniem owym przelotnie uradowani.

wielebny everly thomas

A mimo to.  
roger bevins iii

A mimo to nikt nigdy tu nie przyszedł uściskać kogoś z nas, czule doń przemawiając.  
hans vollman

Przenigdy.  
roger bevins iii

## XXVI

Niebawem otoczyliśmy niby morze wezbrane domek z białego kamienia.  
wielebny everly thomas

I przepychając się w ścisku, chłopca o szczegóły jęliśmy wypytywać: Jak się czuł, kiedy go tak na rękach trzymano? Czy gość naprawdę obiecał znów go odwiedzić? Czy zaofiarował jaką bądź nadzieję zmiany zasadniczego położenia chłopca? A jeśli tak, to czy owa nadzieja nam także dostępną być mogła?

roger bevins iii

Czegośmy chcieli? Chyba tego, żeby chłopię nas d o s t r z e g ł o. Pragnęliśmy jego błogosławieństwa. Chcieliśmy wiedzieć, co ta najwidoczniej zakłeta istota sądzi o powodach, które każdemu z nas zatrzymać się tu kazały.

hans vollman

Bo prawdę rzekłszy, nawet w najsilniejszych spośród nas pozostał lekki osad powątpiewania w roztropność własnego wyboru.

roger bevins iii

Że zaś dzięki czułym atencjom owego dżentelmena chłopiec urósł w naszych oczach, zapragnęliśmy choć na chwilę z nim się stowarzyszyć.

wielebny everly thomas

Z tym nowo koronowanym księciem.

roger bevins iii

Niebawem korowód ludzi złąknionych rozmowy z chłopcem wypełnił ścieżkę aż do domu Everfielda, z płowego piaskowca wzniesionego.

hans vollman

## XXVII

Powiem krótko.

jane ellis

Wątpię.

pani abigail blass

Za pozwoleniem, pani Blass. Każdemu dana będzie...

wielebny everly thomas

„Raz kole Bożego Narodzenia zabrał nas Papa na cudowny festyn wiejski”. Brrr.

pani abigail blass

Proszę się nie pchać. Wystarczy stać gęsiego. Każdy kolei swej się doczeka.

hans vollman

Ona labidzi bez końca i zawsze musi być pierwsza. We wszystkim. Z jakiej racji, niech mi kto łaskawie powie, zasługuje na takie...

pani abigail blass

Niejednego mogłaby się pani od niej nauczyć, pani Blass, Proszę zauważyć jej postawę.

hans vollman

Jaki spokój zachowuje.

wielebny everly thomas

I jakie czyste ma zawsze odzienie.

roger bevins iii

Panowie?

Za pozwoleniem?

Raz kole Bożego Narodzenia zabrał nas Papa na cudowny festyn wiejski. Nad drzwiami u rzeźnika wisiał wspaniały lambrekin zwierzęcych ścierw: jelenie z wnętrzościami wywleczonymi na wierzch i niby niesamowite jaskrawoczerwone girlandy przyczepionymi drutem do tułowi; bażanty i kaczory głowami w dół powieszzone, ze skrzydły rozpostartymi na drutach obciążonych filcem w barwach poszczególnych piór (nader zręcznie to wykonano); po bokach drzwi stały dwie bliźniaczo podobne śwynie, a każdej dosiadał niczym karłowaty jeździec ledwo podrośnięty kurak. Wszystko to zielenią umajono i świecami obwieszono. Mię ubrano na białe. Byłam pięknym dzieckiem w białych szatkach, ze spadającą na plecy kosą włosów, którą ot tak, dla kaprysu raz w raz machałam. Chciałam dłużej tam zabawić, więcem dostała napadu złości. Aby mię ułagodzić, Papa kupił jelenia i pozwolił mi pomóc go przypiąć z tyłu powozu. Mam jeszcze przed oczyma tę scenę: za nami we mgle przedwieczornej wiejski krajobraz przemyka, zwisły bezwładnie jeleni wąską ścieżynkę za sobą pozostawia kropelkami krwi znaczoną, na niebie zapala się gwiazda za gwiazdy a pod nami strumyki bulgocą, gdy mkniemy po jęczących mostkach ze świeżo ściętych drzew, zmierzając ku domowi wśród gęstniejącego...

jane ellis

Brrr.  
pani abigail blass

Czułam się jak dziecko całkiem nowego gatunku. Nie przemieniono mię w chłopca (o, nie), lecz nie byłam już też (tylko) dziewczynką. Wcale a wcale mię nie dotyczył ten wyścig w pętach spódnic, wieczna krzątanina przy podawaniu podwieczorku.

Bo wiecie państwo, miałam wtedy tyle podniosłej nadziei.

Świat bezgranicznym się zdawał. Zamierzałam zwiedzić Rzym, Paryż, Konstantynopol. Oczyma duszy widziałam podziemne kafejki, w których mój przyjaciel (przystojny, hojny) i ja siedzieliśmy, przyciśnięci do wilgotnych ścian, debatując... o sprawach wielu. Głębokich zagadnieniach, nowych ideach. Na ulicach pałyły dziwne zielone światła, a nieopodal morze klaskało o tłuste od smaru, przechylone molo; coś wisiało w powietrzu - zamęt, rewolucja, w której mój przyjaciel i ja musieliśmy...

Lecz jak to często bywa, nadzieje me się nie... ziściły. Mąż mój nie był przystojnym ni hojnym. Był nudziarzem. Nie obchodził się ze mną brutalnie, ale też nie okazywał czułości. Nie jeździliśmy do Rzymu, Paryża ani Konstantynopola, tylko w kółko do Fairfaksu i z powrotem, w odwiedziny do jego leciwej matki. Miałam wrażenie, iż mię nie w i d z i, lecz jedynie posiąść się stara; stroszył na mnie te swoje karalusze wąsiki, ilekroć wychodziłam w jego oczach (a zdarzało się to często) na „głuptaskę”. Mówiłam coś, co prawdziwym i ważnym mi się zdało, na przykład o tym, że nie awansują go w pracy (wiecznie narzekał, ciągle sobie roił, że spisek ja-kowys przeciw niemu uknuto, a wobec takiego braku uszanowania o lada co klótnię wszczynął i wkrótce posadę tracił), dość mu jednak było nastroszyć wąsy i orzec, że mam na tę rzecz „niewieście spojrzenie”, aby zamknąć sprawę. Zbywał mię. Słyszeć, jak się chełpi wrażeniem, które rzekomo wywarł był na tym czy tamtym urzędniczynie swą „dowcipną” uwagą, chociaż sama przy tym byłam, słyszałam ową uwagę i zauważyłam, że urzędnik i jego żona ledwie zdołali nie roześmiać się w nos tej pompatycznej miernocie... wystawiało mię to na ciężką próbę. Bo widzicie państwo, byłam niegdyś tym pięknym dzieckiem w białych szatkach, z sercem pełnym Konstantynopola, Paryża i Rzymu, nieświadomym jeszcze, że jest istotą „niższego gatunku”, „tylko” niewiastą. A gdy z wieczora rzucał mi owo szczególne (jakże mi znajome!) spojrzenie, które znaczyło: „Szykuj się, damulko, wnet cię dopadnę, poczujesz me biodra i język, a wąsiki jakby nagle rozmnożone obleżą każde, by tak rzec, wniście, później zaś też nie dam ci spokoju, będę bowiem komplementów natarczywie się domagał”, to już było wprost nie do zniesienia.

A potem przyszły dzieci.

Tak, dzieci. Trzy cudowne dziewczynki.

W nich to znalazłam swój Rzym, Paryż i Konstantynopol.

On się nimi wcale nie interesuje, tylko ich używa, żeby się wywyższyć wobec ludzi. Jedną zbyt surowo beszta za jakieś drobne wykroczenie, nieśmiele wygłoszony pogląd drugiej bagatelizuje, wszystkie trzy głośno poucza, obwieszczając jakowąś oczywistość („Widzicie, dziewczęta, księżyc wisi między gwiazdami”), jakby ją dopiero co odkrył - po czym rozgląda się, sprawdzając, jakie męskość jego wrażenie na przechodniach wywiera.

jane ellis

Gdyby pani była uprzejma.

Wiele osób czeka.

pani abigail blass

I to o n ma się nimi opiekować?

Gdy mię z nimi nie ma?

Cathryn niezadługo pójdzie do szkoły. Kto zadba, żeby była ubrana jak należy? Maribeth ma chorą stopę, której się wstydzi, więc często wraca do domu zapłakana. Komu się wypłaczę? Alice się denerwuje, bo dała wiersz do oceny. Niezbyt udany. Mam zamiar dać jej do czytania Szekspira i Dantego, a potem razem trochę poezyj ułożymy.

Są mi teraz szczególnie drogie. Podczas tej przerwy. Szczęściem to tylko drobny zabieg u chirurga. W istocie rzadka chwila wytchnienia, która pozwala się rozejrzeć w swych...

jane ellis

Pani Ellis była niewiastą o dostojnej, wręcz majestatycznej prezencji, stale otoczoną przez trzy galaretowate kule, które unosiły się wokół niej, a w każdej tkwiła podobizna jednej z córek. Niekiedy urastały do olbrzymich rozmiarów i napierały na nią z góry, wyciskając z niej krew tudzież inne płyny, a ona wiała się pod kul owych straszliwym ciężarem, wzbraniając się krzycheć, świadczyłyby to bowiem, że jest niekontentą, lecz gdy kule oddalały się od niej, wielce ją to dręczyło, musiała tedy uganiać się za nimi, próbując je odnaleźć, a znalazłszy, płakała z ulgi, wnet jednak znów ją przytłaczały; aliści najcięższe męczarnie przeżywała wtedy, gdy jedna z kul ustawiała się przed samymi jej oczyma, ludzką wielkość przybierając i przeźroczyściejąc aż po najdrobniejsze szczegóły ubioru, wyrazu twarzy, nastroju etc. córki, co tkwiła wewnątrz owej kuli, dziewczę zaś poczynano z przejściem opisywać jakowąś trudność, która je trapiła ostatnimi czasy - zwłaszcza w obliczu nagłej nieobecności pani Ellis - ta zaś z niezmierną przenikliwością i żarliwą miłością objaśniała współczującym tonem nieszczęsnemu dziecku najlepszy sposób wydobycia się z tej opresji, lecz niestety (i na tym właśnie polegała udręka) dziecko wcale jej nie widziało ani nie słyszało, toteż na oczach pani Ellis miały nim coraz straszliwsze paroksyzmy rozpaczy, podczas gdy biedna niewiasta poczynano biegać tam i sam, robiąc uniki przed kulą, która ścigała ją z przemyślnością zaiste godną miana sadystycznej, każdy jej ruch uprzedzając i nieustannie napataczając się przed oczy, których pani Ellis, jeśli wzrok mię nie mylił, w takich chwilach zamknąć nie była zdolną.

wielebny everly thomas

W inne zaś dni każda napotkana osoba przejawiała się w postaci olbrzymich wąsisków na dwóch nogach.

hans vollman

Nie jest jej lekko, o nie.

roger bevins iii

Nie tak znów ciężko. Jest bogata.

Poznać po głosie.

pani abigail blass

Czy mogę prosić panicza o przysługę?

jane ellis

Tupeciara.

pani abigail blass

Jeżeli przyjmą tam panicza z powrotem, czy nie zechciałby panicz sprawdzić ubrań

Cathryn, pocieszyć Maribeth i powiedzieć Alice, że pierwsza nieudana próba to żaden grzech? Niechaj je panicz zapewni, że myślę o nich, odkądem tutaj zawitała, do domu wrócić się staram i nawet gdy mi eter podawano, myślałam o nich, o nich i tylko...

jane ellis

Weź pan pieniądze, rzekłem. Jestem spokojny.  
pan maxwell boise

Znowu mię odtrącono?  
Bom mała?  
pani abigail blass

Może dlatego, żeś pani taka brudna.

roger bevins iii

Żyję tuż przy ziemi, łaskawy panie. Jak pan zapewne...  
pani abigail blass

Pani kapcie są czarne od brudu.  
roger bevins iii

Weź pan pieniądze, rzekłem. Jestem spokojnym.

I pan też zechciej łaskawie spokój zachować, dodałem. Nic mi o tym nie wiadomo, żeby była między nami jakakolwiek wrogość. Załatwny to jak prostą transakcją między dwoma ludźmi interesu. Wręcę panu pugilares, tak oto, i za pańskim pozwoleniem ruszę w dalszą...

Nie, nie, nie.

Nie nie nie.

Byłoby to wielkim błędem i nielogicznością, gdybyś pan... Niskie gwiazdy, niewyraźne zarysy dachów.

Jam zaś prze bity.  
pan maxwell boise

Proszę teraz spróbować, pani Blass.  
roger bevins iii

Pani Blass, osławiona sknera, brudna, siwowłosa i maleńka (mniejsza niżli niemowlę), uganiała się po całych nocach, kamienie i gałązki obcmokując, wokół siebie je gromadząc, zajadła ich broniąc, godzinami licząc i wciąż na nowo przeliczając ów skromny dobytek.

wielebny everly thomas

Gdy wreszcie nadarzyła się sposobność przemówienia do chłopięcia w przytomności świętującego tłumu, przyprawiło to ową filigranową damę o raptowny napad tremy.

hans vollman

Ma pani, jak mniemam, tysiąc trzysta dolarów zdeponowane w Pierwszym Banku?  
wielebny everly thomas

Tak.

Dziękuję, pastorze.

Mam tysiąc trzysta dolarów w Pierwszym Banku. W pokoju na piętrze, którego dokładne położenie przemilczę, trzymam cztery tysiące w złotych monetach. Posiadam też dwa konie, kóz piętnaście, kur trzydzieści jeden i sukienek siedemnaście, wszystko razem warte w sumie około trzech tysięcy ośmiuset dolarów. Ale jestem wdową. Pozorne bogactwo to w istocie ubóstwo. Trwa wieczny odpływ bez chwili przyływu. Kamyki turlają się w dół po zboczu, lecz nie wtaczają się z powrotem na górę. Pojmujecie zatem panowie mą niechęć do marnotrawstwa. Mam ponad czterysta gałązek i prawie sześćdziesiąt kamyków rozmaitej wielkości. I jeszcze dwa szczątki martwych ptaków, a drobiniek ziemi tyle, że nie sposób je porachować. Przed udaniem się na spoczynek liczę owe ptasie szczątki, gałązki, kamyki i drobinki, obcmokując je po kolei, aby się przekonać, czy aby wciąż istnieją. Po przebudzeniu często stwierdzam, że kilku brak. Dowodzi to obecności złodziei i uzasadnia pewne skłonności, za które wielu tutaj, jak mi doskonale wiadomo, surowo mię osądza. Nie są oni jednakowoż starymi kruchymi kobietami wśród wrogów, przy wiecznie trwającym odpływie, odpływie, odpływie...

pani abigail blass

Tyłu jeszcze czekało Falująca masa szarości i czerni Jak okiem się Ludzie w blasku księżycy pod gołym niebem przepychali się i potracali, na palce się wspinając, aby zobaczyć

Mnie

Wsuwali głowy w drzwi, aby wykrzyczeć swe smutne To czy tamto Żaden nie był kontent Wszyscy skrzywdzeni Poniechani Przeoczeni Niezrozumiani Wielu w staroświeckich sztylpach, perukach i

willie lincoln

Gdym w Kwiecie Młodości, Aksamitną swą Kurtą w wesołym kolorze czerwieni okryty, Żywopłoty Wiośniane mijał, zaiste grackom się prezentował. Kto tylko mię obaczył, wysokie miał o mnie mniemanie. Światowcy na mój Widok Jąkać się poczynali, a SMOLUCHY me trwożnie z drogi się usuwały, kiedym przechodził Mimo.

I o tym Młodzian nasz wiedzieć winien.

W niejedną Noc udatniem Chuć swą z siebie wymłócał, już to na mej Żonie poćciwej, już to - gdy niedysponowaną była - na SMOLUSZKACH swych, którym tak właśnie zwał, ile że są zaiste jak Noc ciemne, na obraz i podobieństwo POLAN SMOLNYCH, skąd Żar wielki we mnie się budził. Dość mi było Ucapić jakowąś SMOLUSZKĘ, na krzyki jej SMOLUCHA nie bacząc, abym...

porucznik cecil stone

Dobry Boże.

hans vollman

Nie brak mu dziś werwy.

roger bevins iii

Zważ, Poruczniku, że to jeszcze dziecię.

hans vollman

I Poćciwy był to uczynek, gdym tak Umniejszał owego SMOLUCHA w Oczach Reszty, czym zaś szersze Wieść o owym Umniejszeniu kręgi zataczała, tym lepiej się Sprawowali, toteż Nazajutrz w dzień roboczy Olbrzym by naj-więwszy spośród SMOLUCHÓW Wzrok spuszczał, jam to bowiem dzierzył BICZ i PISTOLET, a każdy SMOLUCH wiedział, że jeśli mię Obrazi, w Noc najbliższą ściągnę zeń słone Myto w osobie jego Najdroższej, kopniakiem Drzwi jego Chaty wyważając, DZIEWKĘ na dwór wywlekając, iżby ją uprowadzić na swe Pokoje, gdzie też wnet Zaczynała się taka Zabawa, że ze SMOLUSZKI istne się ISKRY sypały. Na Polach mych Spokój tedy panował, ilekroć zaś Rozkaz żem wydawał, Rąk Tuzin czym prędzej spieszył go Wypełnić, a żółte Znużone ślepia ukradkiem na mnie zerkały, czym aby Dostrzegł Skwapliwość SMOLUCHÓW i czy pofolguję im tudzież ich Najbliższym, z inszą SMOLUSZKĄ Rozkoszy zaznając.

Tą modą SMOLUCH mym Sprzymierzeńcem się stawał, a dla swych Pobratymców był odtąd Wrogiem.

porucznik cecil stone

Podczas takich przyływów buty i zadzierzystości masa ciała Porucznika Stone'a, przechwałkami owymi pobudzana, wzwyż się wyciągała, tworząc coś na kształt wąskiego, pionowego czepca. Że zaś objętość jej niezmienną pozostawała, ów wzrost raptowny niezmiernie go poceniał, aż gdzieniegdzie stawał się Porucznik wąskim dosłownie jak ołówek, zarazem dorównując wysokością najokazalszym spośród sosen naszych.

Powiedziawszy swoje, odzyskiwał Porucznik zwykłe proporcje, stając się na powrót mężczyzną średniego wzrostu, pięknie odzianym, lecz z okropnie popsowanymi zębami.

wielebny everly thomas

Możemy podejść, paniczu? Kobitka i ja?

eddie baron

O, nie. Nie, nie. To niestety wykluczone w tej akurat...

wielebny everly thomas

Trznić to!

betsy baron

Każden jeden się swojej kolei doczeka! Samiśta gadali!

eddie baron

Bylim na dnie i jeszcze spadlim. Głównie to chcemy...

betsy baron

Nawet żeśmy się nie potrudzili, żeby przetaszczyć nasze galante graty do tej za....ej budy nad rzeką. Jak ten za....y Szwed nas wykopał z mieszkania na G.

eddie baron

Nie dalim nawet rady przetachać tej k....sko pięknej kanapy przez za....e wejście do za....ej nadrzecznej budy.

betsy baron



A to za....e wejście do za....ej budy nad rzeką ani się umywało do tych p.....ych drzwi, cośmy je mieli na G. To dopiero były drzwi! Tamte z za....ej budy nad rzeką nawet nie śmiałyby powiedzieć, że w ogóle są drzwiami, jakby chociaż raz zobaczyły te k....sko wspaniałe drzwi na G.

Ale cośmy się zabawili, to nasze.  
eddie baron

Nad rzeką.  
betsy baron

Wszyscy na bani, spychalim się nawzajem do tej je...ej rzeki! Z zapalonymi cygarami i w ogóle! A Cziesniewski co i rusz próbował wymówić „Potomac”!  
eddie baron

Każden jeden ciskał kamieniami w praczki!  
betsy baron

A pamiętasz, jak ten, no, jak mu tam, Tentini o mało co nie utonął? A jak pułkownik B. go ocucił, Tentini pierwsza rzecz kazał se podać kufel je....go ponczu!  
eddie baron

Może już starczy, zimno wycedził Wielebny.  
roger bevins iii

A pamiętasz, jak zostawilim małego Eddiego na placu Defilad?  
betsy baron

Po tym czymś Polka<sup>1</sup>.  
eddie baron

Golnelim se parę.  
betsy baron

Nic mu się nie stało.  
eddie baron

Może nawet wyszło na dobre.  
betsy baron

Zahartowało chłopaka.  
eddie baron

Nikt nie umiera od tego, że koń go nadepnął.  
betsy baron

Najwyżej będzie trochę kulał.  
eddie baron

I już zawsze bał się koni.  
betsy baron

No i psów.  
eddie baron

Ale od łożenia w tłumie przez pięć godzin jeszcze się nie umiera.  
betsy baron

Wiesz co? To nawet człowiekowi wychodzi na dobre. Bo potem już umi łażyć pięć godzin w tłumie i nie beczeć ani nie tchórzyc.  
eddie baron

No, trochu beczał i tchórzyl. Jak już się wrócił do domu.  
betsy baron

O, słodki J..u, jak człowiek chroni tych p.....ych s.....ów przed wszystkim, to ani się obejrzy, jak zaczynają go wołać do wychodka, żeby im podetał s..kę.  
A swoją drogą trza przyznać, że mały Eddie i Mary Mag zawsze sami se podcierali s..ki.  
eddie baron

No i nie mielim wychodka.  
betsy baron

S...im, gdzie popadło.  
eddie baron

Czego oni nas nigdy nie odwiedzają? Tegom ciekawa. Jak długo już tu jesteśmy? K....ski kawał czasu. A oni ani razu...  
betsy baron

Trzniać ich! Te j...ne żmije wyrodne ni ch..a nie mają prawa ni ch..a mieć nam za złe, dopóki tak jak my nie zeżrą k.....kiej beczki soli, a jeszcze nie zeżarły ani pół k.....kiej beczki.  
eddie baron

Dosyć na tym, uciał Wielebny.  
hans vollman

To byli Baronowie.  
roger bevins iii

Leżeli na drodze w sztok pijani, aż przejechał ich oboje naraz powóz, po czym na czas rekonwalescencji wrzucono ich do haniebnego, bezimiennego dołu, zbiorowej jamy szpitalnej tuż za złowrogim parkanem z żelaza, gdzie jako jedyni biali spoczywali wśród przedstawicielei smagłej rasy i nikt - ni blado-, ni czarnolicy - nie miał tam szpitalnej skrzyni, w której mógłby

należycie zdrowieć.  
hans vollman

Było to nie całkiem *comme il faut*, że Baronowie do rozmowy z chłopcem prawo sobie rościli.

wielebny everly thomas

I że w ogóle przeszli na tę stronę parkanu.  
hans vollman

I nie o majątność tu idzie.  
wielebny everly thomas

Jam wszak nie był majątnym.  
hans vollman

Cała rzecz w postępkach. W - nazwijmy to tak - „majątności ducha”.  
wielebny everly thomas

Wszelako Baronowie chadzali, gdzie im się żywnie podobało. Parkan nie był dla nich żadną przeszkodą.  
hans vollman

Równie jak w dawnym miejscu rozpasani.  
wielebny everly thomas

Ha.  
roger bevins iii

Ha, ha.  
hans vollman

Po Baronach nadeszli, depcąc sobie po piętach: pan Bunting („Z pewnością nie mam czego się wstydzić”), pan Ellenby („Przyszłem do tego tutaj miasta z siedmioma dolarami w portkach zaszytymi i ani mi się śni iść dalej w żadne holeryczne miejsce, puki ktoś mi nie powi, gdzie do Dyabła się podzieli moje dolary”) i wreszcie pani Proper Fessbitt („Błagam, niechaj choć przez jedną ostatnią Godzinę nie Nęka mię ból ten straszliwy, iżbym mogła Pożegnać swych Najmilszych w Pogodniejszym nastroju”), która doczołgała się do drzwi, zastygła w takiej samej skurczonej pozie płodu, w jakiej spędziła ostatnie lata obłożnej choroby w dawnym miejscu.

roger bevins iii

Dziesiątki innych wciąż niecierpliwie czekały rozmowy z chłopięciem, świeżą nadzieją natchnione.  
hans vollman

Nie było jej dane się ziścić, niestety.  
wielebny everly thomas

## XXVIII

Niebawem poznaliśmy po pewnych znajomych znakach, że coś się kroi.  
roger bevins iii

Stało się to tak jak zawsze.  
wielebny everly thomas

Na całej posesji cisza zapadła.  
roger bevins iii

Słysząc było, jak zimowe gałęzie trą o inne, równie bezlistne.  
hans vollman

Zerwał się ciepły wietrzyk, niosąc mnogość pocieszających woni, jako to trawy, słońca, piwa, kołder, śmietany, przy czym każde z nas czuło inną ich kompozycję, każdego bowiem co innego pociesza.  
roger bevins iii

Kwiaty niezwykłych barw, wielkości, kształtów i zapachów wyrosły nagle z ziemi, w pełni rozwinięte.  
wielebny everly thomas

Szare lutowe drzewa kwieciami się okryły.  
hans vollman

I owoc wnet wydały.  
wielebny everly thomas

Wedle życzeń każdego z nas: dość było powędrować myślą ku jakowejś barwie (dajmy na to, srebrzystej) i kształtowi (gwiazdy), aby gałęzie drzewa, które zaledwie przed chwilą stało bezpłodne, zimomartwe, pod urodzajem gwiazdosrebrnych owoców natychmiast się ugięły.  
roger bevins iii

Ścieżki między naszymi wzgórkami, odstępki między drzewami, siedzenia ławek, rozwidlenia konarów i same konary (krótko mówiąc, każdy wolny cal) samoistnie napełniły się, a potem wręcz przepełniły wszelkiego rodzaju jadłem: w garnkach i na wytwornych talerzach; na różnach między gałęziami zawieszonych; w korytach złotych; w wazach brylantowych; w maleńkich szmaragdowych sosjerkach.  
wielebny everly thomas

Od północy ściana wody nadciągnęła, która wnet z istic wojskową akuratnością na dziesiątki pomniejszych strug się podzieliła, toteż każdy kamienny domek i wzgórek chorego zyskał wkrótce własny, dla się tylko przeznaczony strumyk; woda zaś w owych strumykach czarownie przemieniała się w kawę, wino i whisky, zanim na powrót wodą się stała.  
hans vollman

Dobrześmy jednak wiedzieli, że wszystko to (owocujące drzewa, wonny wietrzyk, jadalna obfitość niewyczerpana, bajeczne strumienie) jest jeno, by tak rzec, forpocztą tego, co dopiero nadciąga.

wielebny everly thomas

Co lub kto.

hans vollman

Przodem przez tamtych wysłaną, aby nas zmiękczyć.

wielebny everly thomas

Zatwardziliśmy tedy serca nasze.

hans vollman

Najlepiej było w kłębek się zwinąć, uszy dłońmi zasłonić, oczy zamknąć i twarz w ziemię wcisnąć, aby piach nozdrza zatkał.

roger bevins iii

Trzymajmy się mocno! - zakrzyknął pan Vollman.

wielebny everly thomas

I wtedy na nas natarli.

hans vollman

## XXIX

Wkroczyli długim pochodem.  
hans vollman

Każde z nas w innej postaci ich widziało.  
wielebny everly thomas

Jako dziewczęta w letnich sukienkach, ogorzałe i radosne, z rozpuszczonymi włosami, bransolety z źdźbeł trawy splatające, wśród chichotów przechodzące: wiejskie panny, pogodne i wesołe.

Jak ja.  
Jak ja przed laty.  
pani abigail blass

Jako piękny rój młodych oblubienic w zwiewnych szatach o trzepoczących kołnierzach z jedwabiu.

hans vollman

Jako anielice, troskliwie zaprzątnięte swymi osobliwie cielesnymi skrzydły, po jednym dużym skrzydle na niewiastę, które to skrzydło po wciągnięciu do wewnątrz bladą, ciasno zwiniętą, przyległą do kręgosłupa chorągwią się stawało.

wielebny everly thomas

Jako setki sobowtórów Gilberta, mego pierwszego (i jedyne!) kochanka. Wyglądały całkiem jak on wtedy, w owo nasze najlepsze popołudnie w wozowni, z biodrami szarą derką niedbale owiniętymi.

roger bevins iii

Jako me dziewczynki, Cathryn, Maribeth i Alice. Mnogie sobowtóry każdej z nich szły, trzymając się za ręce, z włosami w kunsztowne koki zaplecionymi, każda zaś miała na sobie suknię z ostatniej Wielkanocy, a w ręku słonecznik.

jane ellis

Orszak Powitalny młodych SMOLUSZEK (ubranych w swe faworytne Kiecki prostackiego Kroju, co z Ramion im się zsuwały, pozór rozmyślnej Zdzirowatości nadając) wystąpił, aby się Płaszczyc przede mną; częstom jednak był Widywał i Poskramiał dziewczki ich Pokroju, więc i tym razem Stolec Brunatny a Obfity złożyłem im w Hojnym Darze, po czym do Domum się Udał, aby tam zaczekać, aż Odejdą.

porucznik cecil stone

Oblubienice skradały się chyłkiem niby łowcy, jakiegokolwiek oznaki słabości wypatrując.  
hans vollman

Gdzież mój drogi pastor? - zawołała archanielica, a w głosie jej dźwięczały owe kruche szklane dzwoneczki, którymi zawsześmy dzwoniли w Wielkanocną Niedzielę.

wielebny everly thomas

Jeden z wielu Gilbertów podszedł i klękawszy przy mnie, poprosił, abym łaskawie przestał uszy sobie zatykać i choć raz nań spojrzeć.

Miał w głosie coś takiego, że nie sposób było mu się oprzeć.

Wyglądał zaiste przepięknie.

Pójdź z nami, wyszeptał. Nie masz tu nic krom dziczy i ułudy. Tyś z lepszej gliny ulepiony. Pójdź z nami, wszystko ci wybaczone.

Wiemy, coś uczynił, rzekł drugi Gilbert. Nic to.

Nie uczynilem, odparłem. To się nie dokonało.

Otóż dokonało się, rzekł pierwszy Gilbert.

Mogę jeszcze się cofnąć, powiedziałem.

Drogi chłopcze, rzekł wtóry.

Zmięknij, zmięknij, dodał trzeci.

Tyś fala o brzeg roztrzaskana, dorzucił czwarty.

Bądźcie uprzejmi się nie fatygować, odrzekłem. Słyszałem już wszystkie te...

Coś ci powiem, ostro wtrącił Gilbert drugi. Nie leżysz na żadnej podłodze w żadnej kuchni. Prawda? Rozejrzyj się, głupcze. Tylko się mamisz. To się dokonało. Nie masz odwrotu.

Mówimy ci to wszystko, iżby cię w podróż co najrychlej wyprawić, wyjaśnił pierwszy.

roger bevins iii

Jedną z wiejskich dziewczyn była Miranda Debb! Prawdziwa jak borowik, siadła przy mnie po dawnemu, skrzyżowawszy nogi pod spłowiałą żółtą spódnicą, którą tak zawsze lubiła. Tylko że teraz wydawała się w porównaniu ze mną taka duża, istna olbrzymka!

Ciężkie czasy na cię nastąpiły, miła Abigail, co? - zapytała. - Często budzisz się i widzisz, że brak paru drobiazgów, nie? Ho chodź, chodźże z nami, przyszłyśmy cię uwolnić. Widzisz przecie nasze ręce, nogi, uśmiechnięte twarze. Miałybyśmy kłamać? My, takie zdrowe z wyglądu? My, któreśmy tak długo cię znały? Pamiętasz ten letni dzień, kiedyśmy się kryły w stogu siana? A twoja matka cię wołała? Zakopywałyśmy się w sianie, wniebowzięte, że mamy kryjówkę!

Tam, dokąd cię zabierzemy, jest właśnie tak, tylko jeszcze milion razy lepiej, dodała inna, w której żem nagle rozpoznała drogą mą druhnę Cynthię Hoynton we własnej osobie!

pani abigail blass

Eddie, czy to aby nie ta p.....ona Królówka? - pyta mię się moja Betsy.

A któżby inszy! Królówka to jedna z tych zdzir od Perdy'ego. Co umiała galanto otrąbić fanfarę.

Może już pora dać za wygraną, wodzu, mówi Królówka.

A j.b się w świński zad, ja jej na to.

Eddie, rzecze Betsy.

Sp.....aj, mówię jej. Wiem, co robię.

A co mianowicie? — pyta się Królówka.

A niech cię Dy..li porwą, powiadam.

Żona twoja inne mieć może zdanie, odpowiada.

Właśnie że nie, mówię. Sp.....aj. Podróżujemy oba razem.

Czyżby, rzecze Królówka.

Betsy miała spuszczone oczy.

Grzeczna dziewczynka, mówię jej. Tak trzymać. Dopóki się na nią nie spojrzysz, dopóty



ta k...a nie da rady cię wp.....ić w żadne k.....two. Nie przyszłyśmy tu nikogo w nic wp.....ać, powiada Królówka.

A weź mi otrąb fanfarę, ja jej na to.

Jak będziesz nas potrzebować, mówi do Betsy. Wołaj w każdej chwili.

Wynocha, powiadam jej. Podpuszczalska.

eddie baron

Gdy anielice na chwilę cofnęły się *en masse* w promień księżyca, aby światłością swą pospólną mię olśnić, ujrzałem, głowę podniósłszy, rozpostarty wokół domku z białego kamienia istny obraz cierpienia: były nas tam dziesiątki, a wszyscy zastygli w niedoli - skuleni, brzuchami do ziemi przywarci, pełznący, skrzywieni z bólu w obliczu naporu, któremu każdy po swojemu czoło stawiał.

wielebny everly thomas

Abbie, pozwól, moja droga, że ci coś pokażę, rzekła Miranda Debb.

I twarz mą w obie dłonie ujęła.

I wtedy zobaczyłam! Tam, dokąd chciały mię zabrać, miał trwać wieczny przypływ bez chwili odpływu. Mieszkałabyś na szczycie wzgórzka, a kamyki zawsze toczyłyby się pod górę. Zbliżywszy się do mnie, każdy na pół by się rozpuknął.

W środku byłaby pigułka. Tę zażywszy, miałabym - o, Glorio! - wszystko, czego mi było trzeba.

Choć raz.

Choć raz w życiu.

Miranda opuściła dłonie, które mi twarz obejmowała, i natychmiast w to samo miejsce wróciłam.

Podobało ci się? - spytała Miranda.

Bardzo, przyznałam.

Pójdźże tedy z nami, rzekła jej przyjaciółka, a ja rozpoznałam w niej pocziwą Susannę Briggs (!), która właśnie związywała sobie włosy chustą, długie źdźbło trawy w ustach trzymając.

Dwie inne w pobliskim wąwozie bawiły się w berka. Czyżby to były Adela i Eva McBain? Ależ tak! Kilka krów miłośnie przyglądało się ich zabawie. Dziwnym mi się zdało, że krowom ze ślepiów miłość wyziera, lecz sama obecność owych słodkich dziewcząt świat przemieniła!

Nie mogę uwierzyć, żeś jest starą wdową, powiedziała Miranda Debb.

I że tak zmaliałaś, dodała Susanna Briggs.

A zawsze byłaś taka piękna, rzekła Miranda Debb.

Ciężkie miałaś życie, powiedziała Cynthia Hoynton.

Wciąż tylko odpływ i ani chwili przypływu, powiedziała Susanna Briggs.

Kamyki turlały się w dół, nigdy pod górkę, wtrąciła Cyntia Hoynton.

Nigdy w życiu nie dostałaś, ile ci się należało, powiedziała Miranda Debb.

Łzy w oczach mi stanęły.

Szczera prawda, rzekłam.

Tyś fala o brzeg roztrzaskana, powiedziała Miranda. Mówimy ci to wszystko, iżby cię w podróż co najrychlej wyprawić, wyjaśniła Susanna.

Ja na to, że się w tym nie rozeznaję, ale miałabym wielką chętkę na jeszcze jedną taką pigułkę.

Pójdźże tedy z nami, zachęciła mię Miranda.  
McBainówne w wąwozie znieruchomiały, nasłuchując. Takoz i krowy. I cała trzoda też jakby zacichła.

Byłam strasznie zmęczoną i to już od bardzo dawna.  
Chyba z wami pójde, powiedziałam.  
pani abigail blass

Na lewo ode mnie rozległ się krzyk - nie wiedziałem, grozy czy triumfu - po nim zaś znajomy, lecz zawsze mrozący do szpiku kości huk wystrzału, co wtóruje każdemu zjawisku rozświtu materii.

Kto odszedł?  
Poznać nie umiałem.  
A zresztą sam wciąż zbyt natarczywie byłem obleganym, aby mię to obejść mogło.  
hans vollman

Jakby zagrzani owym zwycięstwem dręczyciele nasi wysiłki zdwoili.  
wielebny everly thomas

Z nieba posypały się płatki róż, radośnie kuszące: czerwone, różowe, żółte, białe, purpurowe. A potem przejrzyste płatki; i pasiaste; i nakrapiane, a nawet przyozdobione (co było widać, gdy się takowy płatek z ziemi podniosło i uważnie mu przyjrzało) szczegółowymi (aż do złamanych łodyg kwiatów i upuszczonych zabawek) rysunkami z lat dziecinnych. I w końcu chlusnęła ulewa złotych (szczerozłoty!) płatków, które z cichutkim brzękiem a to o drzewo, a to o płytę kamienną trącały.

roger bevins iii

I nagle: śpiew. Piękny śpiew, przepełniony tęsknotą, obietnicą, otuchą, cierpliwością, głębokim zbrataniem.

hans vollman

Do głębi nas wzruszał.  
wielebny everly thomas

Chciało się, k..wa, tańcować.  
betsy baron

Ale też chciało się, k..wa, płakać.  
eddie baron

W tańcu.  
betsy baron

Przyszła Matka Chyba z dziesięć Matek Ale żadna ani trochę Nią nie pachniała To dopiero psikus Nasłać na samotnego człowieka dziesięć rzekomych matek

Pójdź z nami, Willie, rzekła jedna.

Lecz nagle Ni stąd ni zowąd Zapachniały jak należy Całkiem tak I zbliżyły się do mnie ową należytą wonią otulając

Mamo O mój Boże Stare dobre  
Tyś fala o brzeg roztrzaskana, rzekła druga Matka  
Drogi Willie, rzekła trzecia  
Willie najdroższy, dodała czwarta  
A wszystkie te Matki bardzo mię kochały i chciały ze sobą zabrać i obiecały do domu  
zaprowadzić jak tylko będę gotów.  
willie lincoln

Kiedy w pełni zaznasz rozkoszy małżeńskiego łoża; kiedyż ujrzysz nagą postać Anny; kiedyż zwróci się ku tobie, owym szczególnym nastrojem owładnięta, ze zgłodniałymi ustami, zarumienionym licem; kiedyż jej włosy, wyuzdanie rozpuszczone, spłyną wreszcie na cię? (Tak mówiła Elsbeth Grove, kuzynka mej żony - a raczej arcyudatnie podszywająca się pod jej obraz i podobieństwo istota — odziana w zwiewną szatkę z trzepoczącym kołnierzykiem z jedwabiu).

Powiem ci kiedy, rzekła druga oblubienica, w której nagle rozpoznałem własną kochaną Babkę (również okrytą - cokolwiek żenująco - zwiewną szatką z trzepoczącym kołnierzykiem). Otóż nigdy. To już skończone. Mamisz się, Kugel.

Od czasu poprzednich swych odwiedzin wywiedziały się jakoś o mój przydomek.

Anna trafi się tym, że wciąż tu tkwisz, dodała Elsbeth. Prosiła, abym ci to przekazała.

Słabłem z każdą sekundą, więcem rozumiał, że muszę zna leżć sposób obrony.

A czy ona tam teraz jest? - spytałem. — Czeka na mnie? Tam, dokąd tak wymownie mię zapraszacie?

I tum je miał, choć bowiem bez żenady zwodzą i mamią, wołą jednakowoż nie kłamać.

Rumieńcem się oblawszy, Elsbeth niespokojne spojrzenie Babce rzuciła.

Trochę... trochę trudno odpowiedzieć na twe pytanie, odrzekła.

Wyście demony, oświadczyłem. Przybieracie owe znajome postaci, aby mię tam zwabić.

Co ty pleciesz, Kugel! Myśmy uczciwie! - zawołała Babka.

A czy ty sam równie uczciwie prawdzie o swym położeniu w oczy patrzysz? - zapytała Elsbeth.

Czy aby na pewno jesteś „chorym”, Kugel? - dodała Babka. - Czy doktorzy kładą chorych do „szpitalnych skrzyń”?

Nie pomnę, by kiedy za naszych czasów leczono tą modą, rzekła Elsbeth.

Jaki zatem stąd wniosek, Kugel? - ciągnęła Babka. - Kim jesteś? I gdzie? Przyznaj, najmilszy, uwierz w to i powiedz na głos, skorzystaj ze sposobności i dołącz od nas.

Mówimy ci to wszystko, iżby cię w podróż co najrychlej wyprawić, oświadczyła Elsbeth.

Ujrzałem tedy, że pora sięgnąć po najskuteczniejsze antidotum.

Do kogo mówicie? - zapytałem. - Kto was słyszy? I kogo same słuchacie? Za czyją ręką podążacie wzrokiem, gdy unosi się ona, niebo wskazując? Skąd płynie głos, który w tej oto chwili sprawia, że nagle robicie zacukane miny? Jam jest jego źródłem. Jestem tu. Czyż nie tak?

Wywarło to ten co zwykle skutek.

Zmieszane i z sił opadłe oblubienice zbiły się w gromadkę, naszeptując, aby nowy plan szturm ukuć.

Szczęściem w tejże chwili ich oszukańczą naradę zakłóciły jeszcze dwa wyraźne, osobne odgłosy zjawisk rozswitu materii, przy wtórze huku wystrzału - jeden od południa, drugi zaś od północnego zachodu.

hans vollman

Jak huknęło, to Eddie zara dał dyla.

Czasem dostaje k.....go pietra od różnych z.....stw.  
Jedna z tych zdzir podeszła prosto do mnie. I wtedy żem się tropła, że to nie żadna zdzira. Tylko nasza własna córka, Mary Mag! K....sko wystrojona! Wreszcie się wybrała z wizytą w odwiedzin! Po tylu za....ych latach bez odwiedzin!  
Mamo, powiedziała. Przepraszamy za te zaniedbania. Everett i ja.  
Co to znowuż za jakiś Everett? - zapytałam.  
Wasz syn, ona na to. Mój brat.  
Znaczy się Edward? - pytam się ją. - Eddie? Mały Eddie? Tak, Edward, racja, przepraszam, powiedziała. W każdym razie już dawno powinniśmy byli przyjść. Ale byłam okrutnie zaprzętniętą. Własną pomyślnością. I tym, że mię kochają. I wydawaniem na świat wielu dzieci nadzwyczajnej urody I inteligencji. Tak samo jak Everett.  
Edward, przypomniałam jej.  
No tak, Edward, powiedziała. Takam zmęczona! Tym... tym pasmem pomyślności!  
No już dobrze, ja na to. Grunt, żeś tera tu jest.  
I wiesz co, Mamo? - mówiła dalej. - Wszystko w porządku. Spisałaś się najlepiej jak potrafiłaś. Nie mamy ci nic za złe. Chociaż wiemy, że we własnym przekonaniu może chwilami nie dorastałaś do matczynej...  
Dosyć gó....na była ze mnie matka, nie? - spytałam. Rzuć w niepamięć wszelkie niedociągnięcia, o jakie być może się oskarżasz, powiedziała Mary Mag. W końcu wszystko wspaniale się ułożyło. Chodź z nami.  
Ale gdzie? - zapytałam. - Ja nie...  
Tyś fala o brzeg roztrzaskana, rzekła Mary Mag.  
Wiesz co, nie umiem się w tym połapać, powiedziałam.  
Jak raz wtedy Eddie przygalopował z powrotem.  
Dzielny mój!  
Ha.  
Ty, wynocha stąd w ch...rę, wrzasnął.  
Przecie to Mary Mag, powiedziałam.  
Wcale nie, on na to. Tylko się popatrz.  
Podniósł kamień i nim cisnął. Prosto w Mary Mag! Kamień przeleciał na wylot i to już nie była Mary Mag, tylko ni ch..a nie wiem kto. Czy co. Jakiś kleks albo plama słońca w kształcie j....ej sukienki!  
Głupis pan, rzekła plama światła.  
A potem zwróciła się do mnie.  
Pani też, powiedziała. Ale mniej.  
betsy baron

Archanielica twarz mą w obie dłonie ujęła, a jej skrzydło świstało to w prawo, to w lewo niby ogon konia na pastwisku.

Dobrze tu Wielebnemu? - zapytała, a skrzydło leniwie wyciągnęło się nad nią wzwyż. - Czy Ten, komu służył pastor za życia, jest tutaj?

Wie... Wierzę, że jest, odparłem.

On jest wszędzie, oczywista, przytaknęła. Lecz przykro Mu patrzeć, jak Wielebny tu zwleka. I to w tak niegodnej kompanii.

Uroda jej wielką była i z każdą sekundą rosła. Pojąłem, że muszę zakończyć tę rozmowę, bo grozi mi katastrofa.

Idź, proszę, rzekłem. Ja nie... dziś cię nie potrzebuję.

Ale niebawem, jak mniemam? - zapytała.  
Uroda jej wezbrała wprost nieopisanie.  
Jam zaś łzami się zalał.  
wielebny everly thomas

Napór ustał tak nagle, jak się rozpoczął.  
hans vollman

Dręczyciele nasi jakby na znak dany oddalili się, a ich pieśń sposepniała, na nutę żalobną  
przestrojona.  
wielebny everly thomas

Kędy przeszli, tam drzewa szarzały, jado znikło, woda w strumieniach opadała,  
wietrzyk ustawał, śpiew milkł.  
roger bevins iii

Aż zostaliśmy sami.  
hans vollman

I wszystko znów zokropniało.  
wielebny everly thomas

### XXX

Pan Vollman, wielbny Thomas i ja niezwłocznie ruszyliśmy sprawdzić, kto uległ.  
roger bevins iii

Najpierw padło na skrzętną panią Blass.  
wielebny everly thomas

Wokół jej siedziby leżały porzucane tak jeszcze niedawno drogie szczątki ptaków, gałązki, kamyki i inne, zostawione bez dozoru, już bezwartościowe.  
hans vollman

Drugi najwidoczniej uległ A.G. Coombs.  
wielebny everly thomas

Biedaczysko. Nikt z nas dobrze go nie znał. Był tu od wielu lat. Ale rzadko wychodził ze szpitalnej skrzyni.  
hans vollman

A kiedy już zdarzało mu się z niej wychynąć, zawsze szczełał: „Wiesz, waszmość, ktom zacz? U Binlaya trzymają dla mnie stół! Jam Orlej Legii kawaler!”. Do dziś pamiętam, jaki był wstrząśnięty, kiedy mu wyznał, że nie znam tego lokalu. „Binlay to najzacniejsza tawerna w mieście!” - zakrzyknął. „W którym mianowicie?” - zagadnąłem, na co odparł, że w Waszyngtonie, i opisał, gdzie lokal ten się mieści, jam jednak znał owo dróg skrzyżowanie i było ono bez wątplenia w dzielnicy stajen, com też mu powiedział. „Żal mi waszmości!” - odrzekł. Był jednak wstrząśniętym. Posiedział jeszcze na swym wzgórk, z zadumą głaszcząc brodę. „Musisz jednak waszmość znać czcigodnego pana Humphriesa?” - zagrzmiął po chwili.

I oto znikł.

Żegnaj, mości Coombs, i oby tam, dokąd zmierzasz, wiedziano o Binlayu!  
roger bevins iii

Mijaliśmy wielu, którzy siedli z posępnymi obliczami na swych wzgórkach lub na schodkach kamiennych domków, szlochając z wyczerpania, stawianiem oporu zmęczeniu. Inni siedzieli cicho, przesiewając w pamięci rozmaite uwodzicielskie wizje i pokusy, na które ich przed chwilą wystawiono.

wielebny everly thomas

Poczułem świeży przypływ tkliwości wobec wszystkich, którzy pozostali.  
roger bevins iii

Ziarno od plew odsiano.  
wielebny everly thomas

Droga nasza nie jest dla każdego. Wielu ludziom - nie żeby im to ujmę przynosiło - brak mocy postanowienia.  
hans vollman

Nic nie jest dla nich wystarczająco ważnym, ot co.  
roger bevins iii

Niepewni, kto trzeci padł ofiarą, nagleśmy sobie przypomnieli chłopczykę.  
hans vollman

Nieprawdopodobnym się zdało, by taki młodzik równie bezlitosną napaść przetrwać  
zdołał.  
wielebny everly thomas

Gdyby zresztą uległ, byłoby to skądinąd najpożądańszym finałem...  
roger bevins iii

Zważywszy na młodość jego...  
hans vollman

W przeciwnym bowiem razie zniewolenie wiekuiste go czekało...  
roger bevins iii

Na poły ze smutkiem, na poły z ulgą ruszyliśmy naocznie się przekonać o zniknięciu  
chłopca.  
wielebny everly thomas

## XXXI

Imaginuście sobie nasze zdziwienie, gdyśmy go zastali siedzącego po turecku na dachu domku z białego kamienia.

hans vollman

Wciąż tutaj, głośno zdumiał się pan Vollman.

Tak, sucho odparł chłopczyna.

roger bevins iii

Wyglądał zaiste wstrząsająco.

wielebny everly thomas

Wytrwały opór wiele go kosztował.

hans vollman

Ci młodzi z zasady nie powinni zbyt się ociągać.

wielebny everly thomas

Brakło mu tchu; drżały dłonie; stracił na moje oko chyba z pół wagi ciała. Sterczały mu kości policzkowe; kołnierzyk koszuli obwisł, raptem za luźny, wokół patykowatej szyi; pod oczami węgliście czarne półkole wystąpiły; wszystko to osobliwie widmowy wygląd mu nadawało.

roger bevins iii

A jeszcze niedawno był zeń puciołowaty chłopiec.

hans vollman

Stracił jednak ową pulchność.

roger bevins iii

Dobry Boże, westchnął pan Bevins.

hans vollman

Traynorówna potrzebowała prawie miesiąca, żeby aż tak podupaść.

roger bevins iii

To, że wciąż tu tkwisz, podziw budzi, rzekł do chłopczyny Wielebny.

Jest wręcz bohaterstwem, dodałem.

Lecz i nierozwagą, stwierdził Wielebny.

hans vollman

Już dobrze, łagodnie rzekł pan Vollman. Naprawdę. Dość, że my tu jesteśmy. Idź dalej w pokoju: dałeś nam ogrom nadziei, która na wiele lat starczy i mnóstwo dobra uczyni, dziękujemy ci, życzymy jak najlepiej, błogosławimy na drogę.

wielebny everly thomas



Tylko że ja nigdzie się nie wybieram, odparł chłopiec.  
roger bevins iii

Na te słowa oblicze Wielebnego przybrało wyraz niejakiego zaskoczenia, jeszcze bardziej widoczny niż zazwyczaj, choć pastor zawsze zaskoczonym niepomału się zdawał.  
hans vollman

Wszak Ojciec przyobiecał, rzekł chłopiec. Jakże by to wyglądało, gdyby po powrocie mię tu nie zastał?

Twój ojciec nie wróci, oświadczył pan Vollman.

A jeżeli, to nieprędko, dodałem.

Ty zaś wtedy nie będziesz już zdolnym go przyjąć, powiedział pan Vollman.

Jeśli twój ojciec tu przybędzie, rzekł Wielebny, powiemy mu, żeś musiał odejść.

Wyjaśnimy, że tak było najlepiej.

Pan kłamie, odparł chłopiec.

Widać tak już był podupał, że jęło się to odbijać na jego usposobieniu.

Co proszę? - zdziwił się Wielebny.

Wszyscy trzej od początku mię oszukujecie, ciągnął chłopiec. Kazaliście mi stąd iść. A gdybym was był wówczas posłuchał? Całkiem bym się z Ojcem rozminął. A teraz mówicie, że przekażecie mu wiadomość?

Przekażemy, przytaknął Wielebny. Z pewnością...

Ale jak? - spytał chłopiec. - Macie sposób? Porozumienia? Bo ja nie miałem. Kiedym weń wniknął.

roger bevins iii

Owszem, rzekł pan Vollman. Mamy sposób.  
wielebny everly thomas

(Wątpliwy.

Bynajmniej nie potwierdzony).

roger bevins iii

(Na przestrzeni dziejów w poglądach co do tej kwestii panował niejaki zamęt).  
hans vollman

I wtedy to z drugiego krańca posesji dobiegł głos pani Delaney, która wołała pana Delaneya.

wielebny everly thomas

Dawno temu, wiele lat przed nią zawitał tu jej mąż. Już go tu jednak nie było. Innymi słowy, choć jego szpitalna larwa spoczywała tam, gdzie złożyła ją wdowa, sam pan Delaney...

roger bevins iii

Był gdzie indziej.

wielebny everly thomas

Ruszył w dalszą drogę.

hans vollman

Nieszczęsna pani Delaney wzdrygała się jednak przed tym, by za nim podążyć.  
roger bevins iii

Z powodu pewnej dziwacznej sprawy. Między nią a innym panem Delaneyem.  
wielebny everly thomas

Męża jej bratem.  
hans vollman

Swego czasu sprawa ta nie zdawała się wszelako „dziwaczną”, lecz nagłą, losem  
zrządzoną i cudowną.  
roger bevins iii

Teraz jednak biedaczka miała rozdarte serce: w dawnym miejscu latami wzdychała była  
do drugiego Delaneya, tkwiąc bez nadziei w pułapce małżeństwa...  
wielebny everly thomas

Nie minął zatem miesiąc, odkąd mąż jej tutaj zawitał, a już wiązała się z owym drugim  
Delaneyem, lecz tylko po to, aby wnet stracić o nim dobre mniemanie z racji nonszalanckiego  
lekceważenia, które okazywał pamięci jej męża (a swego brata), co uświadomiło jej, że jest to  
człek zepsuty, sknerstwem moralnym splamiony (w przeciwieństwie do jej małżonka, który - jak  
to rychło w czas pojęła — był pod każdym względem bez skazy).  
hans vollman

Acz nieco zbyt rzeczowy i nieśmiały, jako zaś okaz cielesny nikł w cieniu imponującego,  
powabnego, lecz moralnie wątpliwego brata.  
roger bevins iii

Beznadziejnie tedy utknęła.  
hans vollman

Ciałem tęskniąc za wtórym Delaneyem (który został tam, w dawnym miejscu).  
wielebny everly thomas

Zarazem jednak pragnąc ruszyć dalej, znów ujrzeć męża i o wybaczenie go prosić.  
roger bevins iii

Za to, że zmarnowała długie lata wspólnego z nim żywota, innego mężczyzny pożądam.  
hans vollman

Słowem, trwała w rozterce, nie wiedząc, na czym stoi i czy ma zostać, czy też odejść.  
wielebny everly thomas

Odejść czy czekać.  
roger bevins iii

Wciąż więc się błakała, wołając: „Panie Delaney!”.  
wielebny everly thomas

Bez ustanku.  
hans vollman

Nigdyśmy nie wiedzieli, którego to Delaneya przyzywa.  
roger bevins iii

A cóż to znowu, westchnął nagle chłopczyna z wyraźnym drżeniem w głosie.  
hans vollman

Spojrzałem nań i serce we mnie zamarło.  
Dach wokół chłopca jął się rozplýwać, siedział on zatem jakby w szarobiałej kałuży.  
roger bevins iii

Z której wyłoniło się coś na kształt pędu bluszczu.  
wielebny everly thomas

Który grubiał, w miarę jak zbliżał się do chłopca, aż węzowym ruchem na jego łydki  
skrzyżowane się wślizgnął.  
roger bevins iii

Wyciągnąwszy rękę, aby pęd ów strzepnąć, znalazłem go sztywnym, podobniejszym do  
kamienia niżli do węża.  
wielebny everly thomas

Na ten widok zmroził nas dreszcz.  
roger bevins iii

Był to bowiem początek końca.  
hans vollman

## XXXII

Jeśli przypadek panny Traynor był choć trochę miarodajny, w ślad za owym pierwszym pędem miały niezabawem wyrosnąć kolejne, aby chłopca niby Guliwera do dachu przykuć.  
roger bevins iii

Raz przykuty, porósłby wnet czymś, co najtrafniej można określić mianem „macicznego lśnienia”.  
wielebny everly thomas

Stężałoby ono w pancerną skorupę, która przeszłaby następnie wielość przeistoczeń (jako to w most zwalony, w sępa, w psisko, wiedźmę przeokropną i tam dalej), a każde byłoby od poprzedniego szczegółowiej ukazany i ohydniejszym, przez to wszystko zaś chłopca tym prędej wciągałby zgubny wir: im bardziej zwyrodniały bowiem pancierz, tym mniej „światła” (szczęścia, uczciwości, szlachetnych dążeń) do wnętrza przepuszcza.  
roger bevins iii

Coraz bardziej chłopię od owego światła oddalając.  
hans vollman

Wspomnienie panny Traynor srodze nas przygnębiło.  
wielebny everly thomas

Wskrzesiło bowiem pamięć owej haniebnej, dawno minionej nocy.  
roger bevins iii

Gdyśmy ją na losu pastwę porzucili.  
hans vollman

I pierzchli, głowy spuściwszy, o własne stopy się potykając.  
roger bevins iii

Na jej zgubę milcząco przyzwalając.  
wielebny everly thomas

Ona zaś coraz bardziej się pogrążała.  
hans vollman

Wspomnieliśmy, jak w początkach opancerzania wesoło śpiewała, jakby przecząc temu, co się z nią działo.  
roger bevins iii

„Gałąź pod brzemieniem zwisłą”.  
hans vollman

Dziecko drogie.  
wielebny everly thomas

O prześlicznym głosie.  
hans vollman

Który brzydł z chwili na chwilę, gdy tężał pierwszy pancierz, ona zaś przeistaczała się we wronę rozmiarów dziewczęcia.  
roger bevins iii

Koszmarłą wariację na ową melodię wykrakując.  
hans vollman

Ilekróć zaś zbytńiośmy się zblizali, zamierzała się na nas a to ludzką jeszcze ręką, a to ogromnym czarnym skrzydłem.  
wielebny everly thomas

Nie dość żeśmy uczynili.  
hans vollman

Będąc podówczas nowymi tutaj przybyszami.  
roger bevins iii

Wielce pochłoniętymi zadaniem oparcia się pokusie dalszej podróży.  
hans vollman

Zaiste niełatwym.  
roger bevins iii

Które z czasem bynajmniej łatwiejszym się nie stało.  
wielebny everly thomas

Me mniemanie o sobie cokolwiek wtedy ucierpiało.  
hans vollman

Tak.  
roger bevins iii

Wtem dzwon kapliczny wybił trzecią.  
hans vollman

Wtrącając nas na powrót w terażniejszość, jak zawsze w takich chwilach jego osobliwym, nieharmonijnym echem rozbrzmiewającą.  
wielebny everly thomas

Sobki, sobki, sobki.  
roger bevins iii

Imć Bevins główną parę oczu wytrzeszczył, jakby chciał rzec: Czas już na nas, panowie.

wielebny everly thomas

A jednak wciąż tam trwaliśmy.  
Pęd za pędem zmiatając, w miarę jak wyrastały.  
roger bevins iii

Chłopię milczało.  
hans vollman

W siebie zwrócone.  
wielebny everly thomas

To tracąc, to odzyskując zmysły.  
hans vollman

Mamrocząc i rzucając się, jakby błędziło w delirycznym śnie.  
roger bevins iii

Mamo, wyszeptało.  
wielebny everly thomas

1

James Knox Polk, prezydent w latach 1845-1849. Mowa zapewne o jego inauguracji (przyp. tłum.).

### XXXIII

Mama obiecała dać mi skosztować słodkiego ciasta    Jak już stanę na nogi    Odłożyła dla mnie czekoladową rybkę i pszczołę z miodu    Mówi że będę kiedyś dowodził pułkiem    Mieszkał we wspaniałym starym dworzyszczu    Poślubię uroczą ślicznotkę    Dochowam się własnych malców    Ha ha    A to paradne    Spotkamy się wszyscy w mym wspaniałym starym dworze i urządzimy świetne    Będzie ze mnie przezacna starowinka, powiada Mama    Będziecie mi przynosić ciastka, chłopcy    Od rana do nocy    A ja będę sobie siedziała    Ależ się roztyję    Będziecie musieli kupić wózek i na zmianę mię nim wozić ha ha

Mama tak ładnie się śmieje    Jesteśmy na trzecim schodku    Schodku Numer 3    Tym z trzema białymi różami    Oto w jakim porządku liczba białych róż zmienia się od Schodka Numer 1 do Schodka Numer 5: 2,3, 5, 2,6.

Mama podchodzi blisko    Dotyka nosem mego nosa    To się nazywa „milumilu”    Dobre dla bobasów    Ale pozwalam jej raz na jakiś

Podchodzi Ojciec i pyta    Słuchajcie, wolno i mnie z wami pobaraszkować  
Wolno mu

Jak Ojciec klęknie na Schodku Numer 2 i się wyciągnie to dosięga palcami Schodka Numer 12    Jest aż taki długi    Robił to    Mnóstwo razy

Nigdy więcej baraszkowania    Chyba że nabiorę sił

Dlatego wiem co muszę    Muszę zostać    To niełatwe    Ale wiem co to honor    Bagnet na broń    Umiem być mężnym    To niełatwe    Pamiętam płk.-a Ellisa    Zabili go Buntownicy    Za to że mężnie wyrwał szeregowcowi ich sztandar    Muszę zostać    Jeśli chcę trafić    Do domu    Kiedy wreszcie się uda    Kiedy zdołam

Nigdy jeżeli słaby  
A nuż jeżeli silny.  
willie lincoln

#### XXXIV

Oczy chłopca raptem się rozwarły.  
roger bevins iii

Dziwnie tu, powiedział.  
Nie dziwnie, odparł pan Bevins. Nie tak bardzo.  
Z czasem człek się przyzwyczajają, rzekł Wielebny.  
Jeśli tu jego miejsce, dodał pan Bevins.  
Twoje jest gdzie indziej, powiedział Wielebny.  
hans vollman

I wtedy przeleciały obok nas trzy galaretowate kule, jakby kogoś szukając.  
wielebny everly thomas

I pojęliśmy, że to pani Ellis uległa jako trzecia.  
roger bevins iii

Kule były puste, tzn. bez córek w środku.  
hans vollman

Przeparadowały mimo, wyraźnie skwaszone, jakby łypiąc na nas spode łba, nim zniosło je  
po stromym stoku nad strumień, gdzie zbladły i wreszcie całkiem znikły.  
wielebny everly thomas

Wcale nie dziwnie, rzekł pan Bevins, lekko się rumieniąc.  
hans vollman



## XXXV

I wtedy spadł na nas deszcz nakryć głowy.  
wielebny everly thomas

Wszelkich rodzajów.  
roger bevins iii

Czapki, śmiech, prostackie żarty, ustami z wysokości popierdywanie: zapowiedź przybycia Trzech Kawalerów.  
wielebny everly thomas

Oni jedni spośród nas latać umieli, lecz im nie zazdrościliśmy.  
hans vollman

Ile że w dawnym miejscu nigdy nie kochali ani nie byli kochani, zastygli tutaj w młodzieńczym stanie wiecznej pustki uczuć; jedynie swobód, rozwiąłości tudzież hulank szalonych złąknieni, przeciw wszelkim ograniczeniom i zobowiązaniom się burzyli.  
wielebny everly thomas

Za uciechą i zabawą wiecznie gonili; na wszelką powagę się boczyli; jedynie dla swych zbytków żyli.  
roger bevins iii

Nad posesją naszą gromkie ich okrzyki często rozbrzmiewały.  
wielebny everly thomas

W niektóre dni trwała nieustanna ulewa nakryć głowy.  
roger bevins iii

Wszelkich rodzajów.  
hans vollman

Mieli ich, zdawało się, zapas nieprzebrany.  
roger bevins iii

Melonik, pieróg lametą obszyty, cztery ładne berety szkockie z piórami spadły jeden po drugim, a wnet po nich sami Kawalerowie na dachu domku z białego kamienia zwinnie wylądowali, własnych kapeluszy lub czapek uchylając.

Za panów pozwoleniem, zaczął pan Lippert. Trzeba nam Wytchnienia.

Łatanie nas męczy, rzekł pan Kane.

Acz je uwielbiamy, dodał pan Fuller.

O, bogowie, westchnął pan Kane, chłopca zoczywszy.

Niezbyt dziarsko wygląda, stwierdził pan Fuller.

Trochę ostatnio niedomagalem, wyjaśnił chłopczyzna, z odrętwienia się wyrwawszy.

To widać, odparł pan Kane.

Dziwnie jakoś trąci ta okolica, powiedział pan Fuller, palcami dwoma nos zatykając.

Mój Ojciec tu był i wrócić obiecał, odparł chłopiec. Próbuję dotrwać.  
Wszystkiego Najlepszego w chwalebnym tym przedsięwzięciu, rzekł pan Lippert, brew unosząc.

Bacz na nogę, malcze, ostrzegł pan Kane.

Gośćmi zajęci, niecośmy się zagapili: lewą nogę chłopca przytwierdzało już do dachu kilka nowych a tęgich pędów, każdy grubości nadgarstka.

O Boże, westchnął chłopiec, rumieńcem się oblewając. Oswobodzenie go wymagało trudu nie lada, porównywalnego z karczunkiem jeżynowych chaszczy. Chłopiec zniósł ten arcyprzykry zabieg z mężnym, zdumiewającym u takiego dziecka skupieniem i tylko stoicko postękiwał przy każdym szarpnięciu, po czym ze zmęczenia znów zapadł w to samo oziębiałe roztargnienie, do szczętu wyczerpany.

A ten jego ojciec, zagadnął półgłosem pan Fuller. To taki długonogi jegomość?

O nieco boleściwej fizjognomii? - dodał pan Lippert. Wysoki, cokolwiek jakby obszarpany? - indagował pan Kane.

Owszem, przytaknąłem.

Dopiero cośmy go minęli, rzekł pan Fuller.

Co proszę? - zdziwiłem się.

Dopiero cośmy go minęli, powtórzył pan Kane.

Tutaj? - z niedowierzaniem zapytał pan Vollman. - To on wciąż tu jest?

Na obrzeżach, nieopodal Bellingwethera, *Męża, Ojca, Cieśli Okrętowego*, uściślił pan Lippert.

Siedział w głębokim milczeniu, dodał pan Fuller.

Dopiero cośmy go minęli, powtórzył pan Kane.

wielebny everly thomas

Do zobaczyska, powiedział pan Fuller.

Panowie Wybaczą, rzekł pan Lippert. O tej porze nocy musimy Posesję całą co prędzej Okrążyć, lecąc zaledwie parę cali nad Złowrogim parkanem, aby się przekonać, który z nas ośmieli się najbardziej doń Zbliżyć mimo Mdlących Wrażen, których zawsze się doznaje w onegoż parkanu bezpośredniej Okolicy.

hans vollman

Z tymi słowy odlecieli, wypierdując ustami czystą tryadę durową i jakby na pożegnanie śląc ku nam deszcz okolicznościowych nakryć głowy: były wśród nich cylindry z szeroką główką, tureckie fezy, różnokolorowe kepi i ukwiecony kapelusz słomkowy, który spadał nieco wolniej niż pozostałe -prześliczny, letnimi woniami owiany.

roger bevins iii

Więść zasłyszana mowę nam odebrała.

hans vollman

Samo przybycie owego dżentelmena dziwnym się zdało; a jeszcze dziwniejszym, że aż tak długo zabawił.

wielebny everly thomas

Kawalerom nie we wszystkim wierzyć było można.

hans vollman

Jak ognia bojąc się nudy, radzi psotom się oddawali.  
roger bevins iii

Razu pewnego wmówili pani Tessenbaum, jakoby w samej bieliźnie się objawiła.  
hans vollman

Wskutek czego przez kilka lat kulila się za drzewem.  
roger bevins iii

Czasem chowali przed panią Blass jej ptasie szczątki, gałązki, kamyki i drobinki.  
wielebny everly thomas

A gdy potem uganiała się jak szalona po całej posesji, szybowali tuż nad nią i na manowce ją zwodzili, zachęcając do skoków przez spadłe konary i przepraw przez wąskie strumyki, które jednakowoż biedaczce bynajmniej nie zdawały się strumykami, lecz potokami szerokimi a rwącymi.

roger bevins iii

Wobec każdego twierdzenia Kawalerów należało tedy pozostać nieufnym.  
hans vollman

To ostatnie jednak zabiło nam klina.  
roger bevins iii

Rzecz domagała się dokładniejszego zbadania.  
hans vollman

Odradzałbym, rzekł ostro Wielebny, jakby odgadł nasze zamiary.  
I z wymownym spojrzeniem znak nam dał, że o rozmowę na osobności prosi.  
roger bevins iii

## XXXVI

Przez dach przeniknąwszy, wszyscy trzej daliśmy nura do domku z białego kamienia.  
hans vollman

Było tam o kilka stopni chłodniej, pachniało zaś zleżałymi liśćmi i butwą.  
roger bevins iii

Troszkę też owym dżentelmenem.  
hans vollman

Jesteśmy tu dzięki szczególnej łasce, oświadczył Wielebny. Nie dano nam żadnej rękąmi stałego pobytu. Winniśmy zatem oszczędzać siły, powstrzymując się od wszelkich uczynków krom tych, co głównemu naszemu celowi bezpośrednio służą. Nie chcielibyśmy wszak, aby utracjusztwo naraziło nas na posąd o niewdzięczność za owo tajemnicze błogosławieństwo, które wciąż nam przebywać tutaj pozwala. Jesteśmy tu wprawdzie, lecz na jak długo i za jakiej szczególnej dyspensy sprawą, nie nam to...

roger bevins iii

Zauważyłem, że pan Bevins przewraca kilkorgiem ze swych licznych oczu.  
hans vollman

Czekając, aż Wielebny z koturnów zstąpi, pan Vollman zabawiał się kładzeniem raz po raz kamyka na swym olbrzymim członku i patrzeniem, jak kamyk ten na ziemię się stacza.

roger bevins iii

Musimy dbać o się. Czyniąc to, zarazem chłopca uchronimy. Pogłoska ta nie może dotrzeć do jego uszu, tylko by bowiem wznieciła w nim płonną nadzieję. A jak nam wiadomo, jedynie zupełna beznadzieja skłoni go do tego, co mu uczynić trzeba. Zatem ani słowa. Czy jesteśmy co do tego zgodni?

Mruknięliśmy potakująco.  
hans vollman

Z braku nieodzownej sprężystości w (prastarych) nogach (przybył tu wszak już w sędziwym wieku) Wielebny jął się po ścianie wdrapywać i niebawem (acz nie tak znów od razu) w suficie znikł.

roger bevins iii

Zostawiając na dole tylko mnie i pana Bevinsa.  
hans vollman

Prawdę rzekłszy, byliśmy znudzeni, do szczętu znudzeni, udręczeni bezustanną nudą.  
roger bevins iii

Kolejne noce mijały z miażdżącą jednostajnością, podobne jak krople wody.  
hans vollman

Siedzieliśmy już na każdej gałęzi każdego drzewa. Przeczytaliśmy po wielokroć każdą kamienną płytę. Przeszliśmy (przebiegli, przepelzli, wyleżeli) każdą alejkę, ścieżkę i zachwaszczony szlak, brodziliśmy w każdym potoku; posiadliśmy gruntowną wiedzę o gęstości i smaku czterech różnych gatunków tutejszej gleby; sporządziliśmy dokładny inwentarz wszystkich fryzur, strojów, szpilek do włosów, dewizek, podwiązek i pasków, które rodacy nasi noszą. Po tysiącokroć wysłuchałem opowieści pana Vollmana i sam też chyba, niestety, co najmniej tyleż razy własną go zanudzałem.

roger bevins iii

Słowem, panowała tu nuda, łaknęliśmy tedy choćby najmniejszej odmiany.

hans vollman

Każda nowość drogocenną była; tęskniliśmy za jaką bądź przygodą, choćby najbłahszą hecą.

roger bevins iii

Pomyśleliśmy, że nie zawadzi udać się na szybką wycieczkę.

hans vollman

Tam, gdzie siedział ów dżentelmen.

roger bevins iii

Nie musieliśmy nawet opowiadać się Wielebnemu, że idziemy.

Mogliśmy po prostu... pójść.

hans vollman

Zawsze miło było na chwilę się uwolnić od tego starego nudziarza.

roger bevins iii

## XXXVII

Przez frontową ścianę się przedarłszy, pan Bevins i ja wyruszyliśmy.  
hans vollman

Nie bacząc na to, że Wielebny wznosił z dachu rozeźlone okrzyki sprzeciwu.  
roger bevins iii

Przeciawszy dławiającą się od koniczyny dolinkę, zajęta przez siedmioro Palmerów, powodzią złożonych, wyszliśmy niezabawem na wąski, szarym łupkiem brukowany szlak, co biegnie nieco poniżej, między Coatesem a Wembergiem.  
hans vollman

Przeszliśmy zygzakiem obok Federly'ego, *Błogosławieni, którzy w Światłości umierają*.  
roger bevins iii

Ma on tam pomnik figurze szachowej podobny, wazą zwieńczony, tę zaś wieńczy coś na kształt sutka.  
hans vollman

Dalej ścieżka powiodła nas przez kolonię, którą tworzą M. Boyden, G. Boyden, Gray i Hebbard.  
roger bevins iii

W owo ledwie widoczne zagłębienie, co na wiosnę naparstnicą i jeżówką zarasta.  
hans vollman

Teraz jednak był tam tylko wielki uśpiony kłęb szarości.  
roger bevins iii

Z której łypnęły na nas dwa zgnuśniałe zimowe ptaki.  
hans vollman

Ptactwo bowiem nie dowierza istotom naszego autoramentu.  
roger bevins iii

Zbiegłszy truchtem po dalszym zboczach Północnego Wzgórza, pozdrowiliśmy Merkela (który, lubo kopnął go byk, wciąż miał nadzieję wybrać się na tańce), Posterbella (dandysa, co urodę postradawszy, pragnął gorąco, iżby mu włosy odrosły, dziąsła cofać się przestały i na dawne miejsce wróciły, mięśnie ramion nie wyglądały już jak sflaczałe włókienka, a gdyby mu tak jeszcze przyniesiono wieczorowe ubranie, flakon perfum i bukiet kwiatów, mógłby znów ruszyć w konkury), oboje państwa Westów (pożar, co wybuchł bez ustalonej przyczyny jako że zawsze z najwyższą pieczołowitością paleniska doglądali) i wreszcie pana Dilla (który coś tam bełkotał, wielce kontent ze znakomitych ocen wnukowi jego w uniwersytecie wystawionych, i promocji wiosennej niecierpliwie wyczekiwał).  
hans vollman

Minęliśmy też Trevora Williamsa, niegdyś myśliwego, gdy siedział przy gigantycznym stosie zwierząt, które niegdyś był zgładził: leżały tam setki jeleni, trzydzieści dwa czarne niedźwiedzie, troje niedźwiedziątek tudzież bezlik szopów, rysiów, lisów, norek, pręgowców, dzikich indyków, świstaków i pum, dziesiątki myszy i szczurów, całe kłębowisko węży, krowy i cielęta setkami, jeden kucyk (przez powóz potrącony), owadów rozmaitych chyba ze dwadzieścia tysięcy, a każde z tych stworzeń musi on przytulić z miłosną uwagą na czas jakiś, od kilku godzin do kilku miesięcy, zależnie od tego, ile miłosnej uwagi wykrzesać z siebie zdoła, a także od stężenia zgrozy, która w chwili odejścia zwierzęciem owym targała. Po takim zaś przytuleniu (kiedy iloczyn czasu i miłosnej uwagi wystarczającą wartość osiąga) stworzenie owo na nogi się dźwiga, po czym odbiega truchtem, odfruwa lub odpełza, o jedną ofiarę stos Panawilliamsowy pomniejszając.

roger bevins iii

Stos zaś był to ekstraordynaryjny, wysokością iglicy kaplicznej nieomal równy.

hans vollman

Pan Williams jako łowca zawołany miał jeszcze przed sobą wiele lat ciężkiej pracy.

roger bevins iii

Z cielęciem w ramionach okrzyknął nas i do towarzystwa zaprosił, mówiąc, że na pracę wprawdzie nie narzeka, lecz cni mu się przy niej samemu, nie wolno mu bowiem ani na chwilę wstać ni się poprzehadzać.

hans vollman

Wymówiłem się w imieniu nas obu, tłumacząc, że mamy pilne zadanie i ani chwili do stracenia.

roger bevins iii

Pan Williams (pocziwiec, który ku dobru się zwróciwszy, nigdy w melancholiję nie wpada, lecz zawsze jest pogodnym) na znak, że rozumie, kopytkiem cielęcym nam pomachał.

hans vollman

## XXXVIII

Wkrótce dotarliśmy do zwalistego lazaretu Colliera, z marmurów włoskich wzniesionego, trzema współśrodkowymi rosariami otoczonego, z dwiema ozdobnymi fontannami po bokach (bezwodnymi tą zimową porą).

roger bevins iii

Jeśli kto domy cztery posiada, a ogrodników piętnastu jak dzień długi siedmiu ogrodów jego i ośmiu sztucznych strumieni dogląda, rad nierad między owymi domami i z ogrodu do ogrodu się ugania, nie dziw to więc zapewne, że gdy pewnego popołudnia pędzi dopatrzeć, jak kuchmistrz dla prezydium ulubionej filantropii chlebobdawcy swego kolację przyrządza, czuje się raptem zmuszonym chwilę odpocząć, przyklękając na jedno, a potem oba kolana, zanim twarzą na ziem runie i podźwignąć się już nie zdoławszy, przybywa tutaj gwoli dłuższego wytchnienia, atoli wytchnąć mu się nie udaje, gdyż podczas rzekomego wypoczynku nieustannie trapi się losem swych powozów, ogrodów, mebli, domów i tam dalej, które wszystkie razem (taką przynajmniej żywi nadzieję) powrotu jego cierpliwie oczekują, nie wpadłszy (uchowaj Boże) w ręce jakowegoś (lekkomyślnego, niedbałego, niegodnego) Bliźniego.

percival „szyk” collier

Pan Collier (z plamą gliny na gorsie koszuli i nosem nieledwie na płask zmiażdżonym od upadku) musiał nieustannie szybować w pozycji leżącej niby człękokszałtna igła kompasu, zwrócony czubkiem głowy ku tej spośród swych posiadłości, o którą w danej chwili najbardziej się martwił.

Akurat teraz czubek głowy wskazywał zachód. Przybycie nasze nieco odwiodło uwagę pana Colliera od trosk, toteż mimowolnie westchnął z radością, podskoczył do pionu i zwrócił się twarzą ku nam.

hans vollman

Panie Collier, powitał go pan Vollman.

Panie Vollman, odparł pan Collier.

roger bevins iii

Wnet jednak przemknęła mu przez myśl jakaś nowa troska o majątność, rzuciło go tedy raptem brzuchem w dół i głową naprzód, aż z jękiem zgrozy wokół własnej osi zawirował, aby na koniec północ wskazać.

hans vollman



## XXXIX

Musieliśmy potem ruszyć na skrót przez bagnisty zakątek, który zamieszkują najniżsi spośród nas.

hans vollman

Zwabiło ich owo miejsce wilgotne i bezksiężycowe.

roger bevins iii

Stali tam panowie Randall i Twood, niekończącą się rozmową pochłonięci.

hans vollman

Nie wiedzieć jakim nieszczęściem wzajemnie ni w ząb się nie rozumiejąc.

roger bevins iii

Miast twarzy mieli już tylko plamy nieczytelne, przejrzyste niby tiul.

hans vollman

Torsy szare i bezkształtne, z ledwie dostrzegalnymi zarysami rąk i nóg, obłych niby torpedy.

roger bevins iii

Tym się jedynie różnili, że pan Twood nieco żywiej się ruszał. To jedna, to druga z jego rękowatych wypustek podrywała się niekiedy do góry, jakby coś komuś perswadować próbował lub wskazywał przedmiot na półce, aby zwrócić nań uwagę pana Randalla.

hans vollman

Pan Twood wedle naszej wiedzy trudnił się był bowiem sprzedażą detaliczną.

roger bevins iii

Wyciągnąć wielki szyld i Natychmiast z powrotem schować Wyciągnąć znowu Nie wypuścić z rąk Znaczna obniżka damskich.

pan benjamin twood

Szary klin bez twarzy, czyli niegdysiejszy pan Randall, w odpowiedzi puszczał się czasem w krótki tan.

roger bevins iii

Ustąp siedziska Oto gość co naprawdę potrafi Brzdąknąć w wieloryba I wtedyten przy pianie podsuwał swój I wszystko było w mych rękach.

jasper randall

Gdy przed wschodem słońca pozostali mieszkańcy bagna znużeni i wyczerpani, zdążyli już się poukładać i oniemieć w podłe dębu piorunem szerniałego, widywano czasem, jak pan Randall kłania się raz za razem przed urojoną publicznością.

roger bevins iii

Domysł nam nasuwając, że dawał był niegdyś jakoweś występy.  
hans vollman

Dziękuję, stokrotnie dziękuję!  
jasper randall

W ŚRODKU NADZWYCZAJNA OKAZJA:

Tylko wspomnij swą chudą znużoną matkę, którą mogłobyjeszcze zbawić Samowylężne żelazko, tarka z korbką, chłodziarka, samosypna solniczka, przywracając jej niegdyś zgrabną figurę, ujmujący miłośmich z dawnych lat, gdyś w krótkich porciętach pośród plackowoni gałęzioszablą wywijiał.

pan benjamin twood

Bęc, pasaż, przerwa na dymhaust Kiedym zdrowo bęcnał, drobne falki przebiegały złocisty trunek postawiony przed.

jasper randall

Jeśli wytrwałość ich jakikolwiek podziw w nas niegdyś budziła, dawno już ustąpił on miejsca odrazie.

roger bevins iii

Czyżby i nas czekał podobny los?

hans vollman

Nie sądziliśmy.

roger bevins iii

(Raz po raz uważnie przyglądaliśmy się wzajem swym twarzom, najmniejszych oznak licrozmazu w nich wypatrując).

hans vollman

(Nieustannieśmy wymowę własną śledzili, czy aby mniej wyraźną się nie staje).

roger bevins iii

A ci dwaj nie byli jeszcze najgorsi.

hans vollman

Choćby taki pan Papers.

roger bevins iii

A raczej szara kreska leżąca na wznak grzbietem do ziemi.

hans vollman

Którą dostrzegało się, dopiero potknąwszy się o nią.

roger bevins iii

Pora tu je miękkł oś? Pój Dzimi. Pomnóż? Pora tuje mię? La dachto? Morze onuc?

Podmurz? Mnij?

Prosię wspomnóż Mnij.

I.b. papers

Nie mieliśmy pojęcia, kim mógł dawniej być pan Papers.

roger bevins iii

Bo tak niewiele z niego zostało.

hans vollman

Idźże stąd Jazda bo Inaczej dostaniesz nielubom nowinę w wypięty jak ci wlize pod spód i pałatkę pszewietsze.

flanders quinn

Flanders Quinn.

hans vollman

Niegdyś zbójca.

roger bevins iii

Bevins naszczam ci trutki w te twoje żalosne szramy na pszegubach A ciebie Vollman chyce za kutabelke i w czarnyplot cisnę.

flanders quinn

Ja tam się go bałem.

roger bevins iii

A ja nie.

Właściwie nie.

Aleśmy mieli pilną sprawę do załatwienia. Nie mogliśmy zwlekać.

hans vollman

Poszybowaliśmy tedy truchtem po obrzeżach bagna, Quinn zaś klątwy za nami miotał, nim front zmieniwszy, jał błagać, byśmy wrócili, bał się bowiem tam zostać, a tym bardziej ruszyć dalej, bo i cóż może czekać grzesznika, który poderzwał gardła kupcowi i jego córce w podłe karioli z Fredericksburga, co koło złamała (po czym zdarł perły z szyi ofiary i jej własnym szalem jedwabnym z krwi je otarł)?

roger bevins iii

Na wyżej położony teren wróciwszy, przyspieszyliśmy, przeniknęli przez pochyloną komórkę na narzędzia i żwirowaną drogę przecięli, a potem żwawo ruszyli starą jezdnią dla powozów, z której nie wiedzieć czemu wciąż biła w me nozdrza lekka woń świeżo drukowanej gazety.

hans vollman

## XL

Tuż przed nami, za nieco pochylonym w lewo obeliskiem Caffertych, tłum zgromadził się wokół szpitalnego dołu, który dopiero co wypełniono.

hans vollman

Pan Vollman do zbiegowiska podszedł.

Czy przybysz wciąż jest... z nami? - zagadnął delikatnie.

Jest, a jakże, odparł Tobin „Borsuk” Muller, jak zwykle niemal w pół zgięty od mozołu.

Zamknijta jadaczki, bo go nie słyszę, warknęła pani Sparks, z uchem przy ziemi na czworakach stojąc.

roger bevins iii

## XLI

Żono sercu najdroższa lauro lauro

Sięgam po pióro tak wyczerpanym będąc że tylko głęboka miłość którą Was wszystkich darzę może mi to nakazać po dniu tak Bezbożnej rzezi i strachu. I powiem Ci szczerze Tom Gilman nie uszedł żyw z owej strasznej bitwy. Staliśmy w zagajniku. Gęsta palba i raptem krzyk. Tom padł trafiony. Nasz Dzielny i Szlachetny pszyjaciel Twarzą na Ziemi legł. Dałem Chłopcom rozkaz pomścić go choćbyśmy bramy Piekieł przekroczyć musieli.

Straszny mam mętlik w Głowie choć zatem wiem żeśmy z tym właśnie zamiarem na wroga ruszyli, nie pomnę, co się potem działo. Tyle tylko że wszystko się Ułożyło a ja ściskam w palcach wierne me pióro aby cię uwiadomić że już bezpieczny i oby ten list zastał Drogą mą rodzinę w równie Pomyślnym stanie.

Przybyłem tu z dalekiej Podróży. Cały czas w zamknieniu. Buj był straszliwy jakem Ci już chyba z resztom napisał. Tom Gilman nie rzyje jakem Ci już chyba z resztom napisał. Aliści Temu który ocala lub niszczy wedle Kaprysu swego podobało się w zdrowiu mię zachować abym list ten mógł do Cię napisać. I uwiadomić że lubom zamknięty to i tak za losu Wybrańca się poczytuję. Takem Znużony że nawet nie wiem gdzie jest i jakem tu dotarł.

Czekam przybycia sanitariuszki.

Drzewa gałęzie zwieszają. Wietszyk wieje. Trochę mi markotnie i strach.

O miła ma złe mam przecucie. I czuję że nie mogę zwlekać. W tym wielce smutnym miejscu. Tego Kto nas ocala i Kocha prawie tu nie ma. Ze zaś winniśmy zawsze starać się kroczyć tuż obok Niego czuję że zwlekać nie mogę. Umysłem i Ciałem tkwię wszelako w Zamknięciu jako w okowach, nie mogę tedy, droga Żono, odejść stąd zaraz.

Trzeba mi wytrwale dociekać: Czemu tkwić muszę w tym miejscu Smutnym otlłannie?  
kapitan william prince

Wtem z ziemnego wzgóрка wyprysła jakowaś postać niby dzikie stworzenie, co się z klatki wyrwało, i jęła chodzić tam i sam, w twarze pana Mullera, pani Sparks i reszty z niepokojem zagładając.

roger bevins iii

Żołnierz.

W mundurze.

hans vollman

Nie bój nic, z wsiowym zaśpiewem zawołał ktoś w tłumie. Dawniej żeś był tamój, a teraś jezd tutej.

roger bevins iii

Żołnierz sprzeżroczyście, aż prawie znikł, jak to się nam nieraz przydarza w chwilach wyczerzonego namysłu, po czym głową naprzód dał nura do szpitalnego dołu.

I natychmiast z powrotem wyskoczył z miną ponuro zdumiałą.

hans vollman

Żono Sercu droga O Lauro-Kiciu,

W mym Zamknięciu ubiur mój spoczywa. Dopiero com zajrzał. Znamię na policzku i włosy nad czołem kubek w kubek. Nieswojo patrzeć. Ze smutkiem na (spalonej!) twarzy. A tors

ciężką raną zeszpecony że aż trudno

Tu jestem, tutaj uwięzły i w jednej chwili widzę co muszę zrobić aby się uwolnić.

Czyli wyznać PRAWDĘ i wszystko będzie

Och nie mogę wyznać czy mam wyznać czy wyznać fszystko?

Czuję że muszę bo inaczej

na zawsze tu

W tym okropnym koszmarnym

Lauro odpraw dziatki i pilnuj niech nie słyszą co dalej. Były dwie a ja z mniejszą przestawałem. Ano tak. W owej Wioszczynie obskurnej. Przystawałem z mniejszą a ona poprosiła o ten Medaljon od Ciebie i spytała Dobra z niej aby żona? i w tejże chwili dosiadając mię lekko biodrami zarzuciła i w oczy spojrziała jakby gwoli czci Twojej uchybienia lecz zapewniam Cię że (gdy biodrami jeszcze dwakroć pchnęła ze wzrokiem w mych oczach utkwionym) nie sprawiłem jej tej przyjemności, nie zbrukałem imienia Twego ni wspomnień o Tobie, choć w służbie PRAWDY (abym mógł stąd umknąć) winienem wyznać bez ogródek, że kiedy się nachyliła niewieściami Ponętami swymi mię racząc, pierw jedną, potem zaś drugą ku ustom podając i spytała czy żona ma to robi czy jest tak rozpasaną? powietrze wytchnąłem i obojeśmy rozumieli że znaczy to NIE żona ma tak nie czyni nie jest aż tak Swobodną. I gdyśmy dalej tak ze sobą przestawali w owej brudnej pochylej komurce gdzie 3 jej dzieci w prostackiej kolebce spało a 2 blade Siostry i Matka na Podwurku trajkotały, przez cały czas ścisłała w rękę medaljon a po wszystkim spytała czy może go sobie wziąć. Wyżawszy z siebie wszelako żądę plugawą odparłem ostro, że nie może. Po czym w las odszedłem. Gdzim też zapłakał. Z Tkliwością szczerą o Tobie myśląc. I uznałem że dobroć nakazuje oszukać.

Oszukać Ciebie.

kapitan william prince

Koło szerokie zataczał, raz w raz się potykając, z głową w dłoniach.

roger bevins iii

Wysoko stał Księżyc jam zaś rzekł sobie że czasem mężczyzna musi dla spokoju fszystkich Ukochaną oszczędzić. Com też czynił. Aż do tej pory. Zamierzałem wyznać Ci prawdę lecz nie w liście a w oczy. Gdy ciepło głosu cios może by złagodziło. Że jednak położenie me całkiem beznadziejnym się zdawa, a powrót do domu jako żywo nigdy się nie ziści, wyznaję Ci fszystko, wołam do Cię najszczerzej (pszerypałem te mniejszą z 2, zrypałem, zrypałem) z nadzieją że Ty jako i Ten co słyszy i wybacza fszystko usłyszycie i wybaczycie fszystko pozwalając mi opuścić ninie tę nędzną...

kapitan william prince

I wtedy z pobliza obelisku błysnęło oślepiająco i rozległ się znajomy, lecz jak zawsze mrozący do szpiku kości huk wystrzału, co wtóruje każdemu zjawisku rozświtu materii.

roger bevins iii

A wojak znikł.

hans vollman

Postrzępione spodnie od munduru, koszula, buciory i tania żelazna obrączka ślubna spadły deszczem na ziemię.

roger bevins iii

Co niżsi stanem uczestnicy zbiegowiska wpadli w szaleństwo, jeśli zatem naigrawać się z żołnierza, rozmaite wynaturzone a hańbiące pozy na jego szpitalnym wzgórku przybierając - nie tyle przez podłość, tej bowiem w nich nie ma, ile z uczuć nadmiaru.

Poczynają sobie w takich razach jako psi dzicy, gdy ich do jatki wpuścić: uganiają się po krwi rozlanej, doprowadzeni do szału pewnością, że jakoweś ukontentowanie być musi tuż-tuż.

hans vollman

Na Boga, pomyślałem, mój ty biedaku! Nie skorzystałeś ze sposobności, by należycie przyjrzeć się temu miejscu, lecz pierzchłeś bez namysłu, uroków świata tego na zawsze poniechawszy.

I dla jakiejże to nagrody?

Nie wiesz.

Nader nieroztropne ryzyko.

Na wieki porzuciłeś takie oto cuda: dwoje świeżostrzy, głych jagniąt na nowoskosłej łące beczy; w południe cztery cienie szczebelków żaluzji pełzną równokreślnie po pręgoboku drzemkota; ze spłowiełego od żywiołów łupkodachu spada w podskokach prosto w kępę więdnącego wrzosu dziewięć żołędzi wiatrem strąconych; jegomością przy goleniu owiewa z dołu plackogrzewna woń (i poranny garnkoszczek tudzież paplanina podkuchennych); w pobliskim porcie gmaszysty szkuner chyli na lewą burtę flagotrzepotna, wantodźwięczna bryza, która na szkolnym dziedzińcu za onąż burtą wznieca dziecięcy chórpiśk i oszalałe ujadanie chyba z tuzina...

roger bevins iii

Przyjacielu.

Wszak nie pora na to.

hans vollman

Stokrotnie przepraszam.

Ale (jak zapewne panu wiadomo) nie ze wszystkim mam nad tym władzę.

roger bevins iii

Zaniechawszy na chwilę wybryków, tłum wpatrzył się z rozdziawionymi ustami w pana Bevinsa, któremu podczas owego monologu przybyło tyle oczu, uszu, nosów, rąk i tam dalej, że wyglądał jak przeładowany bukiet cielesny.

Zastosował więc ten co zawsze środek (pozamykał oczy i zatkał nadliczbowymi dłońmi tyle nosów i uszu, ile tylko zdołał, ograniczając tą modą dopływ bodźców zmysłowych, a przez to umysł wyciszając), po czym owe mnogie oczy, uszy, nosy i dłonie wessały się w głąb ciała lub znikły (nigdy orzec nie umiał, jedno czy drugie).

Tłum znów jął znieważać wzgórek po chorym żołnierzu: „Borsuk” Muller niby to uryną go polewał, a pani Sparks z twarzą brzydkim grymasem wykrzywioną na owym wzgórku przykucnęła.

Patrzajta, stęknęła. Podarek tchórzowi ostawiam.

hans vollman

## XLII

Myśmy zaś dalej ruszyli.  
roger bevins iii

Idąc-szybując między (albo i nad, gdy inaczej się nie dawało) niegdysiejszymi siedzibami wielu głupców, których już pośród nas nie masz.  
hans vollman

Takich jak Goodson, Raynald, Slocum, Mackey, VanDycke, Piescer, Sliter, Peck, Safko, Swift, Roseboom.  
roger bevins iii

Na przykład.  
hans vollman

Simkins, Warner, Persons, Lanier, Dunbar, Schuman, Hollingshead, Nelson, Black, VanDuesen.  
roger bevins iii

Była ich, przyznać wypada, większość, może nawet o jeden rząd wielkości więcej niżli naszego autoramentu.  
hans vollman

Topenbdale, Haggerdown, Messerschmidt, Brown.  
roger bevins iii

Co jedynie podkreślało niezwykle przymioty pozostałych, którzy nieugięcie trwali.  
hans vollman

Coe, Mumford, Risely, Rowe.  
Wokół ich domów wielka cisza panowała, gdyśmy zaś o zmierzchu wznosili się wirem każdy ze swego, z tych nic się nie wznosiło, a zawartość ich...  
roger bevins iii

Szpitalnych skrzyń...  
hans vollman

Leżała bez ruchu, porzucona, zaniedbana.  
roger bevins iii

Pożałowania godna.  
hans vollman

Niby poniechane konie, próżno czekające powrotu jeźdźców umiłowanych.  
roger bevins iii



Edgmont, Tody, Blasingame, Free.  
hans vollman

Haberknott, Bewler, Darby, Kerr.  
roger bevins iii

Owi po większej części trzpiotowaci, letni, wyzbyci pragnień osobnicy co najwyżej chwilę tu zabawili, tak bez reszty im dogadzała pobierana w dawnym miejscu tenuta.  
hans vollman

Uśmiechnięci, wdzięczni, w zadziwieniu rozglądali się wokoło, zaszczycając nas ostatnim czułym spojrzeniem, zanim...  
roger bevins iii

Poddali się.  
hans vollman

Ulegli.  
roger bevins iii

Broń złożyli.  
hans vollman

### XLIII

Znaleźliśmy dżentelmena takim, jakiego nam go opisano, nieopodal Bellingwethera,  
*Męża, Ojca, Cieśli Okrętowego.*

hans vollman

Siedział po turecku z przegraną miną w kępie wysokiej trawy.

roger bevins iii

Gdyśmy doń podeszli, uniósł głowę, którą dłońmi dotąd podpierał, i westchnął ciężko.  
Wyglądał w owej chwili jak rzeźbiona alegoria Utraty.

hans vollman

A może byśmy... ? - zagadnął mię pan Vollman.

Zawahałem się.

Wielebny by tego nie pochwalił, rzekłem.

Wielebnego tu nie ma, odparł.

roger bevins iii

## XLIV

Aby wewnątrz dżentelmena jak najszczerzej sobą wypełnić, zniżyłem się na jego kolana i biorąc zeń przykład, po turecku siadłem.

hans vollman

Ci dwaj tworzyli teraz jednego siedzącego człowieka, przy czym obfitsza tusza pana Vollmana nieco się z dżentelmena wylewała, a jego potężny członek całkiem na zewnątrz wystawał, księżyc wskazując.

roger bevins iii

Było tam doprawdy niezwykle.

Niezwykle tam w środku.

Bevins, chodźże no pan! - zawołałem. - Sposobność to nie do pogardzenia.

hans vollman

Wniknąłem tedy, jak tamci nogi krzyżując.

roger bevins iii

I wszyscy trzech jednialiśmy się stali.

hans vollman

By tak rzec.

roger bevins iii

## XLV

Dżentelmen prerią woniał.  
hans vollman

Tak.  
roger bevins iii

Jakby się weszło letnią nocą do stodoły.  
hans vollman

Lub do zatęchłego gabinetu kędyś na równinie, w którym wciąż jasno płonie świeca.  
roger bevins iii

Bezkresny. Wiatrem smagany. Nowy. Smutny.  
hans vollman

Przestronny. Ciekawy. Klęską przytłoczony. Ambitny.  
roger bevins iii

Plecy lekko zgarbione.  
hans vollman

Prawy but przyciasny.  
roger bevins iii

Pan Bevins (młodzieńczy) niedawnym swym wniknięciem sprawił, że dżentelmen lekko zboczył myślą ku scenie z własnej (szalonej) młodości: delikatna w mowie, lecz nieświatła (brudne policzki, łagodne spojrzenie) dziewczka nieśmieie go wiodła błotnistą ścieżką, na zieleni jej rozkołysanej spódnicy zostawiały swój pyłek pokrzywy, w jego zaś umyśle odezwała się wówczas nutka wstydu, czuł bowiem, że właściwie nie powinien brać tej dziewczyny na cel, skoro ma ona więcej ze zwierzęcia niżli z damy, skoro czytać nawet nie umie.  
hans vollman

Uświadomiwszy sobie, jakie snuje wspomnienia, zarumienił się (a myśmy rumieniec ten poczuli) na myśl, że (w owych tragicznych okolicznościach) tak plugawe zdarzenie wspomina.  
roger bevins iii

Wnet zatem zwrócił swe (nasze) myśli gdzie indziej, aby ową niestosowną porzucić.  
hans vollman

## XLVI

Probował „zobaczyć” twarz synka.  
roger bevins iii

Nie zdołał.  
hans vollman

Probował „usłyszeć” jego śmiech.  
roger bevins iii

Nie zdołał.  
hans vollman

Usiłował przypomnieć sobie jakieś szczególne zdarzenie z udziałem chłopca w nadziei,  
że...

roger bevins iii

*Kiedyśmy mu pierwsze ubranko obstalowali.*

Tak pomyślał dżentelmen.

(I to wreszcie poskutkowało).

*Kiedyśmy mu pierwsze ubranko obstalowali, spojrział z góry na swe nogawki, a potem na mnie, zdumiony jakby chciał powiedzieć: Ojcze, mam na sobie dorosłe spodnie.*

*Bez koszuli, boso, z bladym krągłym brzuszkiem jak u starca. A potem koszulka z mankietami i guzików zapinanie.*

*Żegnaj, brzuszku, już cię ukoszulamy.*

*Ukoszulamy? Chyba nie ma takiego słowa, Ojcze.*

*Zawiązałem krawacik. Chłopca twarzą do lustra obróciłem.*

*Wygląda na to, żeśmy dzikusa przyodziali, rzekłem.*

*Zrobił tę swoją minę, jakby warczał. Włosy miał zjeżone, na policzkach rumieńce. (Przed chwilą tak się uganiał po sklepie, że wieszak ze skarpetami przewrócił). Krawiec z miną spiskowca uroczyście przyniósł surducik.*

*I wtedy ten nieśmiały chłopięcy uśmiech, gdym mu surdut nałożył.*

*Czy nie szykownie się prezentuję, Ojcze?*

Potem przez chwilę ni śladu myśli, więcśmy się tylko rozglądali wokół: nagie drzewa czerniały na tle granatowego nieba.

*Surducik surducik surducik.*

Dźwięczało nam to w głowie.

Jakaś gwiazda zgasła i znów mrugnęła.

*Ten sam, który teraz ma na sobie, tam.*

*Ha.*

*Ten sam surducik. Lecz kto go ma teraz na sobie...*

*(Tak bym chciał, żeby to nie było prawdą).*

*Strzaskany.*

*Blade strzaskane coś.*

*Czemu nie w ruchu. Jakież czarodziejskie zaklęcie w ruch go oprawiało. Kto jest zaklęcia tego włodarzem. Co na tym zyskał, że go wyłączył. Cóż to za machina. Jakim cudem w ogóle*

*działała. Jakąż napędzana iskrą. Wspaniała machinka. Akuratnie dostrojona. Iskrę otrzymawszy;  
do życia się zerwała.*

*Kto iskrę tę zgasił? Cóż to byłby za grzech. Kto by śmiał. Zniszczyć taki cud. Stąd zakaz  
zabijania. Uchowaj Boże, abym kiedy popełnił tak ciężki...*

hans vollman

I wtedy coś trapić nas jęło...

roger bevins iii

Dłonią po twarzy szorstkośmy przesunęli, jakbyśmy budzącą się właśnie wizję stłumić  
probowali.

hans vollman

A że próba ta daremną była...

roger bevins iii

Wizja falą nas zalała.

hans vollman

## XLVII

Małego Williego Lincolna złożono do grobu w dniu wywieszenia list ofiar bitwy o Fort Donelson, zwycięskiej dla wojsk Unii, które to obwieszczenie mocno wstrząsnęło społeczeństwem w owym czasie, danina krwi była bowiem większą aniżeli kiedykolwiek przedtem w tej wojnie.

Jason Tumm, *Gwoli prawdy. Pamięć, błąd i przemilczanie*, „Journal of American History”

Prezydenta szczegółowo powiadomiono o stratach, gdy mały Willie jeszcze leżał zabalsamowany.

Iverness, *op. cit.*

Po obu stronach padło w sumie ponad tysiąc żołnierzy, a trzy razy więcej zostało rannych. Była to „najkrwawsza z bitew”, jak napisał w liście do ojca pewien młody żołnierz unijny, a jego kompania poniosła tak ciężkie straty, że mimo zwycięstwa wyszedł z owej potrzeby „smutnym, samotnym i przygnębionym”. Z osiemdziesięciu pięciu żołnierzy tej jednostki ocalało zaledwie siedmiu.

Goodwin, *op. cit.*

Zabici pod Donelson, słodki Jezu. Spiętrzeni w stogi niby wymłócona pszenica, tak że jeden leżał na dwóch, a ci dwaj na trzech. Szedłem przez pobojuwisko z nieczystym sumieniem. Boże, jamżem to uczynił, myślałem.

Porucznik Daniel Brower, *Wspomnienia z bitwy*

Tysiąc poległych. Było to coś nowego. Jakby wojna dopiero teraz naprawdę się zaczęła.

Marshall Turnbull, *Wielka wojna w opisach uczestników*

Zabici leżeli tak, jak padli, we wszelkich wyobraźalnych pozach: jedni ściskali w dłoniach karabiny jak przy oddawaniu strzału, inni zaś trzymali w zlodowaciałych palcach nabój, śmierć bowiem zaskoczyła ich podczas ładowania broni. Na niektórych twarzach widniał spokojny, kontenty uśmiech, podczas gdy na innych malował się iście szatański wyraz nienawiści. Miało się wrażenie, że każde oblicze wiernie odzwierciedla myśli, które przebiegały przez umysł, kiedy zwiastun śmierci powalił żołnierza. Może ten młodzieniec o szlachetnym wyglądzie, z uśmiechniętą, zwróconą ku niebu twarzą, ze lśnącymi, krwią jego własną zlepionymi lokami, czuł, że gdy uchodzi zeń młode życie, w jego zmysły wkrada się modlitwa matki. Obok niego spoczywał młody małżonek, któremu zastygła na wargach modlitwa za żonę i maleństwo. Młodość i wiek dojrzały, cnota i zło uwidaczniały się na tych upiornych obliczach. Leżały przed nami zwęglone, poczerniałe szczątki żywcem spalonych. Zbyt ciężko ranni, aby ruszyć się z miejsca, wściekłemu żywiołowi pochłonać się dali.

*Lata wojny domowej. Kronika życia narodu, dzień po dniu opowiadana*, opr. Robert E. Denney, wypowiedź kaprała Luciusa W. Barbera z kompanii D 15. Ochotniczego Pułku Piechoty z Illinois, uczestnika bitwy o Fort Donelson

Nigdy przedtem nieboszczyka nie widział. I nagle mogłem do syta im się napatrzeć. Pewien nieszczęsny chłopiec zamarzył na kość z otwartymi oczami i w takiej pozie, jakby ze spuszczoną głową przyglądał się w osłupieniu swej ranie. Z boku brzucha wypłynęły mu

wnętrznosci, tworząc pod warstewką lodu fioletowo-czerwoną plamę. W domu na mej komódce stał święty obrazek z Sercem Jezusowym, a ten młodzian wyglądał całkiem tak samo, tyle że u niego czerwono-fioletowa wypukłość zwisała niżej, była większą i w bok przesuniętą, on zaś ze zgrozą na nią patrzył.

*Straszliwa chwała. Zbiór listów z okresu wojny domowej> pisanych przez jej uczestników, zebrali i opracowali Brian Bell i Libby Trust*

I Matko ogień zamarzłych poległych ogarnął i żarł ich tam gdzie padli. Znaleźlim między nimi jednego co jeszcze drygał i dalim radę wynieść go stamtąd jeszcze żywego chociażemy nawet nie wiedzieli nasz czy nie nasz, taki był popalony i goły, tylko w jednej nogawce. Nigdy się nie dowiedział czy się wy. karaskał. Ale nie wyglądało żeby była dla bidaka jakaś nadzieja.

*Listy żołnierza z Illinois, opr. Sam Westfall, wypowiedź szeregowca Edwarda Gatesa z kompanii F 15. Ochotniczego Pułku Piechoty z Illinois*

Braliśmy takiego we dwóch czy trzech i ciągnęli go, tak jakeśmy go znaleźli, bo był ziąb, a ciała na kość zamarzę. Tamtego dnia przekonałem się, że człowiek do wszystkiego przywyknąć umie. Po niedługim czasie wszystko tak nam spowszedniało, że zaczęliśmy nawet sobie żartować i wymyślaliśmy dla każdego przezwisko wedle tego, jak wyglądał. Był na przykład Zgięty, był Wstrząsły, był Półchłopak.

*Brower, op. cit.*

Znaleźlim dwóch chłopaczków co mogli mieć najwyżej czternaście piętnaście lat i się trzymali za ręce jakby chcieli razem przejść przez te ciemną bramę.

*Listy żołnierza z Illinois, op. cit., wypowiedź szeregowca Edwarda Gatesa*

Ilu jeszcze zamiaruje pan trupem położyć zanim bedzie panu dość? Ledwie chwile temu nasz mały Nate siedział se z wentkom na mostku i gdzie on tera? I kto go tamój wezwał tym Apelem co go widział w Orbys, panie szanowny, to pańskie własne nazwisko stało pod spodem, „Abaham Lincoln.

*Listy wieśniaków do prezydenta Lincolna, wybór i opr. Josephine Banner i Evelyn Dressman, list od Roberta Hansworthy'ego z Boonsboro w Marylandzie*



## XLVIII

*On jest tylko jeden.*

*A i tak ciężar tej straty niemal mię zabija.*

*Odstąpiłem innym tę żalobę. Pewnie ze trzy tysiące razy Jak dotąd. Do tej pory. Całą górę. Chłopców. Czyichś synów. I muszę w to brnąć dalej. Może mi zbraknąć serca. Co innego pociągnąć za dźwignię, nie znając skutków. Tu jednak leży jeden drogi przykład tego, co powodują me własne rozkazy...*

*Może mi zbraknąć serca.*

*Co robić. Ogłosić koniec? Cisnąć te trzy tysiące do dołu i odżalować? Prosić o pokój? Zasłynąć jako wielki dureń, co zmienia kurs, król wahań, pośmiewisko dla następnych stuleci, wsiowy głęda, chudy Pan Kurek Na Kościele?*

*Wymknęło się z rąk. Kto to robi. Kto to wywołał. Czyje wyjście na scenę dało temu początek.*

*Co ja robię.*

*Co ja tu robię.*

*Teraz już wszystko niedorzeczne. Ci ludzie na pogrzebie. Podawali ręce. Ich synowie nietknięci. A oni na twarze gwałtem wcisnęli sobie smutne maski, aby przesłonić wszelki ślad szczęścia, które - trwało. Nie potrafili ukryć, jak bardzo ożywia ich radość, że synowie wciąż żyją i tyle jeszcze mają przed sobą. Do niedawna byłem jednym z nich. Przechadzałem się po rzeźni pogwizdując, odwracając spojrzenie od zwałów trupów, potrafiąc się śmiać, marzyć i mieć nadzieję, jeszcze bowiem nie spotkało to mnie.*

*Nas.*

*Potrzask. Straszliwy potrzask. Wpadamy weń w chwili narodzin. Kiedyś musi nastać ostatni dzień. Gdy trzeba będzie wyjść z tego ciała. Już samo to jest okropne. A potem jeszcze prowadzamy na świat dziecko. Niewola sroższą się staje. Dziecko także musi odejść. Każda przyjemność winna być tą wiedzą splamiona. Lecz my, słodcy marzyciele, zapominamy.*

*Czymże to wszystko jest, Boże? Całe to łażenie, staranie, uśmiechy, ukłony, żarty? Do stołu siadanie, koszul prasowanie, krawatów wiązanie, butów pucowanie, podróży planowanie, w wannie śpiewanie?*

*Skoro on musi tu zostać?*

*A człowiek ma kiwać głową, tańczyć, rozumować, chodzić, debatować?*

*Jak przedtem?*

*Idzie parada. On nie może wstać i dołączyć. Mam za nią pobiec, zająć swe miejsce, wysoko podnosić kolana, machać sztandarem, dąć w róg?*

*Był mi drogi czy nie?*

*Niechaj zatem już nigdy szczęścia nie zaznam.*

*hans vollman*

## XLIX

Panował wielki ziąb. (Tkwiąc w dżentelmenie, byliśmy po raz pierwszy od...  
hans vollman

Bardzo dawna.  
roger bevins iii

Dość zmarznięci).  
hans vollman

A on siedział, zrozpaczony i drżący, jakiegokolwiek pociechy szukając.  
*Musi być teraz w jakimś miejscu szczęsnym lub w nijakim..*  
Tak myślał dżentelmen.

*W każdym razie już nie cierpi.*  
*A pod koniec tyle wycierpiał.*

*(Szarpiący kaszel drgawki wymioty żalosalne próby otarcia ust drżącą dłonią a jego przerażone oczy sunęły wzwyż i z mymi się spotykały jakby pytał czy naprawdę nic nie możesz zrobić Tatusiu?)*

Dżentelmen duchem swym stał (a myśmy z nim razem stali) na bezludnej równinie,  
krzycząc ile sił w naszych płucach.

A potem spokój i ogromne znużenie.

*Wszystko skończone. On mieszka w radości lub w nicości.*

*(Skąd więc ta rozpacz?)*

*Najgorsze - dla niego - już się wszak skończyło).*

*Otóż stąd, żem bardzo go kochał i kochać przywykłem, a miłość ta chce przybrać postać zaprzątnięcia, zatroskania i czynu.*

*Tylko że tu nie ma już nic do uczynienia.*

*Uwolnić się od tej ciemności, na ile zdołam, pozostać użytecznym, nie oszaleć.*

*A gdy o nim pomyślę, niechaj wiem, że on przebywa w jakimś miejscu jasnym, cierpieniu niedosiężnym, w nowym trybie bytu promienny.*

Tak myślał dżentelmen.

Kępę trawy palcami w zadumie przeczesując.

roger bevins iii

## L

Smutno.  
roger bevins iii

Bardzo smutno.  
hans vollman

Zwłaszcza wobec tego, cośmy wiedzieli.  
roger bevins iii

Jego chłopiec wcale nie przebywał *w miejscu jasnym, cierpieniu niedosiężnym*.  
hans vollman

O, nie.  
roger bevins iii

Nie *promieniał w nowym trybie bytu*.  
hans vollman

*Au contraire*.  
roger bevins iii

Nad nami zbłąkany powiew wiele ułamanych przez burzę gałązek strząsnął.  
hans vollman

Które w rozmaitych oddaleniach na ziemię pospadały.  
roger bevins iii

Jakby w lesie zaroilo się od dopiero co zbudzonych stworzeń.  
hans vollman

Ciekawe, rzekł pan Vollman.  
A ja wiedziałem, co zamyśla.  
roger bevins iii

## LI

Pragnęliśmy, aby chłopiec ucieczką się salwował. Jego ojciec pragnął, aby synek przebywał w *miejscu jasnym, cierpieniu niedosiężnym; w nowym trybie bytu promiennym*.

Nader fortunna zbieżność pragnień.

Wyglądało na to, żeśmy winni wpoić dżentelmenowi chęć powrotu z nami do domku z białego kamienia. Gdyby udało nam się tego dopiąć, należałoby skłonić chłopca, iżby wniknął w dżentelmena, dawałoby to bowiem niejaką nadzieję, że życzenie ojcowskie od wewnątrz podsłuchawszy, da się przekonać do...

hans vollman

Zamysł to znakomity, powiedziałem. Ziścić go nie mamy wszelako sposobu.

roger bevins iii

(Na przestrzeni dziejów w poglądach co do tej kwestii pakował niejaki zamęt).

Nie ma tu żadnego zamętu, przyjacielu.

Po prostu nie jesteśmy zdolni nic przekazać istotom owego autoramentu, a co dopiero nakłonić je do jakichkolwiek czynów.

I chyba sam pan to wie.

roger bevins iii

## LII

Śmiem być odmiennego zdania.

Udało nam się raz doprowadzić do ślubu, jak pan zapewne pamięta.

hans vollman

Rzecz to wysoce dyskusyjna.

roger bevins iii

Przechadzała się tu para będąca o włos od zerwania zaręczyn, lecz pod naszym wpływem postanowienie zmieniła.

hans vollman

Był to prawie na pewno zbieg okoliczności.

roger bevins iii

Kilku z nas... Hightower, my trzej i... jakże on się nazywał? Ten bez głowy?

hans vollman

Ellers.

roger bevins iii

Ellers, oczywista!

Z nudów wniknęliśmy gromadą w tamtych dwoje i połączoną mocą naszych skupionych życzeń przywiedliśmy.

hans vollman

Jedno trzeba przyznać:

Raptowną namiętnością owładnięci, za jednym z kamiennych domków się skryli.

roger bevins iii

Aby owej namiętności pofolgować.

hans vollman

A myśmy patrzyli.

roger bevins iii

Wspominam to z mieszanymi uczuciami. Owo patrzenie.

hans vollman

No cóż, mój drogi panie, tamtej nocy nie miał pan żadnych mieszanych uczuć. Pański członek nabrzmiał do niespotykanych rozmiarów. A nawet w zwykły dzień obrzmiały jest ponad wszelką...

roger bevins iii

Jeśli mię pamięć nie zawodzi, pan także patrzył. Nie przypominam sobie, żeby pan odwracał choć jedną parę spośród swych jakże licznych...

hans vollman

Owszem, widok takiej namiętności był nader ożywczym. Zaciekłość ich uścisków podziw budziła.

roger bevins iii

Tak.

Od ich rozgłośnych jęków rozkoszy aż ptaki z drzew się zerwały.

hans vollman

Po czym odnowili wzajemne zobowiązania i odeszli, za ręce się wzięwszy, pogodzeni, znów zaręczeni.

roger bevins iii

I myśmy to sprawili.

hans vollman

Daj pan pokój. Byli młodzi, chutliwi, sami w ustronnym miejscu w piękną noc wiosenną. Nie potrzebowali pomocy żadnych...

roger bevins iii

Przyjacielu:

Jesteśmy tu.

Już tu.

Wewnątrz.

Pociąg ze zgubną prędkością zbliża się do muru. Dzierzysz w dłoni dźwignię, nie wiedząc, do czego ona służy: czy ją przestawisz? W przeciwnym razie katastrofa jest więcej niż pewną.

Nic cię to nie kosztuje.

Czemu nie spróbować?

hans vollman

### LIII

Już wewnątrz dżentelmena pan Bevins ujął mą dłoń.  
hans vollman

I poczęliśmy...  
roger bevins iii

... mu przedkładać.  
hans vollman

Probować mu przedłożyć.  
roger bevins iii

Jęliśmy wspólnie myśleć o domku z białego kamienia.  
hans vollman

O chłopcu.  
roger bevins iii

O jego twarzy, włosach, głosie.  
hans vollman

O szarym ubranku.  
roger bevins iii

O stawianych palcami do środka stopach.  
hans vollman

O zdartych butach.  
roger bevins iii

*Wstań, wróć, myśleliśmy jak jeden. Synek rady twej potrzebuje.*  
hans vollman

*W wielkim jest niebezpieczeństwie.*  
roger bevins iii

*Dzieciom nie lza z odejściem się ociągać.*  
hans vollman

*Jego upór, który w dawnym miejscu był cnotą, naraża go na niebezpieczeństwo tu, gdzie naturalne prawa, tyrańsko surowe, nie pobłażają żadnym buntom i domagają się bezwzględnego posłuchu.*

roger bevins iii

*Prosimy tedy, abyś wstał.*

hans vollman

*I wrócił z nami ratować chłopca.*

roger bevins iii

Nie było widać skutku.

hans vollman

Dżentelmen wciąż tylko siedział, trawę przeczesując, z pustką w głowie.

roger bevins iii

Wyglądało na to, że musimy podejść do rzeczy bardziej wprost.

hans vollman

Za obopólną zgodą skupiliśmy się na pewnym wspomnieniu o pannie Traynor, któreśmy obaj zachowali.

roger bevins iii

Gdyśmy zeszłego roku w Boże Narodzenie świąteczną wizytę jej złożyli, przekonaliśmy się, że w obliczu szczególnej próby, jakiej poddało ją owo święto błogosławione, przeszła dalej posunięte przeistoczenie aniżeli te, które dotąd kazały jej przemieniać się w most zwalony, w sępa, w psisko, w okropną wiedźmę objadającą się czekoladowym tortem, w pole kukurydzy zalane powodzią, w parasol stargany wiatrem, któregośmy czuć nie mogli...

hans vollman

I przejawiała się jako starożytny klasztor z piętnastoma zajadłe kłócącymi się zakonnicami, który miał niebawem spłonąć aż do samych fundamentów.

roger bevins iii

Klasztor, w stylu agredańskiego, był rozmiarów dziewczyny, a zamieszkujące go mniszeczki właśnie jutrznię odprawiać poczynały.

hans vollman

I nagle cały gmach (dziewczynę) pożar ogarnia: wrzaski, krzyki, jęki, od ślubów zakonnych się odzegnwanie w nadziei ratunku.

roger bevins iii

Ale żadna się nie uratuje, zginą co do jednej.

hans vollman

Siłą woli nakazaliśmy sobie raz jeszcze to ujrzeć, powąchać, usłyszeć: zapach kadzideł; wonny szpaler szafwii pod murem; niosący się w dół po wzgórzu różopowiew; przenikliwe piski zakonnicy; mniszy stupot po ubitej czerwonej glinie kumiejskiej ścieżki...

roger bevins iii

Nic to nie dało.

hans vollman



Wciąż siedział beczynnie.  
roger bevins iii

Wtem obaj coś wyczuliśmy.  
hans vollman

W lewej kieszeni jego spodni.  
roger bevins iii

Kłódkę.  
hans vollman

Tę kłódkę. Od drzwi domku z białego kamienia.  
roger bevins iii

Ciężką i zimną.  
Z wciąż tkwiącym w niej kluczem.  
hans vollman

Zapomniał znów ją zawiesić.

roger bevins iii

Nadarzyła się zatem sposobność, która przedkładania nasze uprościła.  
hans vollman

Skupiliśmy uwagę na kłódce.  
roger bevins iii

Na tym, czym grożą niezamknięte drzwi.  
hans vollman

Przywołałem pamięcią bezradną wściekłość Freda Downsa, gdy pijani studenci anatomii wrzucili jego szpitalną larwę do worka i na wóz, aż konie dęba stanęły, odorem spłoszone.  
roger bevins iii

Wyobraziłem sobie rozszarpany wilczymi kłami tułów pani Scoville, o futrynę jej drzwi skośnie oparty, z urwaną i trzepoczącą wśród resztek siwych włosów woalką.

Wyobraziłem sobie, że wilki w tej oto chwili gromadzą w lesie watahą, węsząc, co niesie wiatr...

Ku domkowi z białego kamienia zmierzają.

Charcząc, pianę z pysków tocząc.

Wdzierają się do środka.

I tam dalej.

hans vollman

Dżentelmen włożył rękę do kieszeni.  
roger bevins iii

Ujął nią kłódkę.  
hans vollman

Pokręcił głową, nierad z siebie:  
*Jakże mogłem zapomnieć o takiej prostej...*  
roger bevins iii

Wstał.  
hans vollman

I odszedł.  
roger bevins iii

Ku domkowi z białego kamienia.  
hans vollman

Zostawiając pana Vollmana i mnie na ziemi.  
roger bevins iii

**LIV**

Czyżby... czyżbyśmy dopięli swego?  
hans vollman

Zdało się to wcale możebnym.  
roger bevins iii

## LV

Byliśmy wciąż jeszcze wzajem przemieszani, toteż w umyśle mym naturalną kolejną rzeczy jęły się wyłaniać przymieszki pana Vollmana, jego zaś umysł równie przyrodzoną rzeczy kolejną wyczuwał te, które pochodziły ode mnie.

roger bevins iii

Ile że nigdyśmy się jeszcze nie byli znaleźli w takim położeniu...

hans vollman

Wrażenie było zdumiewające.

roger bevins iii

Dostrzegłem jakby po raz pierwszy wielką urodę zjawisk tego świata: w lesie wokół nas krople wody pluskały z liści na ziemię; gwiazdy wisiały nisko, błękitnobiałe, niepewne; wiatr niósł leciuteńkie wonie dymu, suchoziała, rzekoszlamu; cmokliwe grzechotki suchokrzewu nadymał szczytujący wietrzyk, a jakaś daleka zapotoczna sanioszkapa łbem podrzuciła, chomątodzwoniąc.

hans vollman

Widziałem twarz jego Anny i pojąłem, czemu tak mu niepilno ją porzucić.

roger bevins iii

Pragnąłem męskowoni i silnego męskiego uścisku.

hans vollman

Znałem się na prasie drukarskiej i uwielbiałem ją obsługiwać. (Wiedziałem, co to docisk, wałek, i m a k, b o s t o n k a). Wspomniałem własne niedowierzanie z chwili, gdy runęła znajoma krokiew. Tę ostatnią gasnącą sekundę przerażenia! Przebiłem podbródkiem blat biurka; ktoś (pan Pitts) wrzeszczy z przedsionka, a wokół mnie leżą okruchy mego popiersia Waszyngtona.

roger bevins iii

Piec cyka. Miotając się w trwodze, krzesło przewróciłem. Spłynąwszy kanalikami szczelin między klepkami podłogi, krew przy brzegach dywanu w sąsiednim pokoju kałużą stanęła. Jeszcze dałoby się mię ocucić. Któż w życiu nie pobłądził? Świat jest łaskawy, przebacza, daje szansę poprawy. Kiedy stłukłem maminy wazon, pozwolono mi zamieść piwnicę na owoce. Kiedym niezyczliwie odezwał się do Sophii, naszej pokojówki, napisałem do niej list i wszystko się ułożyło.

hans vollman

Już jutro, jeśli tylko wyzdrowieć zdołam, posiędę ją. Sprzedam drukarnię. Wybierzemy się w podróż. W wielu miastach zobaczą ją w wielobarwnych sukniach. Które spadną na wiele podłóg. Nasza przyjaźń jeszcze bardziej się pogłębi: co dzień będziemy pracowali nad „poszerzaniem granic szczęścia naszego” (jak to kiedyś pięknie ujęła). I może jeszcze urodzą nam się dzieci: nie jestem na to za stary, mam dopiero czterdzieści sześć lat, a ona jest w kwiecie wieku.

roger bevins iii

Czemuśmy wcześniej tego nie robili?

hans vollman

Niby znam tego człowieka od lat, a w gruncie rzeczy wcalem go dotąd nie znał.

roger bevins iii

Było to nadzwyczaj przyjemne.

hans vollman

Ale bezowocne.

roger bevins iii

Dżentelmen znikł.

Zawrócił do domku z białego kamienia.

hans vollman

Przez nas nakłoniony!

roger bevins iii

O, nocy cudowna!

hans vollman

Wychynałem z pana Vollmana.

roger bevins iii

Wnet po wyjściu pana Bevinsa przepełniła mnie tęsknota za nim i za towarzyszącymi mu zjawiskami, mogąca iść o lepsze z tą, którą czułem na myśl o rodzicach, kiedym po raz pierwszy dom ich opuścił, jadąc na naukę fachu do Baltimore, tęskniłem zaś wtedy srodze.

Tak bowiem dogłębnieśmy w sobie wzajem mieszkali.

Wiedziałem, że odtąd zawsze już będę go widział całego. Drogi pan Bevins!

hans vollman

Drogi pan Vollman!

Patrzyłem nań; on zaś patrzył na mnie.

roger bevins iii

Każdy z nas miał przymieszkę towarzysza na wieki w sobie zachować.

hans vollman

Mało tego.

roger bevins iii

Zdało nam się, żeśmy poznali i dżentelmena.

hans vollman

Odosobniwszy się zarówno od niego, jak i od Vollmana, poczułem, że budzi się we mnie zdumiewający zasób nowej wiedzy. Kim bowiem był dżentelmen? Panem Lincolnem.

A pan Lincoln p r e z y d e n t e m. Jakże to być mogło? Jakże być nie mogło? A przecież wiedział całym sercem, że prezydentem jest pan Taylor.

roger bevins iii

Że ów szacowny urząd pan Polk sprawuje.

hans vollman

A przecież wiedział całym sercem, że prezydentem jest pan Lincoln. Prowadziliśmy wojnę. Nie prowadziliśmy wojny. Trwał powszechny chaos. Trwał powszechny spokój. Wynaleziono urządzenie do porozumiewania się na odległość. Nie, żaden taki przyrząd nie istniał. Istnieć nie mógł. Był to szalony pomysł. A jednak widziałem tę maszynę, używałem jej; słyszałem w pamięci dźwięk, który po włączeniu wydawała.

Był to telegraf.

Mój Boże!

roger bevins iii

W dniu krokwi prezydentem był Polk. Nagle jednak wiedziałem (z olśniewającą pewnością), że nastał po nim T a y l o r, po Taylorze - F i l l m o r e, po Fillmorze - P i e r c e...

hans vollman

Po nim Buchanan, a po Buchananie...

roger bevins iii

Lincoln!

hans vollman

Prezydent Lincoln!

roger bevins iii

Linia kolejowa sięgała aż za Buffalo...

hans vollman

I jeszcze dużo dalej!

roger bevins iii

Szlafmycy księcia Yorku już się nie nasza. Istnieje za to coś co zowią „rozciętym rękawem Pamelii”.

hans vollman

W teatrach świecą lampy gazowe. Używa się do tego żarników i maskowanych przewodów.

roger bevins iii

Widowisko jest zaiste cudowne.

hans vollman

Dokonało rewolucji w teatrze.  
roger bevins iii

Mimikę aktorów widać nader dokładnie.  
hans vollman

Pozwala to odtwarzać rzeczywistość z nie spotykaną dotąd wiernością.  
roger bevins iii

Trudno opisać zacukanie, w które nas owe rewelacje wprawiły.  
hans vollman

Zawróciliśmy i szybującym biegiem ku domkowi z białego kamienia ruszyliśmy,  
rozmawiając wielce podnieconym tonem.  
roger bevins iii

Włosy tudzież liczne oczy, dłonie i nosy pana Bevinsa ciągnęły się za nim rozmytą od  
pędu smugą.  
hans vollman

Pan Vollman członek swój wielgachny oburącz podtrzymywał, aby się on nie potknąć.  
roger bevins iii

Dobiegliśmy niezabawem do pana Lincolna od zawietrznej. Był tak blisko, żeśmy czuli,  
jak pachnie.  
hans vollman

Mydłem, pomadą, wieprzowiną, kawą, dymem.  
roger bevins iii

Mlekiem, kadzidłem, wyprawioną skórą.  
hans vollman

# CZEŚĆ DRUGA



## LVI

Noc dwudziestego piątego lutego 1862 roku była zimną, lecz bezchmurną, służąc miłym wytchnieniem po okropnej pogodzie, która Stolicę nękała. Williego Lincolna już pochowano i wszelkie związane z tym ceremonie dobiegły końca. Naród z zapartym tchem czekał, aż Prezydent znów sprawnie ujmie ster państwowej nawy w godzinie największej potrzeby.

C.R. DePage, *Duchowość Lincolna. Podróż istotna*

## LVII

Wybiła druga w nocy, a Prezydent jeszcze nie wrócił do Białego Domu. Rozważałem, czy nie zbudzić pani Lincolnowej. Choć samotne przejażdżki wieczorne były u Prezydenta rzeczą zwykłą. Nigdy nie chciał brać wtedy eskorty. Owej nocy wyjechał na Małym Jacku, swym ulubieńcu. Noc była zimną i mokrą. Prezydent nie wziął płaszcza, zostawiwszy go na kołku w sieni. Było więcej niż pewnym, że wróci zmarznięty. Acz zdrowie miał tęgie. Zająłem swe stałe miejsce u drzwi, jednakowoż co czas jakiś przed dom wychodziłem, tętentu Małego Jacka nasłuchując. Minęło jeszcze pół godziny, a pan Lincoln nie wracał. Gdybym był na jego miejscu, pomyślałem, mógłbym ruszyć naprzód, nie oglądając się za siebie, i jechać, dopóki bym nie wrócił na Zachód, do życia nie tak przepełnionego ważkimi sprawami i troskami. Kiedy trzecia godzina nadeszła i minęła, jałem myśleć, że może Prezydent tak właśnie postąpił.

Znów rozważyłem, czy nie zbudzić pani Lincolnowej. Powstrzymała mnie jednak litość. Biedaczka była w bardzo złym stanie. Dziwnym mi się zdało, że mąż zostawił ją samą w takim czasie. Dano jej wszelako pokaźną dozę czegoś na sen, chyba więc nie zauważyła nieobecności Prezydenta.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincolna, op. cit., wypowiedź Paula Rilesea, strażnika z Białego Domu*

## LVIII

Mary Lincoln zawsze była słabego zdrowia psychicznego, a utrata małego Williego na dobre wytrąciła ją z ról żony i matki.

Jayne Coster, *Matka w obliczu próby. Mary Lincoln i wojna domowa*

Koło drugiej po południu z części domu, w której leżało chore dziecko, dobiegły odgłosy straszliwego zamieszania. Pomyślałam, że nadeszła chwila. Pani Lincolnowa przemknęła mimo mnie z głową spuszczoną, wydając dźwięki, jakich ni przedtem, ni potem z ludzkiej krtani nie słyszałam.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincoln, op. cit., wypowiedź pokojówki Sophie Lenox*

Rozpacz Prezydenta jeszcze dawała się ująć w słowach, lecz wybuch jego żony był nie do opisanania.

Epstein, *op. cit.*

Na widok bladej twarzyczki zmarłego synka konwulsji dostała.

Keckley, *op. cit.*

Mary Lincoln padła na swoje łóżko.

Von Drehle, *op. cit.*

Zmieniona nie do poznania.

Keckley, *op. cit.*

Podano jej laudanum, lecz nawet ten silny specyfik nie uciszył krzyków rozpacz, w których oburzenie mieszało się z niedowierzaniem.

Coster, *op. cit.*

Stan zdrowia nie pozwolił pani Lincolnowej wziąć udziału w uroczystościach pogrzebowych.

Leech, *op. cit.*

Mary Lincoln po pogrzebie przez dni dziesięć z łóżka nie wstawała.

Kevin Swarney, *Piękność przeistoczona. Podróż Mary Lincoln*

Pani Lincolnowa przez wiele tygodni po tej tragedii nie mogła wyjść z pokoju czy choćby z łóżka wstać.

Sloane, *op. cit.*

Gdy po miesiącu wreszcie stamtąd wychynęła, chodziła niczym kukła nakręcana, patrząc na nas obojętnie jak na obcych.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincoln, op. cit., wypowiedź lokaja D. Strumphorta*

Niektóre ciosy są zbyt ciężkie dla osób nadto wrażliwych.

*Coster, op. cit.*

Leżała, pragnąc, aby wszystko to się odstało; chwilami nie wierzyła, że nieszczęście naprawdę się zdarzyło, a niebawem znów nabierała przekonania, że jednak na nią spadło. Wokoło wciąż te same ściany, pościel, filiżanka, sufit, okna. Nie mogła wstać i wyjść, świat zewnętrzny zbytnio ją bowiem przerażał. Sączyła odurzający napój, jedynej nadziei spokoju w nim upatrując.

*Swarney, op. cit.*

Gdzie mój chłopiec? - pytała raz po raz. - Gdzie jest? Czy ktoś nie mógłby go odnaleźć i natychmiast do niej przyprowadzić? Bo on gdzieś przecie musi chyba jeszcze być?

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincoln, op. cit., wypowiedź pokojówki Sophie Lenox*

## LIX

Tu wciąż cisza zupełna, Bracie drogi - Tylko ogień strzela, a z Twego dawnego pokoju dobiega chrapanie kochanej Grace, którą tam umieściłam, żeby łatwiej jej było mną się opiekować w te trudne noce - Księżycowa poświata ukazuje drugą stronę drogi, gdzie jak okiem sięgnąć poniewierają się szczątki po wczorajszej nawałnicy - Potężne konary opierają się o grobowce i leżą w poprzek grobów - Pamiętasz może posąg łysego mężczyzny w rzymskim stroju (któregośmy „Mortym” zwali), co stoi, stopą szyję węża nadeptując, i jak pewien młody psotnik po wielekroć sweter swój do góry podrzucił, aby Morty nadział go na koniec miecza - Otóż Morty'ego już nie ma - A przynajmniej nie jest tym, kim był niegdyś - Spadająca gałąź trafiła męznego Rzymianina w rękę, odłamując ją wraz z mieczem, ten zaś w locie ku ziemi utracił wężowi łeb - Teraz ręka, miecz i łeb węża leżą na kupie - a sam Morty, jakby owym dowodem swej śmiertelności wstrząśnięty, nieco się wraz z cokołem przechylił.

Chybam się na chwilę zdrzemnęła - Tak, czwarta dochodzi - Za drogą stoi koń uwiązany do cmentarnego parkanu -spokojny i zmęczony, kiwa łbem, jakby mówił: No cóż, choć znalazłem się na podwórku Umarłych głuchą nocą, Koniem jestem, winienem więc posłuch swemu panu.

Mam tedy zagadkę, która mię zajmuje - Któż to tam zawitał tak późną porą? Jakiś młodzian, mam nadzieję, hołd składa szczerze ukochanej, którą utracił.

W małej wartowni Mandersa się świeci, on zaś przechadza się pod oknem, jak to ma we zwyczaju - Może pamiętasz, że to właśnie Manders wspiął się po drabinie, aby zdjąć z miecza Morty'ego rzeczony sweter - Widać, jak się postarzał -Mniemam, że od nadmiaru trosk rodzinnych - O, wychodzi z wartowni - Jego latarnia się oddała - Szuka zapewne naszego „północnego gościa” — Wielce mię to wszystko intryguje - Kto by myślał, że takie kalectwo jak moje wyklucza pragnienie podniet, niechby usiadł tu ze mną tej nocy przy oknie - Chyba już nie zasnę, bo rada bym ujrzeć choć w przelocie twarz naszego gościa, kiedy już go Manders przywiedzie z powrotem.

*Wojenny Waszyngton. Listy Isabelle Perkins z czasów wojny domowej, op. cit.*

## LX

Pozostawiony na dachu domku z białego kamienia postanowiłem spróbować jeszcze tylko ten jeden ostatni raz przemówić do rozumu chłopcu, który niemal bez zmysłów u stóp mych leżał niczym młodzianki Pasza, ogłuszony i powalony.

Niedojrzałe i oszukańcze poczynania panów Bevinsa i Vollmana, którzy - jak zwykle w pogoni za choćby najbliższą rozrywką - porzucili mię w nader przykrym położeniu, zraniły mię do żywego. Wpół zgięty, trudziłem się niby jakowyś prymitywny ogrodnik, pędy bluszczu oburącz chwytając. Musiałem co chwila rozstrzygać, czy borykać się z tymi kilkoma, które już były przywarły, czy raczej stawić czoło ich świeżo wyrosłym pobratymcom. Choć prawdę rzekłszy, niewiele ode mnie zależało: godziny chłopca i tak były policzone.

Niebawem nadarzyła się sposobność zamienienia z nim paru szczerych słów.

Wypatrując na horyzoncie tych dwóch szalapatów, czyli Bevinsa i Vollmana, ujrzałem miast nich wykradających się z lasu braci Crutcherów, którym jak zwykle towarzyszyli państwo Reedy, owa czwórka tworzyła bowiem elitę rozwiązłej kohorty orgiastyków mieszkającej nieopodal masztu flagowego.

Przyszliśmy się przypatrzeć, oświadczył Matt Crutcher.

Ostatnim chwilom, dodał Richard Crutcher.

To nas ciekawi, rzekła pani Reedy.

Ostatnim razem też patrzyliśmy, powiedział Matt Crutcher. Kiedy padło na tę dziewczynę.

Ogromnie nas to pobudziło, wyznał pan Reedy.

Dało ostrogę, rzekła pani Reedy.

A każdy jej czasem potrzebuje, powiedział pan Reedy.

Na tym gnojowisku, prychnął Matt Crutcher.

Niech nas pastor nie potępia, poprosił pan Reedy.

Albo niech właśnie potępi, rzekła pani Reedy.

Czujemy się wtedy wyuzdańsi, przyznał Matt Crutcher.

Co kto lubi, powiedział Richard Crutcher, tuż do pani Reedy przymknawszy.

Może, odparła pani Reedy, do kieszeni spodni dłoń mu wsuwając.

Wszyscy czworo przykucnęli i jęli się gapić z drapieżnym skupieniem niby sępy obmierzłe nieszczęściem chłopca zwabione. Po chwili zaś upletli przedziwną dłoni gmatwaninę, przejawiając się jako jeden stwór straszliwy, a ruchy ich rąk, miarowe jak przy pompach, i rytmiczne, zdyszane oddechy nadawały im pozór machin, nie ludzi.

I co powiesz? - spytałem chłopca. — Czy to dobre miejsce? Zdrowe? Ci ludzie zdają ci się poczytalnymi i godnymi naśladowania?

A mimo to pastor tu tkwi, odrzekł chłopiec.

Jestem inny, odparłem.

Ode mnie? - zapytał.

Od wszystkich.

Jak inny?

I wtedy o mały włos mu nie powiedziałem.

wielebny everly thomas

## LXI

Bo też j e s t e m inny.

W przeciwieństwie do tamtych (Bevinsa, Vollmana i dziesiątków naiwnych, wśród których tu mieszkam), doskonale wiem, kim jestem.

Nie jestem „chory”, nie „leżę na podłodze w kuchni”, nie „zdrowieję w szpitalnej skrzyni”, nie „czekam, aż mię ocuć”. Nie.

Już tam, u kresu, w naszym pokoju gościnnym z widokiem na ceglana ścianę sąsiedniego domu Rednellów, pnączem rozkwitłym porośniętą (był właśnie początek czerwca), zrównoważony i wdzięczny stan ducha, którym poprzez swe kapłaństwo zawsze pielęgnować się starał, pozwolił mi kornie pogodzić się z losem, wiedziałem tedy doskonale, kim jestem.

Byłem martwy.

Czułem, że pora odejść.

Toteż odszedłem.

Tak: stając się tym samym sprawcą, a zarazem (zdumionym) widzem (od wewnątrz) zjawiska mrozącego do szpiku kości, czyli rozświtu materii przy wtórze huku wystrzału (którego to doznania nawet nie spróbuję opisać), odszedłem.

Okazało się, że idę wysokogórską ścieżką, a przede mną kroczy dwóch mężczyzn, którzy, jakem się domyślił, odeszli zaledwie kilka sekund wcześniej. Jeden miał na sobie ubiór trumienny bardzo liche i rozglądał się to tu, to tam, jakby wędrował dla przyjemności, a przy tym nucił nieco dziwacznie, zdając się przez to człkiem bezmyślnie szczęśliwym, z dobrawoli w niewiedzy trwającym. Nie żył, lecz jego zachowanie mówiło: Ha, ha, czymże to wszystko jest? Drugi miał na sobie żółty kostium pływacki, płomiennie rudą brodę i gniewnie stąpał, jakby spieszo mu było dokądś dojść, choć zarazem mocno się wzdragał tam dotrzeć.

Pierwszy pochodził z Pensylwanii, a drugi z Maine (z Bangor lub jego okolic) - wiele przybywał na polach uprawnych i często nad morze chadzał, aby na skałach godzinami przesiadywać.

Był w kostiumie pływackim, bo utonął podczas morskiej kąpieli.

Skądś to wiedziałem.

Idąc ową ścieżką, co czas jakiś powracałem tutaj. Kładłem się w swym grobie, lecz wypłaszal mnie zeń widok czegoś, co leżało w mej trumnie (tego świętoszkowatego, sucholicego szczątku); zawisałem więc nad grobem, nerwowym szybochodem koła zataczając.

Żona ma i parafianie po raz ostatni mię żegnali, a ich płacz wbijał we mnie zielone sztyleciki, całkiem dotykalne ostrza. Przy każdym szlochu sztylet odrywał się od żałobnika i trafiał mię, ból srogi zadając.

A potem znów byłem t a m, na owej ścieżce, z dwoma przyjaciółmi. Pod nami rozpościerała się daleka dolina, o której skądciś wiedziałem, że wędrowki naszej jest celem.

Ukazały się kamienne schody. Towarzysze moi przystanęli, za się zerkając. Poznawszy we mnie duchownego (pochowano mię wszak w kapłańskim stroju), zdawali się pytać: mamy li iść dalej?

Przytaknąłem bez słowa.

Z doliny dobiegały jakoweś śpiewy, gwar podnieconych głosów, bicie dzwonu. Dźwięki te w ukontentowanie mię wprawiały; otośmy drogę przebyli, cel osiągnęli, uroczystości mogły wreszcie się zacząć. Byłem szczęśliwy, że życie me uznano za godne tak widowiskowego zwieńczenia.

I nagle ku swej irytacji wróciłem t u; żona ma i wierni odjeżdżali powozami, posyłając mi niekiedy zielone sztyleciki, wciąż tak samo ostre mimo rosnącego oddalenia. Kondukt mój

niebawem za Potomak przejechał i u Preveya do stypy zasiadł. Wiedziałem to, choć przed grobem swym w tę i nazad się przechadzał. Przerażony, że uwięźnę t u t a j, zapragnąłem jedynie wrócić do mych przyjaciół t a m, na kamienne schody. T u t e j s z e miejsce wyłącznie mię odstręczało jako trupiarnia, kostnica, śmieci wysypisko, smutna resztką odstręczającego i grubiańsko materialnego koszmaru, z którego dopiero budzić się poczynął.

Ledwo to pomyślał, do mych przyjaciół wróciłem i znów zstępowałem po owych schodach na łąkę rozświetloną, gdzie stała budowla, jakiej nigdy nie widział, wzniesiona z krzyżujących się desek tudzież z klinów wyciętych z najczystszej brylanty, mieniących się tęczą barw, które nowy odcień przybierały, ilekroć słońce choć trochę inaczej zaświeciło.

Szliśmy, wzięwszy się pod ręce. Wokół nas zgromadził się tłum, który do dalszego marszu nas zachęcał. Warta u wrót rozpromieniła się na nasz widok.

Wrota stanęły otworem.

Za nimi w rozległej komnacie po brylantowej posadzce wiodła droga do takiegoż stołu, za nim zaś siedział mężczyzna, o którym widziałem, że jest księciem; nie Chrystusem, lecz bezpośrednim wysłannikiem Jego. Komnata przypominała znany mi z lat chłopięcych skład towarów Hartleya: ogromną salę, wysoką i złowrogą, której złowrogości przydawała władcza postać (niegdyś Hartley, a teraz ów Chrystusowy wysłannik), siedząca w pobliżu źródła ciepła i światła (niegdyś kominka, a teraz poszczerbionego, płonącego wewnętrznym żarem topazu na szczerozłotym postumencie).

Rozumieliśmy, że mamy podejść w tym samym porządku, w którymś tam przybyli.

Nasz rudobrody przyjaciel, komiczny w swym kostiumie pływackim, podszedł pierwszy.

I gdy tak zmierzał ku stołowi, na prawo i lewo od niego pojawiły się nagle dwie istoty, krok w krok z nim idące, piękne z wyglądu: wysokie, smukłe, świetliste, o stopach ze słonecznie żółtego światła.

Jakeś żył? - spytała jedna.

Mów prawdę, dodała druga, po czym lekko dotknęły głowami jego skroni.

Obie rozpromieniły się, uradowane tym, co w nim znalazły.

Czy możemy potwierdzić? - spytała ta z prawej.

No pewnie, odparł nasz rudobrody przyjaciel. Mam nadzieję, że potwierdzicie.

Żółtostopa istota po prawej wyśpiewała jeden jedyny radosny ton, po czym kilka jej miniaturowych sobowtórów w y t a n c y ł o z niej (wybrałem to słowo, aby oddać ich ruchów grację nadzwyczajną), niosąc wielkie zwierciadło o brzegach drogimi kamieniami inkrustowanych.

Żółtostopa istota po lewej wyśpiewała s w ó j radosny ton, po czym kilka jej miniaturowych sobowtórów wyturlało się z niej i koziołkując w sekwencji najwyszukańszych ewolucji gimnastycznych, jakie można sobie wyobrazić, wagę przyniosło.

Szybki sprawdzian, rzekł wysłannik Chrystusa ze swego miejsca za brylantowym stołem.

Istota po prawej nadstawiła zwierciadło rudobrodemu. Ta z lewej dłoń w piersi mu zanurzyła i zręcznym, a zarazem jakby nieco przepraszającym ruchem serce z niej wyjęła, aby je na wadze położyć.

Istota z prawej spojrzała w zwierciadło, a ta z lewej na wagę.

Bardzo dobrze, orzekł wysłannik Chrystusa.

Tacyśmy radzi szczęściu twemu, powiedziała istota z prawej, a ja nie umiem należycie opisać radosnych dźwięków, co rozniosły się szerokim echem po bezmiarze, który, jakem wówczas pojął, we wsze strony wokół pałacu bezkresnym królestwem się rozciągał.

W głębi komnaty otwarły się na ścieżaj brylantowe wierzeje, ukazując jeszcze większą salę.



Ujrzałem w niej namiot z najczystszej białego jedwabiu (lubo takie jego opisanie jedynie go zniesławia, nie był to bowiem jedwab ziemskiego gatunku, lecz wyższego, doskonalszego, którego nasz jest tylko żalną namiastką), gdzie miała się właśnie zacząć wielka uczta, a na podwyższeniu siedział nasz gospodarz, Król Królów, obok niego zaś stał pusty fotel (a raczej majestatyczny tron, złotogłowie obity, rzec by można, gdyby złotogłów tkano ze światła, z którego każdej drobinki biłaby radość i radosne dźwięki), przeznaczony, jakem odgadł, dla naszego rudobrodęgo przyjaciela.

Owym królem w namiocie był sam Chrystus, tak jak i (com nagle ujrzał) siedzącym przy stole księciem wysłannikiem, Chrystusem w przebraniu lub wtórną jego emanacją.

Nie umiem tego wytłumaczyć.

Rudobrody przeszedł właściwym sobie rozkołysanym krokiem przez brylantowe wrota, które wnet się za nim zamknęły.

Przez niemal osiemdziesiąt lat przeżytych na ziemi nigdy nie odczułem większego ani przykrzejszego rozdziewu między szczęściem (którym napawał mię sam przelotny i jakże daleki widok owego podniosłego namiotu) a smutkiem (nie byłem wszak w owym namiocie, a nawet kilka sekund na zewnątrz niego okrutną wiecznością mi się zdało).

Zapłakałem, a wraz ze mną zapłakał mój trumiennie odziany przyjaciel z Pensylwanii.

Jego łzy były jednak przynajmniej nadzieją zaprawione, stał bowiem bliżej wejścia, o tyleż zatem krócej banicja jego trwać miała.

Postąpił o krok.

Jakeś żył? - spytała istota po prawej.

Mów prawdę, dodała druga, po czym lekko dotknęły głowami jego skroni.

Wzdrygnęły się z odrazą i podeszły do dwóch garnców z szarego kamienia pod bocznymi ścianami komnaty stojących, aby chlusnąć w nie bliźniaczo podobnymi strugami jaskrawie barwnych womitów.

Ich miniaturowe sobowtóry w te pędy przyniosły ręczniki gwoli ust otarcia.

Czy możemy potwierdzić? — spytała istota z prawej.

Wolnego, coście tam widzieli? - wtrącił trumiennie odziany. - Czy jest jakiś...

Lecz było już za późno.

Istota po prawej złowieszczy ton wyśpiewała, po czym wyłoniło się z niej kilka jej miniaturowych sobowtórów, kalekich, o wykrzywionych obliczach, niosąc między sobą zwierciadło kałem zaschniętym oblepione. Istota po lewej wyśpiewała swój (posepny, zgrzytliwy) ton, po czym kilka jej miniaturowych sobowtórów wyturlało się z niej i koziołkując w sekwencji kurczowych, niezdarnych ewolucji gimnastycznych, poniekąd jakby oskarżycielskich, wagę przyniosło.

Szybki sprawdzian, surowo zarządził książę-Chrystus.

Nie jestem pewien, czym w pełni pojął wskazówki, powiedział trumiennie odziany. Gdyby wolno mi było...

Istota po prawej nadstawiła mu zwierciadło, a ta z lewej zanurzyła dłoń w jego piersi ruchem zręcznym i napastliwym, serce wyjęła i na wadze położyła.

Och, jęknął wysłannik Chrystusa.

Po całym królestwie rozniósł się echem żalobny okrzyk z nutą potępienia.

Brylantowe wrota otwarły się na ścieżaj.

Na widok przemiany, która tymczasem za nimi się dokonała, aż zamrugałem z niedowierzaniem. Namiot nie był już z jedwabiu, lecz z mięsa (różowymi cętkami krwi zepsutej zbryzganego); także i uczta nie była uczta: na blatach długich stołów rozciągnięto mnóstwo ludzkich postaci w różnych stadiach obłupiania ze skóry; gospodarz nie był królem ani

Chrystusem, lecz bestią o skrwawionych łapach i długich kłach, w szacie koloru siarki, tu i ówdzie strzępami wnętrzości oblepionej. Ujrzałem tam też trzy niewiasty i starca zgarbionego, którzy dźwigali długie sznury z (własnych) jelit uplecione (koszmar istny!), lecz najkoszmarniejsze były ich radosne wrzaski, gdy zawleczono między nich mego trumiennie odzianego przyjaciela, i jeszcze to, że nieszczęśnik wciąż się uśmiechał, jakby usiłował się przypodobać oprawcom, wyliczając mnogie dobre uczynki, których ponoć dokonał był w Pensylwanii, i wielu dobrych ludzi, co mogliby zań poręczyć, zwłaszcza ci z okolic Wilkes-Barre, gdyby wezwać ich się udało, i uparcie to powtarzał, choć już go przywlekło do stołu kaźni kilku strażników o ciałach jakby z czystego ognia zbudowanych, którzy gdy go pochycili (a ich palący dotyk w mgnieniu oka spopielił na nim trumienny przyodziewek), taki ból go przeszył, że nie mógł już się wyrwać ani w ogóle ruszyć, jeno na chwilę głowę ku mnie odwrócił, a spojrzenie jego (zgrozy pełne) z mym się spotkało.

Brylantowe wrota się zatrzasnęły.

Przyszła moja kolej.

Jakeś żył? - spytała istota po prawej.

Widziana z tak bliska podobną była do pana Prindle'a z dawnej mej szkoły, który z sadystyczną rozkoszą zaciskał wąskie wargi, ilekroć nas pedantycznie chłostał.

Mów prawdę, ostrzegła druga istota tonem mego zapijaczonego wuja Gene'a (który zawsze był dla mnie surowym, a raz po pijanemu zrzucił mię ze schodów spichlerza), po czym stuknęły głowami o me skronie.

Postarałem się wpuścić je w siebie, żadnych przeszkód nie stawiając; niczego nie zataić, nie ukryć; jak najuczciwiej z własnego życia zdać rachunek.

Istoty wzdrygnęły się z jeszcze silniejszą odrazą niż poprzednio, a ich miniaturowe sobowtóry pospieszyły ku nim z jeszcze większymi garncami z szarego kamienia, do których moi żółtostopi sędziowie jęli spazmatycznie womitować.

Spojrzałem na Chrystusowego wysłannika.

Miał spuszczone oczy.

Czy możemy potwierdzić? - spytała istota z lewej. Od prawej strony zbliżyło się ku mnie zafajdane zwierciadło. Od lewej zaś waga.

Szybki sprawdzian, rzekł wysłannik Chrystusa.

Odwrociłem się i uciekłem.

Nikt mię nie ścigał. Nie wiem czemu. Z łatwością mogli mię schwytać. Oczywiście, że mogli! Gdy biegłem, koło uszu śmigaly mi bicze ognia, ja zaś rozumiałem, że ich szept znaczy:

*Nikommu o tym nie mów.*

*Bo będzie jeszcze gorzej, kiedy tu wrócisz.*

(Kiedy wrócę?- pomyślałem, a w sercu utkwiała mi drzazga zgrozy, która do dziś tam tkwi).

Biegłem całymi dniami, tygodniami, miesiącami z powrotem po górskiej ścieżce, aż pewnej nocy, zatrzymawszy się na spoczynek, zasnąłem, by zbudzić się... tu.

Znowu tu.

Wdzięczny, jakże głęboko wdzięczny.

Jestem tu od tamtej pory i zgodnie z otrzymanym pouczeniem nikomum ani nie napomknął o niczym, co mię tam spotkało.

Bo i po cóż miałbym opowiadać? Dla nas wszystkich, jak tu jesteśmy, za późno już na jakąkolwiek zmianę postępowania. Wszystko się dokonało. Jesteśmy cieniami wyzutymi z materii, że zaś osąd dotyczy naszych uczynków (lub zaniechań) z dawnej (materialnej) sfery, droga poprawy na wieki zamkniętą przed nami pozostanie. Nasze tamtejsze dzieło dobiegło

końca i już tylko zapłaty czekamy.

Długo i głęboko rozmyślałem nad tym, czym na karę tak straszliwą zasłużyłem.

Nie wiem.

Nie zabijałem, nie kradłem, nie oszukiwałem; nie cudzołożyłem, zawsze litościwym i sprawiedliwym być się starałem; wierzyłem w Boga i wszelkich starań dokładałem, aby w miarę swych zdolności żyć zgodnie z wolą Jego.

A jednak mię potępiono.

Czyżby za to, że (z rzadka) miałem okresy zwątpienia? Za przyływy żądz? Za dumę, którą mię napawało jej przewyciężanie? Za bojaźliwość, która zabraniała mi żądom ulegać? Za to, że życie zmarnowałem, zewnętrznych form przestrzegając? A może w sprawach rodzinnych zdarzyło mi się jakoweś uchybienie, niedopatrzenie czy potknięcie, którego dziś już nie pomnę? Czy zgubiła mię pycha (bezgraniczna!), wiara zadufana, że żyjąc tam (w okowach umysłu i ciała), mogę choć w przybliżeniu wyobrazić sobie, co stanie się tutaj? Czyżbym grzech jakowyś popełnił, tak bardzo mą zdolność pojmowania przekraczając, że do dziś nieświadomym go będąc, gotówem czyn ów powtórzyć?

Nie wiem.

Nieraz korciło mię, aby panom Bevinsowi i Vollmanowi prawdę w oczy wypalić: *Straszliwy sąd was czeka, pragnąłbym im powiedzieć. Tkwiąc tutaj, jeno go odwlekacie. Martwiście i nigdy w dawne miejsce nie wrócicie. Gdy świtem musicie wracać do swych ciał, czy nie dostrzegacie ich odrażającego stanu? Naprawdę wierzycie, że te wraki ohydne dokądś jeszcze zdołają was zanieść? A co gorsza (dodałbym, gdyby mi to było dozwolone), nie będzie wam wolno pozostać tu na zawsze. Nikt z nas tu nie pozostanie. Zbuntowaliśmy się przeciwko woli Pana naszego, prędzej czy później opór nasz zostanie zatem złamany i odejdziemy stąd.*

Lecz milczę, jak mi kazano.

I może właśnie to jest z mych udręk najcięższą: nie mogę wyznać prawdy. Wolno mi mówić, lecz nigdy o tym co najważniejsze. Bevins i Vollman mają mię za wyniosłego mędrka i pedanta, nudnego starego zrzędę; przewracają oczami, gdy im doradzam, bo nie wiedzą, że rady me na gorzkim i rzetelnym doświadczeniu są oparte.

Kulę się tedy i gram na zwłokę, ukrywając się tutaj, nieustannie mając tę przeokropną świadomość, że choć wciąż nie wiem, jakim grzechem popełniłem, zapis w księdze mych uczynków jest wciąż taki sam jak w owym dniu straszliwym. Od tamtej pory nicem nie zrobiłem, aby go poprawić. Nie masz tu bowiem nic do zrobienia - w tym miejscu, gdzie wszelkie działanie błahym jest.

Zgroza.

Zgroza nad zgrozami.

Czy podobna, by kto inny miał w tej materii odmienne doświadczenia? Że gdzie indziej by trafił? I doznał tam czegoś całkiem innego? Czy zatem to, com ujrzał, mogło być jedynie tworem mego umysłu, mych wierzeń, nadziei, lęków tajonych?

Nie.

To się naprawdę stało.

Tak prawdziwie jak drzewa, które teraz nade mną się kołyszą; jak wysypana jasnym żwirem ścieżka pode mną; jak słabnący, omotany chłopiec, który z piersią ciasno przepasaną niby u jeńca dzikich Indian, u mych stóp ledwie dycha - ofiara mego niedbalstwa (zatopiwszy się w powyższych wspomnieniach, dawnom już przestał trudzić się gwoli jego ratunku); jak panowie Vollman i Bevins, którzy właśnie ścieżką nadciągnęli, biegoszybując, szczęśliwsi (o wiele szczęśliwsi) niż kiedykolwiek za mej pamięci.

Dopięliśmy tego! - rzekł Vollman. - Naprawdę dopięliśmy!

My sami! - dodał Bevins.

Wniknęliśmy weń i go przekonali! - zawołał Vollman.

Wspólną radością gnani, razem dali susa na dach.

I rzeczywiście stał się cud nad cudy: sprowadzili owego dżentelmena z powrotem. Wyszedł na polanę pod nami, dzierżąc w ręku kłódkę, tę od drzwi domku z białego kamienia, i lubo złamany był bólem, podrzucił ją w dłoni jak jabłko.

Księżyc jasno świecił, więcem po raz pierwszy zdołał dokładnie się przyjrzeć twarzy przybysza.

I cóż to była za twarz!

wielebny everly thomas

## LXII

Nos masywny i cokolwiek orli, chude policzki, zapadłe i pobrużdżone, cera ogorzała, wargi pełne, usta szerokie.

James R. Gilmore, *Osobiste wspomnienia o Abrahamie Lincolnie i wojnie domowej*

Oczy ciemnoszare, przejrzyste, wyrazu pełne, każdy nastrój wnet odzwierciedlały.

Isaac N. Arnold, *Żywot Abrahama Lincolna*

Spojrzenie miał bystre i przenikliwe, oczy zaś świetliście szare.

Lloyd Ostendorf, *Fotografie Lincolna. Kompletny zbiór*, wypowiedź Martina P.S. Rindlauba

Oczy szaropiwne, pod brwiami gęstymi zapadnięte, głębokimi, ciemnymi zmarszczkami obwiedzione.

Markiz de Chambrun, *Osobiste wspomnienia o panu Lincolnie*

Oczy miał niebieskawopiwne.

*Rozmówcy Herndona*, opr. Douglas L. Wilson i Rodney O. Davis, wypowiedź Roberta Wilsona

Oczy miał barwy niebieskawoszarej, lecz zawsze mocno ocienione górnymi powiekami, niezwykle grubymi.

F.B. Carpenter, *Pół roku w Białym Domu. Historia jednego obrazu*

Niebieskie oczy spod półprzymkniętych powiek dobrodziejnie spoglądające.

John S. Barnes, *Z Lincolnem od Waszyngtonu do Richmond w 1865 roku*

Rzekłbym, że oczy miał Prez. Lincoln niebieskawoszare czy też raczej szarawoniebieskie; choć bowiem promień błękitu nie był w nich wyraźnie widocznym, zawsze jednak wyczuć się dawał.

Z papierów Ruth Painter Randall, wypowiedź Edwarda Daltona Marchanta

Najsmutniejsze oczy ludzkie, jakim w życiu widział.

Joshua Wolf Shenk, *Melancholia Lincoln. Depresja jako przeszkoda, a zarazem źródło wielkości prezydenta*, wypowiedź Johna Widmera

Istniejące portrety w żadnym stopniu nie oddają mu sprawiedliwości.

„The Utica Herald”

Znane nam portrety są jedynie połowicznie udanymi jego podobiznami.

Shenk, *op. cit.*, wypowiedź Orianda B. Ficklina

W chwilach spoczynku była to najsmutniejsza twarz, jaką w życiu widziałem. Bywało, że ledwie łzy wstrzymywał, patrząc na nią.

Carpenter, *op. cit.*

Lecz gdy się uśmiechał lub śmiał...  
Ostendorf, *op. cit.*, wypowiedź Jamesa Minera

W chwilach ożywienia niby lampion jaśniała.  
Donn Piatt, *Lincoln jako człowiek*, wypowiedź pewnego dziennikarza

Co się tyczy wyrazu twarzy, Lincoln osowiały bardziej się różnił od Lincolna ożywionego niż ktokolwiek z ludzi, jakich widziałem.

*Rozmówcy Herndona, op. cit.*, wypowiedź Horace'a White'a

Był ciemnym szatynem i ani trochę łysieć nie zaczął.  
Katherine Heim, *Prawdziwa historia Mary, żony Lincolna*, wypowiedź senatora Jamesa Harlana

Był brunetem o włosach nietkniętych siwizną.  
Nathaniel Hawthorne, *Głównie o sprawach wojny*

Włosy miał mocno posrebrzone, acz górę wciąż brał podówczas naturalny brąz; broda bardziej zdążyła już posiwieć.

Cordelia A.P. Harvey, *Prezydent Lincoln w oczach mieszkanki Wisconsin*, „The Wisconsin Magazine of History”

Uśmiechał się zaiste ujmująco.  
Charles A. Dana, *Wspomnienie wojny domowej. Z przywódcami w Waszyngtonie i w polu w latach sześćdziesiątych*

Uszy miał duże i niekształtne.  
Abraham M. Gordon, *Abraham Lincoln. Opis medyczny*

Gdy był w dobrym humorze, zawszem się spodziewała, że załopocze nimi jak dobroduszny słoń.

Księżna Feliksowa Salm-Salm, *Dziesięć lat życia mego*

Nos, choć nie za długi w stosunku do reszty rysów, na tle chudej twarzy wydawał się duży.

Edward J. Kempf, *Abrahama Lincolna filozofia zdrowego rozsądku*

Nos ma wprawdzie długawy, lecz i sam jest dość długi. Konieczność nakazuje zatem proporcję zachować.

Ruth Painter Randall, *Biografia pewnego małżeństwa.*, wypowiedź żołnierza

Śmiał się w taki sposób że boki zrywać a Gesty miał niezdarne jak Żaden inny Człowiek wienc Każdy zwracał na nie uwagę tak Stateczny starzec jak i Uczniak a on jusz po paru Mijnutach był Spokojny i zamyślony jak jaki Sendzia na Ławie.

*Rozmówcy Herndona, op. cit.*, wypowiedź Abnera Ellisa

Zdał mi się bodaj najszeptniejszym z ludzi, których w życiu widziałem.

Francis F. Browne, *Życie codzienne Abrahama Lincolna. Biografia wielkiego prezydenta amerykańskiego z całkiem nowego punktu widzenia.*, z wykorzystaniem świeżych i bezcennych materiałów, wypowiedź wielebnego George'a C. Noyesa

Gdym ujrział prezydenta Lincolna raz pierwszy, zdał mi się najpospolitszym z wyglądu człowiekiem, jakiegom w życiu widział.

Clark E. Carr, *Moje czasy i pokolenie*

Najgorszy brzydał, na jakim kiedykolwiek wzrok mój spoczął.

Frederick Hill Meserve i Carl Sandburg, *Fotografie Abrahama Lincolna*, wypowiedź pułkownika Theodore'a Lymana

Najpospolitszej prezencji człowiek, jakiegom w życiu oglądał.

Piatt, *op. cit.*

Nie dość, że jest to najgorszy brzydał, jakiegom w życiu widział, to jeszcze na domiar złego niechluj i gapa względem manier i wyglądu.

David Herbert Donald, *Lincoln*, wypowiedź żołnierza

Nigdy nie był przystojnym, trzeba przyznać, a w dodatku z miesiąca na miesiąc coraz bardziej trupiał i niezgrabiał.

W.A. Croffut, *Waszyngton Lincoln. Wspomnienia żurnalisty, który znał wszystkich*

Dość spędzić z nim pięć minut, aby przestać go uważać za brzydala bądź niezdarę.  
„The Utica Herald”

Co się tyczy oblicza i postury, tak osobliwie przez Naturę urządzonych, to zdanie na ich temat w większym chyba stopniu aniżeli zazwyczaj od nastawienia Widza zależało.

*Listy Sama Hume'a*, opr. Crystal Barnes

Nigdy brzydkim mi się nie zdawał, albowiem twarz jego, bezmierną dobrocią i życzliwością wobec rodzaju ludzkiego promieniejąca, znamię intelektualnego piękna nosiła.

Salm-Salm, *op. cit.*

Tak promienieje dobrym humorem, wielkodusznością tudzież intelektem, że wzrok z lubością na niej spoczywa, aż nieomal przystojną się zdawa.

Lillian Foster, *Spojrzenia z ukosa od Północy i Południa*

Sąsiedzi uprzedzili mię, że znajdę pana Lincolna brzydkim, choć jest on najprzystojniejszym mężczyzną, jakiegom w życiu widział.

Allen Thorndike Rice, *Abraham Lincoln we wspomnieniach znamienitych współczesnych*

Nigdy nie widział bardziej myślącego oblicza ani też dostojniejszego.

Rice, *op. cit.*, wypowiedź Davida Locke'a

O, tragiczna postaci! - wynędziała, w kontury niewysłowionego zasmucenia wciśnięta,

emanująca samotnością niby dusza, której smutku i goryczy żadne współczucie ludzkie przenigdy nie zgłębi. Wyniosłem z tego spotkania wrażenie, że nie prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz najsmutniejszego człowieka na świecie widział.

Browne, *op. cit.*



## LXIII

Choć ruch każdy straszliwego wysiłku zdawał się odeń wymagać, pan Lincoln łańcuch ujął i kłódkę na nim zawiesił.

roger bevins iii

Ze jednak drzwi były uchylone, a w domku leżała szpitalna larwa jego synka, nie oparł się pokusie, aby raz jeszcze tam wejść.

wielebny everly thomas

Z dachu dawszy susa, śladem dżentelmena weszliśmy.

hans vollman

Bliskość szpitalnej larwy zachwiała widać pana Lincolna w jakowymś wcześniejszym postanowieniu, wyciągnął bowiem skrzynię z wnęki w ścianie i na posadzce złożył.

wielebny everly thomas

Wyglądało na to, że dalej posunąć się nie zamierza,.

roger bevins iii

(Już i tak posunął się dalej, niżli był zamierzył).

wielebny everly thomas

Klęknął jednak.

hans vollman

I gdy tak klęczał, zdało nam się, że nie oprze się pokusie aby jeszcze ten jeden ostatni raz skrzynię odemknąć.

wielebny everly thomas

W końcu ją odemknął; zajrzał do środka; westchnął.

roger bevins iii

Sięgnął ręką i czule poprawił pukiel włosów na czole.

hans vollman

Lekko zmienił ułożenie bladych dłoni, na piersi skrzyżowanych.

roger bevins iii

Chłopiec krzyknął z dachu.

hans vollman

Całkiem o nim byliśmy zapomnieli.

roger bevins iii

Wyszedłem, dałem susa z powrotem na dach i przez czas jakiś trzymałem się, aby chłopczynę uwolnić. Był już mocno sponiewierany: oszołomiony, oniemiały, na dobre do dachu

przykuty.

Wtem naszła mię myśl, że skoro go podnieść nie zdołam, może da się zepchnąć go w dół.

Fortunny był to pomysł: chłopiec plecy miał nienaruszone.

Przez miąższy, wciąż jeszcze tworzący się pancierz dłonie przecisnąłem, pierś chłopca zmacałem i tęgo ją pchnąłem, on zaś z okrzykiem bólu przeleciał przez dach do wnętrza domku z białego kamienia.

hans vollman

Chłopiec przebił sufit i na posadzce obok ojca swego wylądował.

Wnet to samo uczynił pan Vollman.

roger bevins iii

Który na klęczkach jął chłopca zachęcać, aby ku ojcu ruszył.

Wniknij weń i uważnie posłuchaj, rzekł. Może dowiesz się czego pożytecznego.

Dopiero cośmy słyszeli, jak ojciec twój wyraził pewne życzenie, dodał pan Bevins.

A raczej nadzieję, że przebywasz... - zaczął pan Vollman.

*W jakimś miejscu jasnym* — dokończył pan Bevins.

*Cierpieniu niedosiężny* — dodał pan Vollman.

*W nowym trybie bytu promienny* - dorzucił jeszcze pan Bevins.

Wniknij weń, poradził pan Vollman.

I pójdz za jego radą, rzekł pan Bevins. Zobacz, czego się po tobie spodziewa.

Chłopię z trudem dźwignęło się z ziemi.

hans vollman

Ile że z opresji wyszło srodze poturbowane.

roger bevins iii

Starczym krokiem ku ojcu pokuśtykało.

wielebny everly thomas

Poprzednim razem nie wnikło weń z własnego zamysłu, lecz mimochcąc.

hans vollman

I teraz też wyraźnie się wzbraniało.

roger bevins iii

## LXIV

A tymczasem wokół domku z białego kamienia znów tłum się gromadził.  
roger bevins iii

Wiść o powtórnych odwiedzinach wprędce bowiem się rozniosła.  
wielebny everly thomas

Z każdą chwilą przybywało zatem ciekawych.  
hans vollman

Którzy świadkami niezwykłego zdarzenia być pragnęli.  
roger bevins iii

Wszyscy łaknęli choćby symbolicznego uczestnictwa w chwili przemienienia, na które się zanosilo.  
hans vollman

Nie udając już nawet, że przemawiają po kolei, wielu naraz rozpaczliwie wołało stamtąd, gdzie stali, inni zaś do otwartych drzwi hardo podbiegali i zaglądali w nie, aby opowieść swą wykrzyzczyć.  
roger bevins iii

Stąd kakofonia.  
wielebny everly thomas

## LXV

Jam wtedy ogień podłożył.  
andy thorne

Kradnę pszy lada sposobności.  
janice p. dwightson

Przynosiłem jej brylanty i perły i złamałem serca żonie i dzieciom i sprzedałem dom co był nam dachem nad głową bom hciał nakupić wiecej brulantuf i pereł a ta mnie żuca dla pana hollyfena co ma wielgie żulte końskie zębiska jak się śmieje i taha przed sobom wielgachny bandzioh?

robert g. twistings

Ziemi urodzajnej akrów sześćdziesiąt i chlew świń pełen i bydła sztuk trzydzieści i koni dobrych sześć i dom kamienny w którym zimą ciepło jak w uchu i dobra żona co patrzy na mnie z uwielbieniem i trzech synów udanych co łowią w lot każde me słowo i zadbany sad co rodzi gruszki jabłka śliwki brzoskwinie a ojciec wciąż ma mię za nic?

lance durning

Czego w sobie nie lubie to żem jezd głupia! Każden jeden całe życie obchodzi się ze mnom jak z głupiom. Bo i jezdem! Głupia. Dla mnie nawet szycie za trudne. Ciocia co mię wyhowała godzinami uczyła mię szyć. Rub to tak, skarbie, mówiła. No i robiłam. Raz. A jak nastempną razą tsza było zrobić tak samo tom tylko siedziała z igłom w renku. A ciotunia muwiła boże dziecko pszeciem ci to jusz dziewienć milionuf razy pokazywała. To czy tamto. Widzicie, nie mogę sobie pszypomnieć! Co to takie było. Co takiego ciotunia mi pokazywała a ja zapomniałam. Jak pszyhodził jakiś młody w konkury to mówił coś na ten pszykład o żondzie a ja na to no tak, żond, a mie ciocia uczy szyć. I jemu zaraz szczenka opadała. Kto by hciał ścisnąć czy kochać takom głupiom. Chyba żeby ładna była. Ale jam nieładna. Ot, zwyczajna. Niezadługom się zestażała i jusz się młodym nie hciało pszyhodzić i nudzić no i tyle. A zemby mi zżułkli i niektóre wypadli. Ale nawet jak się jezd samotnom starszom paniom to głupota żadna pszyjemność. Zawsze na pszyjenciu czy czymsiś takim człowiek zostaje sam pszy kominku i siedzi uśmiehnienty że niby mu dobrze bo wie że nikomu się nie hce z nim gadać.

panna tamara doolittle

Siedemdziesięciofuntowe rury na wzgórze Swatt dźwigałem-Do domum się wracał z rękami do krwi zdartymi-Po dziewiętnaście godzin jednym ciągiem drogi żwirowałem-I patrzajcie jaka mię za to spotyka nagroda-Edna i dziewczynki latają wte i wewte w kieckach poplamionych bez to że się mną opiekują-Zawszem rad ciężko pracował-I jak tylko wydobrzeję zaraz się wrócę do pracy—Tylko lewy but trza mi podzelować-Muszę odebrać od Dougherty’ego co mi winien-Edna o tym nie wie-Boję się że dług przepadnie-A tera właśnie bardzo potrza piniędzy-Bo przecie nie mogę pracować-Jakby pan mógł łaskawie dać znać Ednie-Żeby odebrała-Jak raz tera bardzo potrza-Bom obłożnie chory I mały ze mnie pożytek.

tobin „borsuk” muller

Pan Johns Melburn zabrał mię w ustronny kąt dworu i tknął niecznie. Byłem jeszcze mały. A on znamienity. Ani słowem żem się nie przeciwiał, bom nie miał jak. Nigdy. Nikomu ani słowa.

Chciałbym teraz o tym mówić. Mówić o tym i mówić o...  
vesper johannes

Pan DeCroix z profesorem Bloomerem wtargnęli obaj naraz, pana Johanna obcesowo na bok spychając, i na futrynę drzwi niezdarnie się zatoczyli, po latach pochlebstw wzajemnych biodrami złączeni.

wielebny everly thomas

Dokonałem swego czasu licznych odkryć, panteonowi naukowemu wcześniej nie znanych, za które należnego uznania nigdy się nie doczekałem. Czym już wspominałem, jakimi nudziarzami byli moi koledzy? W porównaniu z moimi badaniami ich własne wyniki karleją. A mimo to wierzyli, że jest akurat na odwrót. Za przyczynkarza mię mieli. Chodem wiedział, że wybitny. Spłodziłem równo osiemnaście genialnych woluminów, a każdy z nich otwierał całkiem nowe horyzonty w takich dziedzinach, jak...

Stokrotnie przepraszam.

Chwilowo nie potrafię sobie przypomnieć, jakim właściwie tematem naukowo się zajmowałem.

Pomnę jednak owo ostateczne pohańbienie, gdy po moim odejściu, a przed wywiezieniem tutaj (kiedy leżałem wzbudzony wielce, w znajomej już skrzyni z klonu) dom mój opróżniono, a papiery na pustą parcelę ciśnięto i...

profesor edmund bloomer

Proszę się nie podniecać, łaskawy panie.

Kiedy się pan tak szamocze, boli mię w miejscu naszego złączenia.

lawrence t. decroix

I spalono!

Me genialne inedita spalono.

profesor edmund bloomer

No, no. A wie pan, co się stało z moją fabryką pikli? Nie żebym chciał temat zmieniać. Owszem, stoi. Z tego przynajmniej mogę być dumny. Chociaż pikli już się w niej nie wyrabia. Jest tam teraz coś na kształt warsztatu skutniczego. A nazwa Pickle DeCroix popadła w niemal zupełne...

lawrence t. decroix

Co za niesprawiedliwość! Me dzieło, pionierskie me dzieło puszczone z...

profesor edmund bloomer

Czuję to samo, wie pan, na myśl o swej fabryce. Była niegdyś ważną ogromnie. Na dźwięk porannego gwizdka z okolicznych domów wylewał się tłum siedmiuset oddanych...

lawrence t. decroix

Dziękuję, że pan także widzi w tym niesprawiedliwość. Niewielu jest tak przenikliwych ludzi. Wrażliwych sympatyków. Dzieła mego. Wierzę, że doceniłby pan podówczas mą wielkość. Ach, gdybyśmy się byli w porę spotkali! Gdyby pan był naczelnym redaktorem jednego z pierwszorzędných czasopism naukowych mych czasów! Mógłby pan prace me

zamieścić. I dopilnować, żeby mię należycie doceniono. Ale i tak jestem szczerze wdzięcznym, że uznaje pan we mnie najwybitniejszego myśliciela mej epoki. Odczuwam to jako poniekąd zadośćuczynienie, że w końcu dostrzeżono we mnie najświetniejszy umysł mego pokolenia.

profesor edmund bloomer

Czy kosztował pan kiedy mych pikli? Jeśli w początkach stulecia zjadł pan w Waszyngtonie lub w jego okolicach choć jedną piklę, było to najpewniej Piekło w Gębie DeCroix.

lawrence t. decroix

Słoje miały czerwono-żółte nalepki, jeśli mię pamięć nie zwodzi. A na każdej widniał rysunek przedstawiający rosomaka w kamizelce?

profesor edmund bloomer

Tak! To moje pikle! A czy smakowały panu?

lawrence t. decroix

Bardzo.

profesor edmund bloomer

Jakże się cieszę, że wydały się panu wyśmienite. Jak to miło z pańskiej strony, że spośród wszystkich pikli podówczas wytwarzanych w kraju właśnie moje wspomina pan jako stanowczo najlepsze.

lawrence t. decroix

Były takie jak me dzieło: najświetniejsze na świecie w owych czasach. Nie sądzi pan? Czy możemy się co do tego zgodzić?

profesor edmund bloomer

Zapewne możemy.

I chyba już nieraz się zgodziliśmy.

Przy wielu wcześniejszych okazjach.

lawrence t. decroix

Mam nadzieję, że niebawem znów mi pan przypomni, jak wysoko cenił me dzieło. Wzrusza mię pański podziw. I może w najbliższych dniach znów napomknę, jakie świetne były pańskie pikle, jeśli to pana ucieszy. Rad bym to uczynił. Jest pan tego wart. Pan, mój oddany wielbiciel.

profesor edmund bloomer

Czy to nie dziwne? Człowiek bez reszty poświęca się jakiemuś przedsięwzięciu, inne strony życia zaniedbując, i tyle tylko osiąga, że z owego przedsięwzięcia nic się nie ostaje, a owoce trudów w całkowite zapomnienie popadają.

lawrence t. decroix

Nas to szczęściem nie dotyczy.

Jakeśmy bowiem (nie po raz pierwszy) sobie przypomnieli, nasze niemałe osiągnięcia

wciąż żyją!

profesor edmund bloomer

Raptem drzwiami wtargnęli Baronowie, przedzierając się między tamtymi dwoma i na chwilę zrywając łączącą ich więź.

hans vollman

Aj.

profesor edmund bloomer

Ależ zapiekło!

lawrence t. decroix

Przy zerwaniu, jako i przy ponownym złączeniu!

profesor edmund bloomer

Panie szanowny.

Pastorze.

eddie baron

Nie zdążyłim skończyć.

betsy baron

Przepędziliście nas.

Tamtą razą.

eddie baron

No więc.

betsy baron

Jakem już mówił:

Trznić ich! Te j...ne źmije wyrodne ni ch..a nie mają prawa ni ch..a mieć nam za złe, dopóki tak jak my nie zeżrą k....skiej beczki soli, a jeszcze nie zeżarły ani pół k....skiej beczki.

eddie baron

Możemy za dużo balowali. Może dlatego nigdy nas nie odwiedzają.

betsy baron

Od urodzenia było z nich dwoje skurczonych staruszków, co nie mieli za.....go pojęcia, jak się, k...a, bawić! Wicie, co znaczy „balować”? Świątować. A wicie, co znaczy „świętować”? Radować się, k...a. Weselić, k...a. No tośmy golnęli trochę j.....go piwka! Łyknęli p.....go winka!

eddie baron

A nieraz i opium szczyptę...

betsy baron

Może i skosztowałim tej j....ej używki, żeby nie urazić... kogo? Kto ją właściwie przyniósł? Kto zaczął ten cały...

eddie baron

Benjamin.

betsy baron

A, Benjamin, Benjy! Pamiętasz te jego p.....ne wąsy? I jakeśmy go wtenczas u McMurraya przytrzymali i ogolili na łyso?

eddie baron

Odstawiłam raz z Benjym bydlaka.

betsy baron

A kto nie odstawił? Ha, ha! Chociaż ja sam nigdy z Benjym nie bydlif, o ile mie pamięć nie zawodzi, ale czasem w ogólnym, hmm, rozweseleniu trochę się plątało, kto z kim p.....go bydlaka odstawia.

eddie baron

I nagle spośród tłumu dobiegł gromki okrzyk...

wielebny everly thomas

Wzniósł się niechętny pomruk...

roger bevins iii

I wiele osób jęło krzyczeć, protestować, że nie, nie, to nie uchodzi, niechaj „czern”...

wielebny everly thomas

„Czarne bydło”...

hans vollman

„Dzicz przeklęta”...

roger bevins iii

Niech wraca natychmiast, skąd przyszła.

wielebny everly thomas

Niech nie psuje tak doniosłej okazji.

hans vollman

Dajmy im szansę, zawołał ktoś spośród ciżby. Wszyscyśmy wszak tutaj jednacy.

Mów za siebie, odkrzyknięto.

I dały się słyszeć odgłosy zadawanych ciosów.

wielebny everly thomas

Lecz kilkoro mężczyzn i kobiet ciemnej karnacji, śladem Baronów ze zbiorowego grobu za parkanem śmiało przybywszy. ..



roger bevins iii

Od zamiaru swego odwieść się nie dało.  
hans vollman

Postanowiwszy widać powiedzieć swoje.  
wielebny everly thomas

## LXVI

Zawszem zabiegał we wszelkich swych przejawach rzeźbić się ku wyniesieniu, aby tym samym udzielić w siebie owych cnót wzniosłych, których pozbawionym bywszy, człek zaiste okłapać może i w niedoli swej tkwiąc, cóż pocznie.

elson farwell

Co on, k...a, wygaduje?

eddie baron

Mów prościej, Elson. Żeby cię, k...a, zrozumieli,

betsy baron

Do losu zrodzon nieszczęsnego, rad nierad, cóż by to był za powab, gdybym los wyrzeczony bezskrusznie siodlając, jeno uległ, wzdym niemniej zawsze ochotnie dźwigał na barki wszelkie brzemie obmierzłe, nigdy nie płosząc onych febrycznych sposobności gwoli samodoskonaleniu, takowych jako to książki (z których licznem minuty wykładał, służalczo przymnażając zapisków obfitych na stronicach z odrzutu Panaeastowego zaczerpnąwszy), innymi słowy: ku szukaniu i zgłębieniu tego, co w duszy mej najlepszym i najpromienniejszym, jako to czysty ubiór; wykwintne ruchy (na przykład w tańcu); migoczące widelce, unoszone podczas rozmowy przy wtórze rżenia radosnym śmiechem.

elson farwell

K...sko uroczy z niego drań, ale di....nie pokrętnie gada.

eddie baron

Leżym z nim biedro w biedro w naszym dole.

betsy baron

A z..ek opiera mi o tu, o ramię.

eddie baron

Nam nie wadzi. To nasz kamrat.

betsy baron

Niby jeden z tamtych, ale i tak kamrat.

eddie baron

Zawsze uprzejmy.

betsy baron

Zna swoje miejsce.

eddie baron

Czułem, że wynijście ku owym podniosłym współrzędnym na perscenium wypręży co najbłyskotliwsze z mych przymiotów i niebawem (takem miał nadzieję) Eastowie, widoki me w jakowymś wiecznie światłym pokoju zażywnie omawiając, rozstrzygną krom tego do dworu mię

a w a n s o w a ć i niezewłocznie cierpienie me, które dźgało, drząziło i żliło, wzniosłe me  
wrażliwości za istne wydrkpiwając, n a w r ó c o n ym będzie i posobót odkrzyków radosłych  
żywot posiądę tklwszy (czyli mniej bicia, więcej życzlubyh uśmiechów), który by, hmm...  
elso farwell

„Ukoil”.  
eddie baron

Zawsze w tym miejscu zapomina „ukoil”.  
betsy baron

Tak, ukoil.  
Który by ukoil bywszą mą niedolę.  
elso farwell

A tera uwaga.  
betsy baron

Czym bardziej się wścieka, tym składniej gada.  
eddie baron

Aliści niestetyż.  
Jak się okazało.  
Bywsza ma niedola ukojenia nie zaznała.  
Gdzieżby tam.  
Pewnego dnia zabrano nas z Waszyngtonu na wieś fajerwerki obejrzeć. Po drodze  
zachorzałem, potknąłem się i wstać nie mogłem, że zaś słońce ostro prażyło, jakżem się wił na...  
Och.  
elso farwell

„Jakżeś się wił na drodze, lecz nikt nie przyszedł”.  
betsy baron

Jakżem się wił na drodze, lecz nikt nie przyszedł. Aż wreszcie najmłodszy z Eastów,  
Reginald, mijając mię, spytał, choryś, Elson? A ja na to, że tak, bardzo. Na co on, że wnet kogoś  
po mnie przyśle.

Lecz nikt nie przyszedł. Ani pan East, ani pani Eastowa, żadne z reszty ich dzieci, ani  
nawet pan Chasterly, nasz okrutny, drwiąco uśmiechnięty nadzorca. Nikt a nikt.

Reginald mógł pewnie zapomnieć, fajerwerkami zaprzątnięty.  
Zapomniał o mnie.  
Którym go znał od narodzin.  
I gdym tak leżał...  
A bodaj to.  
elso farwell

I gdyś tak leżał, „zaświtało ci z mocą objawienia”.  
eddie baron

I gdym tak leżał, zaświtało mi z mocą objawienia, że mię (Elsona Farwella, ulubieńca, matczyne oczko w głowie) srodze na dudka wystrychnięto, więcem (tymczasem na niebie wybuchały kolorowe rakiety, tworząc kształty Gwiazdzistego Sztandaru, łączącej kury i zielono-złotej Komety, jakby mnie na Urągowisko, a tłuste, rozpuszczone dzieci Eastów każdy kolejny wybuch okrzykami zachwytu witały) pożałował wszelkiej chwili ugody, uśmiechu, jowialnego nadskakiwania i całym sercem zapragnąłem (leżąc pod księżycem w cętkowanym drzewocieniu, który w ostatnich mych chwilach stał się wszechcieniem) choć na godzinę ozdrowieć i błąd swój wielki naprawić, wyzbywając się wszelkiego skulenia, obłudnych słówek i minoderyjnej wymowy, podźwignąć się jeszcze nawet, aby pomaszerować z powrotem ku owym wiecznie szczęsnym Eastom, pałką ich obić, nożem skłuć, poharatać i zniszczyć, podrzeć im namiot i spalić dom, żeby odzyskać...

Och.

elson farwell

„Choć odrobinę człowieczeństwa, albowiem tylko zwierzę...”

betsy baron

Choć odrobinę człowieczeństwa, no właśnie, albowiem tylko zwierzę zniosłoby to, com ja był zniósł bez szemrania; a nawet ono nie uknułoby naśladownictwa manier swych państwa w nadziei nagrody.

Ale było za późno.

Jest za późno.

Już zawsze będzie za późno.

Gdy nazajutrz nieobecność mą zauważono, pana Chasterly'ego wysłano, on zaś znalazłszy mię, nie uznał za stosowne

do domu mię zawieźć, lecz najął pewnego Niemca, który wrzucił mię na wóz wraz z paroma innymi...

elson farwell

Ten Szwab p.....ony półbochen mej żonie skradł.

eddie baron

Smakowitego chleba.

betsy baron

I takeśmy poznali Elsona.

eddie baron

Na pace wozu.

betsy baron

I od tamtej pory jest naszym kamratem.

eddie baron

Nie odejdę stąd, dopóki pomsty nie wezmę.

elson farwell

Nie weźmiesz żadnej j...nej pomsty, brachu.  
eddie baron

Z twojej przygody płynie nauka, Elson.  
betsy baron

Jakżeś nie jest biały, nie próbuj się wybielić.  
eddie baron

Gdybym zdołał wrócić do dawnego miejsca, zemściłbym się choćby zaraz.

W sypialni zrzuciłbym ze ściany półki tłustemu małemu Reginaldowi na głowę; zepchnął Panią ze schodów, żeby kark skręciła; podpalił Panu ubranie, kiedy by siedział przy łóżku sparaliżowanej żony; zesłał na ich dom zarazę i dzieci pozabijał, nawet niemowlę, którym przedtem bardzo...

elson farwell

No, muszę powiedzieć, Elson - wybacz ten wtřęć - że ominęły mię takie straszne przeżycia jak twoje.

Pan Conner, jego zacna żona, wszystkie dzieci i wnuki były dla mnie jak własna rodzina. Nigdy mię z żoną ani z dziećmi nie rozdzielono. Jadaliśmy do syta i wcale nas nie bito. Dostaliśmy żółty domek, mały wprawdzie, lecz ładny. Było to w sumie szczęśliwe położenie. Swoboda każdego człowieka ma jakieś granice; nikt nie jest wolnym bez miary. Wiodłem po prostu (tak mi się przewaźnie zdawało) takie samo życie, jak wszyscy, tylko w trochę skrajny sposób. Uwielbiałem żonę i dzieci, więc robiłem to, co robiłby każdy pracownik: to właśnie, co było dla nich z korzyścią i pozwalało nam miło żyć razem, czyli starałem się być dobrym i zacnym sługą dla ludzi, którzy na nasze szczęście sami też byli dobrzy i zaccni.

Oczywiście zdarzały się chwile, kiedy po otrzymaniu rozkazu słyszałem w zakamarkach głowy jakiś krnąbrny głosik. Zadaniem było wtedy puścić jego podszepty mimo uszu. Nie wyrażał się zresztą zbyt buntowniczo ani gniewnie, tylko, wiecie, po ludzku mówił: chcę robić to, co chcę, a nie to, co mi kaźecie.

I przyznam, że nigdy nie udało się go całkiem uciszyć.

Choć z biegiem lat mocno ś c i c h ł.

Nie powinienem jednak przesadnie się uskarżać. Przeżyłem wiele swobodnych, szczęśliwych chwil. Na przykład w środowe popołudnia zawsze miałem dwie godziny tylko dla siebie. A w co trzecią niedzielę cały dzień, jeśli akurat nie było za wiele roboty. Co prawda moje rozrywki w tych porach wytchnienia były dość pospolite, prawie dziecinne: „Przejdę się pogadać z Redem. Przejdę się nad staw i sobie posiedzę. Skręcę w tę ścieżkę, a nie w tamtą”. I nikt nie wołał: „Thomas, chodź no tu”, „Thomas, bądź no łaskaw podać tacę” ani „Thomas, trzeba zadbać o tę grządkę, sprowadź Charlesa i Violet i zagon ich do pracy, dobrze, mój stary?”.

Chyba że jakiś mus nakazywał przerwać mi wypoczynek. W takich razach oczywiście czasem mi przerywano. Nawet w środowe popołudnie. Czy w niedzielę. Albo i w środoku pierwszej lepszej nocy. Kiedym napawał się chwilą poufałości z żoną. Lub trwałem pograżony w jakże potrzebnym śnie. Albo się modliłem. Albo w wychodku.

Ale miewałem te swoje chwile. Swobodne, bez przerw, na osobności.

O dziwo właśnie i c h wspomnienie najbardziej mię trapi.

Zwłaszcza myśl, że innym dane było całe życie tylko z chwil takich złożone.

thomas havens

A jak pan trafił mieszkać w naszym dole?  
elson farwell

Byłem w mieście. Wysłany w jakiejś sprawie. Nagle w piersi zabołało i...  
thomas havens

Nie szukano pana?  
elson farwell

Jeszcze jak!  
Na pewno wciąż mię szukają.  
Na czele z mą żoną, której państwo Conner wszelkimi sposobami pomagają.  
Tyle że... jeszcze mię nie znaleźli.  
thomas havens

Człowieka tego bez ceregieli odepchnęła na bok młoda Mulatka w białej prostej sukience i koronkowym czepku z niebieską falbaną, cała rozedrgana, a tak uderzająco piękna, że pośród białych suplikantów rozległ się szmer.  
roger bevins iii

Wygarnijże im, Litzie. Teraz albo nigdy, k..wa.  
betsy baron

\*\*\*\*\*  
litzie wright

Milczy.  
eddie baron

Jak zawsze.  
betsy baron

Co jej, k..wa, zrobili? Że tak całkiem oniemiała?  
eddie baron

Obok Mulatki stanęła krzepka Murzynka w podeszłym wieku, która wedle wszelkich oznak musiała być w dawnym miejscu niewiastą dorodną i na pozór pogodną, teraz jednak wcale nie była pogodna, lecz sina i chmurna; jej stopy, a raczej ich kikuty, podwójny krwawy trop za nią znaczyły, a gdy położyła dłonie (również do samych kikutów zdarte) na biodrach Mulatki, aby ją podeprzeć, zostawiła na jej jasnej sukience dwa krwawe siady, Mulatka zaś nie przestawała wzdrygać się i dygotać.

wielebny everly thomas

\*\*\*\*\*  
litzie wright

To, co jej uczyniono, zrobiło wielu po wielokroć. Temu, co jej czyniono, oprzeć się nie mogła, więc się i nie opierała, a gdy próbowała, to czasem zsyłano ją za karę w dużo gorsze miejsce, kiedy indziej zaś opór jej po prostu siłą (pięścią, kolanem, uderzeniem deską itd.) łamano. To, co jej uczyniono, powtarzano wiele razy. Albo tylko raz. To, co jej uczyniono, nie skrzywdziło jej wcale, skrzywdziło ją bardzo, nerwy stargało, słowa nienawistne z ust wycisnęło, do skoku z mostu nad Cedrowym Strumieniem popchnęło, w uparte milczenie wpędziło. Czynili jej to mężczyźni dorodni i drobni, nadzorcy, przypadkowi przechodnie, którzy akurat szli przez pole, gdzie pracowała, niedorośli synowie nadzorców albo przypadkowych przechodniów, trzech mężczyźni, którzy po kilkudniowym pijaństwie wytoczyli się z domu i tuż na odjezdnym zobaczyli, że ona właśnie rąbie drwa. To, co jej uczyniono, powtarzano sumiennie jak złowrogie nabożeństwo; czyniono od przypadku do przypadku; nigdy tego nie uczyniono, ni razu, lecz tylko stale tym grożono: groźba wisiała w powietrzu, prawem uświęcona; to, co jej uczyniono, sprowadzało się do zwykłego pierdolenia po misjonarsku; kiedy indziej krzywdzono ją przez odbyt (a przecież, biedaczka, w życiu o czymś takim nawet nie słyszała); popełniano na niej małe zwyrodnialstwa (przy wtórze szorstkich słów z ust wiejskich kurdupli, którym nigdy nie przyszłoby do głowy zrobić coś takiego kobiecie własnej rasy), popełniano je, jakby nie było przy tym nikogo prócz samego sprawcy, mężczyzny, a ona była tylko (ciepłą, milczącą) figurą woskową; czyniono jej to, co się komu żywnie zamarzyło, i nawet jeśli miał tylko lekką chętkę, mógł to uczynić, było mu wolno, więc czynił to, czynił raz po raz, po wielokroć i bez końca...

pani francis hodge

Krzycząc „Precz, SMOLUCHY, cofnąć mi się!”, przybiegł pędem porucznik Stone na czele grupy białych osiłeków (byli między nimi Petit, Daly i Burns), ci zaś czarnych suplikantów od domku z białego kamienia bez pardonu odpędzili, odpychając ich opadłymi gałęziami, które oburącz poziomo na wysokości piersi trzymali.

roger bevins iii

Wśród czarnego kontyngentu rozległy się oburzone okrzyki.

hans vollman

Ach, zawołał pan Havens. Tutaj jako i tam?

pani francis hodge

Nie tak ostro, k..wa!

eddie baron

My ich znamy. To swojacy!

betsy baron

Petit, Burns i Daly z grymasem wściekłości na szerokich czerwonych twarzach groźnie ruszyli ku Baronom, ci zaś pokornie w tłum się cofnęli.

hans vollman

Na znak dany przez porucznika Stone'a patrol natarł na czarny kontyngent, przypierając go do złowrogiego parkanu z żelaza.

wielebny everly thomas

(Który tamtych wcale tak bardzo nie przerażał.

Wywierał bowiem szkodliwy wpływ jedynie na nas, którzyśmy mieszkali w jego obrębie).

hans vollman

Nastąpił zatem pat: porucznik Stone i patrol jego, mdłościami wstrząsani, nie mogli podejść dość blisko, aby czarny kontyngent za parkan wyżenąć, czarni zaś w obliczu tej niesprawiedliwości już ani o piędź ustąpić nie zamierzali, zaparli się tedy po naszej stronie parkanu.

wielebny everly thomas

Tymczasem dziesiątki białych suplikantów czym prędzej skorzystały ze sposobności, aby zwolnione nagle miejsce przed domkiem z białego kamienia zająć, a każdy opowieść swą prosto w drzwi wykrzykiwał, aż w chórze rozpacznym głosy pojedyncze wyróżnić było nie sposób.

hans vollman



## LXVII

Pan Lincoln nic z tego wszystkiego nie słyszał, oczywista. Zdało mu się, że siedzi głuchą nocą w cichym grobowcu.

wielebny everly thomas

Nadeszła przełomowa chwila.

roger bevins iii

Chłopiec wejść musiał z ojcem w styczność.

hans vollman

Która by go oświeciła, pozwalając mu odejść lub wręcz do odejścia zachęcając.

roger bevins iii

Inaczej wszystko byłoby stracone.

wielebny everly thomas

Czemu zwłóczyysz? — zapytał chłopca pan Vollman.

roger bevins iii

Chłopczyna zaczerpnął tchu, jakby wreszcie gotów był wniknąć w ojca i naukę odeń odebrać.

hans vollman

## LXVIII

I nagle: co za pech.  
roger bevins iii

W ciemnościach błysnęła latarnia.  
hans vollman

Pan Manders.  
Nocny stróż.  
roger bevins iii

Nadchodził, wyglądając tak jak zawsze, kiedy jest pośród nas: bojaźliwy i własną bojaźliwością cokolwiek zdumiony, pragnął zapewne do wartowni co najrychlej wrócić.  
wielebny everly thomas

Lubiliśmy Mandersa, który podczas takich nocnych obchodów dla dodania sobie otuchy przyjaźnie do nas wołał, zapewniając, że „tam” wszystko toczy się po dawnemu, jako to jedzenie, miłowanie, burd wszczywanie, narodziny, hulanki i urazy. Czasem napomynał o swych dzieciach...

roger bevins iii

Philipie, Mary i Jacku.  
hans vollman

I opowiadał, jak im się wiedzie.  
roger bevins iii

Żywiliśmy doń za te półzartem składane raporty wdzięczność nadspodziewaną.  
hans vollman

Gdy przyszedł owej nocy, wołał „pana Lincolna”, niekiedy dla odmiany „panem prezydentem” go tytułując.  
wielebny everly thomas

Lubiliśmy wprawdzie Mandersa...  
hans vollman

Lecz wybrał się mocno nie w porę.  
wielebny everly thomas

W nader niefortunną.  
roger bevins iii

Najgorszą.  
hans vollman

Woła Ojca mego, rzekł chłopiec, który stał pod samą ścianą, przy drzwiach, wyraźnie zwątłały.

Czyżby ojciec twój prezydentem był? - kąśliwie zagadnął go Wielebny.

On sam, przytaknął chłopiec.

A czegoż to? - nalegał Wielebny.

Stanów Zjednoczonych, wyjaśnił chłopiec.

To prawda, oznajmiłem Wielebnemu. W istocie prezydentem jest. Minęło już wiele czasu. Istnieje stan Minnesotę zwany.

Prowadzimy wojnę, dodał pan Vollman. Sami ze sobą. Armaty wielce ulepszono.

Żołnierze biwakują na Kapitolu, wtrąciłem.

Widzieliśmy to wszystko, rzekł pan Vollman.

Kiedyśmy weń wniknęli, wyjaśniłem.

roger bevins iii

Pan Manders wszedł drzwiami, a latarnia jego wśród ciasnoty ostro zajaśniała.

hans vollman

Światło zalało wszystko, co mrok dotąd skrywał; ujrzeliśmy rysy i nierówności kamiennych ścian tudzież zmarszczki na płaszczu pana Lincoln.

roger bevins iii

Blade, zapadnięte lica szpitalnej larwy chłopięcia.

hans vollman

Która leżała w...

wielebny everly thomas

Szpitalnej skrzyni.

hans vollman

O, westchnął Manders. Tu pan prezydent jest.

Tak, odparł pan Lincoln.

Najmocniej przepraszam za najście, rzekł Manders. Pomyślałem... Pomyślałem, że może przyda się światło. Na drogę powrotną.

Dość rozwlekle dźwignąwszy się na nogi, pan Lincoln rękę Mandersowi podał.

roger bevins iii

Nieco jakby skrępowany.

hans vollman

Może zakłopotany, że go przyłapano.

wielebny everly thomas

Gdy klęczał nad szpitalną skrzynią syna swego.

hans vollman

I to otwartą.

wielebny everly thomas

Pan Manders mimo woli wzrok z pana Lincolna na jej zawartość przeniósł.  
hans vollman

Pan Lincoln spytał, jak pan Manders bez latarni trafi z powrotem. Stróż odparł, że choć woli chodzić z latarnią, będąc nieco przeczulonym, zna wszelako posesję jak własną kieszeń. Na co pan Lincoln powiedział, że gdyby tamten jeszcze chwilę nań zaczekał, mogliby wrócić razem. Pan Manders przystał na to i z domku wyszedł.

roger bevins iii

Katastrofa.

wielebny everly thomas

Ci dwaj nawet się nie musnęli.  
hans vollman

Nie zdarzyło się nic pożytecznego dla chłopca.  
roger bevins iii

Nie postąpił on atoli ni o krok.  
hans vollman

Wciąż stał pod ścianą, zastygły ze strachu.  
wielebny everly thomas

Wtem jednak dostrześliśmy, że to nie strach do miejsca go przykuwa.  
Ściana za plecami chłopca rozmiękła, pędy wypuszczając, a cztery czy pięć z nich spowiło chłopca w pasie, ohydny, pełzającym sznurem go krępując.  
roger bevins iii

Potrzebowaliśmy czasu, aby chłopczynę uwolnić.  
hans vollman

Musieliśmy jakoś odwlec odejście dżentelmena.  
wielebny everly thomas

Spojrzałem na pana Bevinsa.  
A on na mnie.  
hans vollman

Obaj wiedzieliśmy, co trzeba zrobić.  
roger bevins iii

Mieliśmy moc. Przekonania.  
hans vollman

Nie minęła wszak jeszcze godzina, odkądśmy dzentelmena przekonali.  
roger bevins iii

Pan Bevins był młodszy i miał wiele (krzepkich) rąk, ja zaś, nagi i z potężnym swym kalectwem nieustannie się zmagający, nie nadawałem się do ciężkiej pracy, której oswobodzenie chłopięcia wymagało.

Wniknąłem tedy w pana Lincolna sam jeden.  
hans vollman

## LXIX

Boże, jakież on był zgnębiony.

Probował sklecić pożegnalnych słów parę, siłąc się na krzepiący ton, żeby nad tym ostatecznym odejściem nie zawisł ponury nastrój, który chłopię mogłoby jakimś sposobem wyczuć (choć zarazem dżentelmen mówił sobie, że chłopczyna jest już dla uczuć wszelkich niedosiężnym), nosił jednak w sobie tylko smutek, skruchę, żal i mało co więcej wykrzesać umiał. Zwłóczył tedy w nadziei, że nasunie mu się jakaś myśl pocieszająca, którą rozwinąć zdoła.

Nic się wszelako nie nasuwało.

Był zgnębionym, bardziej niż przedtem zmarzniętym i smutniejszym, gdy zaś próbował wybiec myślą ku sprawom zewnętrznym, w wyobrażeniu swego życia publicznego pociechy szukając i w widokach na przyszłość tudzież w otaczającej go estymie zachętę znaleźć usiłując, nie tylko ukojenia nie zaznał, ale wręcz się okazało, że ludzie wcale nie mają o nim dobrego mniemania i nic prawie mu się nie udaje.

hans vollman

## LXX

I gdy tak piętrzyły się niewyobrażalne stosy zabitych, a troska troskę goniła, nienawykły do poświęceń naród jął winić Lincolna za nie dość stanowcze dowodzenie działaniami wojennymi.

Larry Tagg, *Niepopularny pan Lincoln. Historia najzjadlej przeklinanego prezydenta*

Prezdtnt to idiota.

*Zapiski Georgea B. McClellana z czasów wojny domowej*, opr. Stephen Sears

Próżny, słaby, infantylny, hipokryta, bez ogłady, towarzysko niezręczny, ma zwyczaj rozmówcę pięściami pod żebra kuksać.

Carl Sandburg, *Wojenne lata*, wypowiedź Sherrarda Clemensa

Jest to najwidoczniej osobnik nader pośledniego charakteru, kryzysowi w żaden sposób sprostać niezdolny.

Allan Nevins, *Świt Lincolna. Prolog do wojny domowej, 1859-1861*, wypowiedź Edwarda Everetta

Jego przemówienia wszystkich tutaj zgasiły, myśl wszelką o wielkości wypłaszając.

Tagg, *op. cit.*, wypowiedź kongresmena Charlesa Francis Adamsa

Pod każdym względem najsłabszy człowiek, jakiego dotąd na ten urząd wybrano.

Clemens, *op. cit.*

Potomność zapamięta go jako człowieka, który odczytać znaków czasu ni zrozumieć sytuacji oraz interesów kraju nie umiał... pozbawiony był jakichkolwiek uzdolnień politycznych; wtrącił kraj swój w otchłań wielkiej wojny, nie mając żadnego jej planu; zawiódł niewybaczalnie i upadł, przez przyjaciół opuszczony.

Tagg, *op. cit.*, cytat z londyńskiego „Morning Post”

Ludzie od dziewiętnastu miesięcy ślą na Pańskie wezwanie synów, braci, mężów tudzież pieniądze. I cóż to dało? Czy pojmuje Pan, że sam winny jest nieszczęść, smutku i żalu, co kraj ten nękają? I że młodzieńcy, których raniono, okaleczono, zamordowano lub na dozgonne inwalidztwo skazano, zawdzięczają ten los Pańskiej słabości, niezdecydowaniu i brakowi moralnej odwagi?

Tagg, *op. cit.*, list S.W. Oakeya

Pieniądze płyną strumieniem, dziesiątki tysięcy mężczyzn czekają, przegrupowywane bez żadnego celu, maszerują donikąd po kosztownych mostach, specjalnie po to wzniesionych, i wnet przemaszerowują po nich z powrotem, a mosty te wtedy się burzy. I nie masz z tego żadnej korzyści.

Tobian Clearly, *Listy zwolennika Unii*

Jak nie Ustąpisz to ci wsadzimy pająka w pulpet i pošlemy cie do Diabła ty boże jakiś wszem potężny przekłety zsukinsynie idź do piekła i całuj mie w Dupę ciągnij kutasa i kłaniaj sie moim Jają jak własnemu Stryjku przekłety durniu przekłety Abe Lincolnie kto by cie chciał ty

przekłety daruj te ostre słowa ale ci się należom boś jest zwykły Czarny smoluch przekłety.

*Szanowny panie Lincoln, opr. Harold Holzer*

Jeśli żona porzucić mię zechce, czy mam prawo pod groźbą użycia broni w naszej „unii” ją zatrzymać? Zwłaszcza gdy jest zawziętszą w boju aniżeli ja, lepiej zorganizowaną i gotową na wszystko, byle się ode mnie uwolnić?

*Głosy podzielonego kraju, opr. Baines i Edgar, wypowiedź P. Mallona*

Ułóżcie trupy rzędem; przejdźcie wzdłuż niego od końca do końca; spójrzcie na każdego ojca, męża, brata, syna; tym sposobem koszta podliczywszy, pomyślcie (jak czynią wszyscy nasi wojskowi, poufnie o to pytani), że ten ponury szereg zniszczonych przyszłości to zaledwie początek fali młodych śmierci, która musi na nas runąć niebawem.

Artykuł w „Field Gazette” z Allentown

Pokój, panie prezydencie, zaprowadź pokój: jego to woła ludzkość co najmniej od czasów Zbawiciela naszego. Czemu właśnie teraz puszczasz okrzyk ten mimo uszu? Błogosławieni, którzy pokój czynią, powiada Pismo Święte, a my musimy uznać za prawdę także przeciwieństwo tej maksymy: przekłeci, którzy wojnę wzniecają, choćby najbardziej wierzyli w słuszność swej sprawy.

Artykuł w „Truth Sentinel” z Cleveland

Nie Zgodzilim sie i pszenigdy sie nie zgodzimy walczyć za Mużyna, bo go mamy za nic.

*Zapomniane głosy z wojny secesyjnej, opr. J.B. Strait, list od żołnierza piechoty z Nowego Jorku do Lincolna*

Chwyciłeś wodze, dyktatorem samozwańczo się mianowałeś, stworzyłeś nową monolityczną postać rządu, która nad prawami jednostki wziąć musi górę. Panowanie twe zwiastuje straszny czas, gdy wszystkie swe swobody na rzecz monolitu utracimy. Założyciele ze zgrozą na to patrzą.

R.B. Arnolds, *Łotr Lincoln*, wypowiedź Darrela Cumberlanda

Stoimy tedy w obliczu dylematu. Cóż nam czynić trzeba, skoro trwał będzie u władzy jeszcze dwa lata, a samo istnienie ojczyzny naszej może zostać zagrożone, nim go zastąpimy kimś rozważnym. Jakże trudno dla ratowania kraju znosić rządy człowieka nieumiejętnego.

David Herbert Donald, *Lincoln w nowym świetle*, list George’a Bancrofta do Francis Lieber

Gdyby Abe Lincoln na kolejne cztery lata tak nędznych rządów miał zostać wybranym, oby znalazła się śmiała dłoń, która dla dobra ogółu sztylet w sercu tyrana zatopi.

Artykuł w „La Crosse Democrat”

Stary Abe Lincolnie:

Przeklinam cię przekłety stary boże z Piekła rodem niech twą duszę diabli porwą bądź przekłety razem ze swą przekłątą rodziną przekłety piekielniku niech dusza twoja w piekle się smaży bądź potępiony ty i wszyscy twoi krewni i przekłeci przyjaciele też do diabła z wami potępienie na wasze dusze bądźcie przekłeci.

*Szanowny panie Lincoln, op. cit.*



## LXXI

*I cóż z tego.*

*Nikt, kto dokonał czegokolwiek wartego zachodu, nie uniknął krytyki. A co się tyczy bieżącej sprawy (czyli jego), jestem przynajmniej poza wszelkim...*

Tak myślał pan Lincoln.

Wtedy jednak oczy jego (nasze) się zamknęły w powolnym grymasie smutku, coś bowiem sobie uprzytomnił.

hans vollman

## LXXII

W owych strasznych dniach nieżyczliwie naszeptywano, dając do zrozumienia, że chłopiec byłby życie ocalił, gdyby tylko któreś z rodziców w porę go pohamowało.

James Spicer, *Męka na prerii. Psychika Lincolna*

Zachwycony swym kucykiem, Willie upierał się jeździć na nim co dnia. Pogoda zmienną była, więc przeziębi i srodze zaniemógł, a niebawem jął mocno gorączkować.

Keckley, *op. cit.*

Czemu, pytano, dziecko jeździło na kucyku w ulewnym deszczu, i to bez płaszcza?

Spicer, *op. cit.*

Ci z nas, którzy osobiście znali małych Lincolnów i widywali, jak uganiają po Białym Domu niby dwóch dzikusów nieokrzyszanych, zaświadczą, że w domostwie tym bezhołowie nieustannie panowało, a zaślepioną wyrozumiałość z miłością do synów myłono.

Kristen Toles, *Jehowa z przypadku. Wola, dążenie i wielki czyn*, wypowiedź B. Milbanka

[Lincoln] nie sprawował we własnym domu żadnej władzy. Jego dzieci zwykle robiły, co im się żywnie podobało. On zaś pochwalał wiele ich zbytków i w niczym ich nie powściągał. Nigdy nie beształ ani nawet nie karmił spojrzeniem.

William H. Herndon i Jesse W. Weik, *Życie Lincolna*

Zawsze mawiał: „Rad [jestem], że dzieci me swobodą się cieszą, szczęśliwe i tyranii rodzicielskiej nie poddane. To miłość jest łańcuchem, którym dziecko do rodziców Przykuć należy”.

*Rozmówcy Hemdona, op. cit., wypowiedź Mary Lincoln*

Dzieci te ściągały książki z półek - wysypywały na nie popiół z wiadra i z popielnika - chlustały atramentem z kałamarza - na to rzucały papiery - złote stalówki — listy i tam dalej, po czym na takim to stosie puszczały się w tany. Lincoln nic na to nie mówił, własnymi sprawami pochłonięty i na błędy swych synów ślepy. Gdyby naf...ali mu do kapelusza i wytarli mu nim buty, śmiałyby się, za dowód bystrości wybryk ten uznawszy.

*Herndon o Lincolnie. Listy*, opr. Douglas L. Wilson i Rodney O. Davis, list do Jesse W. Weika

Mogliby minąć go pędem, biegnąc na strzeleckie zawody, a on nawet oczu od pracy by nie oderwał. Był bowiem Lincoln (wbrew chwalebnie późniejszych hagiografów) człowiekiem ambitnym niemalże do zaślepienia.

*Ci, co go znali*, opr. Leonora Morehouse, wypowiedź Theodore'a Biasgena

[Każdy] kto mniema, że Lincoln spokojnie szaty na sobie drapował, czekając, aż naród go wezwie, ma o nim nader mylną wiedzę. Nieustannie snuł rachuby, planując zawczasu. Jego ambicja była niezmordowanym motorkiem.

Michael Burlingame, *Świat wewnętrzny Abrahama Lincolna*, wypowiedź Williama H. Herndona

Kto tak jak ja dawno postanowił wyrzec się światowych dążeń dla łagodniejszych domowych uciech na łonie rodziny i pogodził się z tym, że w zamian czeka go znacznie mniej chwalebny żywot publiczny, ten może tylko sobie wyobrazić, jaka ciemna chmura spowija głowę, w której gości myśl o tym, co m o g ł o było się stać, gdyby całą uwagę zgodnie z nakazem powinności najistotniejszym sprawom ogniska domowego się poświęciło.

Norman G. Grand, *Mądre słowa i listy zebrane dziadka* (niewydany rękopis, opr. Simone Grand, wykorzystany za zgodą)

Po stracie dziecka rodzic sam sobie bez końca katusze zadaje. Kiedy kochamy, a przedmiot naszej miłości - mały, słaby i kruchy - li tylko od nas opieki wygląda, ona zaś z tej czy innej przyczyny zawiedzie, cóż nam zostaje na pociechę (usprawiedliwienie, obronę)?

Otóż nic.

Wątpliwość będzie się w nas jątrzyć aż po życia kres.

A gdy się z jednym powodem wątpliwości rozprawimy, miast niego pojawiać się będą coraz to nowe.

Milland, *op. cit.*

### LXXIII

Wina i Skrucha są to furie, które nawiedzają domy, skąd śmierć zabiera takie dzieci jak Willie Lincoln; w tym zaś wypadku winą szczerze można było wszystkich obdzielić.

Epstein, *op. cit.*

Krytycy zarzucali Lincolnowi brak serca, skoro zaplanował przyjęcie podczas choroby Williego.

Brighney, *op. cit.*

Z perspektywy czasu wspomnienie owego triumfalnego wieczoru musiało być splamione udręką.

Leech, *op. cit.*

Stwierdziwszy, że stan Williego się pogarsza, pani Lincolnowa postanowiła cofnąć zaproszenia i odłożyć przyjęcie na kiedy indziej. Pan Lincoln uznał jednak, że zaproszeń cofać nie należy.

Keckley, *op. cit.*

Wieczorem piątego lutego Willie cały płonął od gorączki, podczas gdy jego matka stroiła się przed balem. Przy każdym oddechu z trudem wciągał powietrze. Pani Lincolnowa widziała, że chłopiec ma zajęte płuca, więc bała się o niego.

Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

[Lincoln] zalecił przynajmniej, aby przed podjęciem jakichkolwiek kroków zasięgnięto zdania lekarza. Wezwano zatem doktora Sloana. Stwierdził on u Williego poprawę i powiedział, że są wszelkie powody do nadziei na rychłe wyzdrowienie.

Keckley, *op. cit.*

Lekarz zapewnił Lincolnna, że Willie wyzdrowieje.

Dr Deborah Chase, *Hipokrates prezydenta*, wypowiedź Joshuy Freewella

Dom pęczniał od triumfalnych, dziarskich tonów Orkiestry Marynarki Wojennej, które godziły w rozgorączkowany umysł chłopca niby drwiny zdrowego towarzysza zabaw.

Sloane, *op. cit.*

Nawet jeśli przyjęcie nie przyspieszyło śmierci chłopca, z pewnością przysporzyło mu cierpień.

*Wybrane listy Edwine Willow z lat wojny domowej, op. cit.*

W waszyngtońskim szmatławcu „Gab & Joust” ukazał się satyryczny rysunek, na którym państwo Lincolnowie wychylają kieliszki szampana, podczas gdy chłopiec (z maleńkimi iksami zamiast oczu) schodzi do otwartego grobu, pytając: Ojcze, może i dla mnie kieliszek na odchodnym?”

Maureen H. Hedges, *Okręt bez steru. Gdy prezydenci zawodzą*

Zgiełk, odgłosy uciech i szalone śmiechy pijanych rozlegały się do późna w noc, a

chłopczyk leżał z wysoką gorączką, czując, że go zostawiono zupełnie samego, i usiłując odegnąć zakapturzoną postać, która stała u drzwi!

Spicer, *op. cit.*

„Ojczy, może i dla mnie kieliszek na odchodnym?”

„Ojczy, może i dla mnie kieliszek na odchodnym?”

„Ojczy, może i dla mnie kieliszek na odchodnym?”

Hedges, *op. cit.*

Lekarz zapewnił Lincolna, że Willie wyzdrowieje.

Chase, *op. cit.*, wypowiedź Joshuy Freewella

Lincoln poszedł za radą lekarza.

Stragner, *op. cit.*

Lincoln nie sprzeciwił się lekarzowi.

Spicer, *op. cit.*

Nie chcąc przesadzić z ostrożnością, Prezydent zarządził, że przyjęcie ma się odbyć.

Hedges, *op. cit.*

Przyjęcie odbyło się z błogosławieństwem Prezydenta, podczas gdy w pokoju na górze chłopczyk straszliwie cierpiał.

Chase, *op. cit.*, wypowiedź Joshuy Freewella

## LXXIV

Na zewnątrz zaskrzeczała sowa.

Poczułem unoszącą się z naszego ubrania woń: bielizny, potu, sfermentowanego jęczmienia.

*Zamierzałem już tu nie przychodzić.*

Tak myślał pan Lincoln.

*I oto jestem.*

*Jedno ostatnie spojrzenie.*

I kucnął przy szpitalnej skrzyni.

*Oto znów jego twarzyczka. Rączki. Oto są. I na zawsze pozostaną. Właśnie takie. Uśmiech zgasł. Nieodwołalnie. Usta szczelnie zaciśnięte. Nie ivygląda (nie), jakby spał. Zwykle sypiał z otwartymi ustami, często zmieniając wyraz twarzy gdy o czymś śnił, a czasem zdarzało mu się wymamrotać parę głupiutkich słów.*

*Jeżeli Łazarz naprawdę istniał, nic nie powinno stać na przeszkodzie, aby ówczesne okoliczności znów zaszły tu i teraz.*

I wtedy - rzecz niebywała - pan Lincoln szpitalną larwę do powstania skłonić spróbował. W tym celu umysł swój uspokoił, a potem otworzył go przed wszystkim, co poza horyzontem jego wiedzy istnieć mogło, a zdolne byłoby pozwolić larwie wstać lub wręcz jej to nakazać.

Było mu głupio i właściwie nie wierzył, że coś takiego w ogóle...

*Ale świat jest przecie ogromny i wszystko zdarzyć się może.*

Wpatrywał się z góry w larwę, w palec u jej dłoni, wyczekując choćby najlżejszego...

*Proszę, proszę, proszę.*

Nic z tego.

*To przesąd.*

*Nie wystarczy.*

*(Opamiętaj się pan, wróć do rozumu).*

*Byłem w błędzie, kiedy zdawał mi się trwałym i stałym, więc myślałem, że mam go na zawsze. A on nigdy nie był trwały ani stały, lecz w wiecznym przelocie, chwilowy gejzer energii. Powinienem był to wiedzieć. Czyż nie wyglądał inaczej po narodzinach niżli w wieku lat czterech, jeszcze inaczej jako siedmiolatek, a już całkiem po nowemu, gdy skończył lat dziewięć? Nigdy nie był ten sam, nawet z mgnienia w mgnienie.*

*Przybył z nicości, oblekł się w postać, był kochanym, lecz od początku na powrót w nicość skazanym.*

*Tylko nie myślałem, że to się stanie tak szybko.*

*Ani że on nas wyprzedzi.*

*Dwie przelotne chwilowości obdarzyły się wzajem uczuciem.*

*Dwa obłoki dymu się polubiły.*

*Wziąłem go za opokę i teraz to bólem przyplacam.*

*Nie jestem stałym i Mary nie jest stałą, ba!- nawet tutejsze budynki i pomniki stałymi nie są, miasto z przykrościami też stałym nie jest, podobnie jak świat szeroki. Wszystko zmienne, zmienia się choćby w tej sekundzie.*

*(Czy to cię pociesza?)*

*Nie.*

*(Już pora.*

*Iść).*

Pan Lincoln rozmyślał z takim wyteżeniem, że całkiem zapomniał, jaki cel mi

przyświeca.

W końcu jednak go sobie przypomniałem.

Zostań, pomyślałem. Koniecznie musisz zostać. Niech Manders wraca sam. Siądź na posadzce jak najwygodniej, my zaś wprowadzimy w ciebie chłopca i kto wie, co dobrego wyniknie z tego ponownego złączenia, którego obaj tak żarliwie pragniecie.

Potem jąłem mu podsuwać najdokładniejsze wizje p o zostania, jakim przywołać potrafił, w których to wizjach siadał i był z tego rad; rozsiadał się wygodnie, dzięki pozostaniu spokój osiągając, i tam dalej.

*Pora iść.*

Pomyślał pan Lincoln.

Nieco dźwigając się z kucek ruchem odejście zwiastującym.

*Kiedy ledwo uczył się chodzić i czasem upadał, brałem go w objęcia i scalowywałem łzy. Kiedy nikt się z nim nie bawił na dziedzińcu koło zboru, przyniosłem jabłko i je pokrajałem. Dla wszystkich.*

*Była to sprytna sztuczka.*

*Jego naturalne obejście też pomogło.*

*Niebawem jął rządzić i przewodzić.*

*A teraz mam go zostawić bez pomocy w tym okropnym miejscu?*

*(Rozczulasz się nad sobą. Nic mu już nie pomożesz. Stary pan Grasse w Sangamon przez czterdzieści dni z rzędu na grób żony chadzał. Najpierw budziło to podziw, ale wkrótce zaczęliśmy żarty zeń sobie stroić, a jego sklep upadł).*

*A zatem postanowione:*

*Postanowione: musimy, musimy teraz...*

*(Wzbudź w sobie myśli choćby najokrutniejsze, jakie cię przywiodą do czynu, o którego słuszności jesteś przeświadczony. Spójrz.*

*Spójrz w dół.*

*Na niego.*

*Na to.*

*Co to jest? Uczciwie zbadaj kwestię.*

*Czy to on?)*

*Nie.*

*(Cóż zatem?)*

*Jego dawny tragarz. Bo sama istota (rzecz dźwigana, któreśmy kochali) już znikła. A to, co pozostało, było wprawdzie składnikiem naszego ukochania (kochaliśmy wszak to, jak wyglądał, łącząc w sobie iskrę z tragarzem, jak chodził, skakał, śmiał się i błaznował), lecz jest owego ukochanego urządzenia częścią pomniejszą. Odkąd zgasła iskra, leży tu już tylko...*

*(Pomyśl to. Dalejże. Pozwól sobie pomyśleć to słowo).*

*Wolałbym nie.*

*(Kiedy to prawda. Ona pomoże).*

*Nie muszę go wypowiadać, żeby czuć jego prawdziwość i zgodnie z nią postępować.*

*(Niesłusznym jest obracanie tej rzeczy w fetysz).*

*Pójdę stąd, już idę, nie trzeba mię więcej przekonywać.*

*(Ale powiedz to gwoli prawdy. Powiedz słowo, które w tobie wzbiera).*

*O, mój malutki.*

*(Odkąd zgasła iskra, leży tu już tylko...*

*Powiedz to).*

*Mięso.*

Niefortunny...

Nader niefortunny był to wniosek.

Spróbowałem jeszcze raz, dając z siebie wszystko:

Zostań, błagałem. Możesz mu jeszcze pomóc. Nie jesteś bezradnym. Możesz oddać mu wielką przysługę. W rzeczy samej mógłbyś mu się bardziej przydać teraz aniżeli kiedykolwiek przedtem, w dawnym miejscu.

Ważą się bowiem losy całej jego wieczności, mój panie. Jeżeli tu utknie, czeka go niedola, jakiej nawet sobie nie wyobrażasz.

A zatem: pozostań, zwłócz, nie spiesz się, mój panie, posiedź chwilę, rozgość się, zamarudź, a zadomawiając się tutaj, bądź kontent.

Upraszam.

*Myślałem, że to pomaga. Otóż mylilem się. Nie potrzebuję już tego widoku. Jeśli zechcę spojrzeć na Williego, uczynię to w swym sercu. Jak przystoi. Tam, gdzie wciąż jest nietknięty i cały Wiem, że gdybym mógł z nim porozmawiać, przykła-snąłby temu; powiedziałby, że winien stąd odejść i nie wracać więcej. Był tak szlachetny duchem. Jego serce dobroć nade wszystko ukochało.*

*Taki był dobry. Mój drogi malec. Zawsze wiedziały co słusznym będzie. I nalegał, żebym to właśnie uczynił. Tak i teraz postąpię. Acz wiele mię to trudu kosztuje. Wszystkie dary są chwilowe. Niechętnie rozstaję się z tym oto. Dziękując zań. Bogu. Lub światu. Ktokolwiek mi go ofiarował, pokornie mu dziękuję mając nadzieję, że z darem dobrze się obszedł i gdy już pójdę dalej, nie przestanę dobrze się obchodzić.*

*Miłości, miłości, wiem, czymżeś jest.*

hans vollman



## LXXV

Zdołaliśmy niemal rozerwać krępujące go w pasie pędy, szarpiąc paznokciami i tnąc ostrym kamieniem, któryśmy nieopodal znaleźli.  
wielebny everly thomas

Prawie się udało! - zawołałem do pana Vollmana.  
roger bevins iii

Było jednak za późno.  
wielebny everly thomas

Pan Lincoln zamknął szpitalną skrzynię.  
(A we mnie serce zamarło).  
roger bevins iii

Dźwignął ją, odniósł z powrotem do wnęki i w nią wsunął. (Wszystko było stracone).  
wielebny everly thomas

I wyszedł za drzwi.  
roger bevins iii

## LXXVI

Prosto w ucichły już tłum.  
wielebny everly thomas

Który potulnie się rozstąpił, przejść mu dając.  
roger bevins iii

Poszedł?! - krzyknął chłopiec.  
Zdołaliśmy go tymczasem oswobodzić. Odepchnął się od ściany, zrobił parę chwiejnych  
kroków i na posadzce siadł.  
wielebny everly thomas

Gdzie pędy natychmiast znów go jęły omotywać.  
roger bevins iii

## LXXVII

Chodźmy, rzekłem do pana Bevinsa. Sam nie podołałem. Musimy chyba spróbować we dwóch. Zatrzymać go.

hans vollman

Pastorze, zwrócił się do mnie pan Bevins. Pójdzie pastor z nami? Choćby tylko jeden umysł więcej może przeważyć szalę.

Zwłaszcza tak tęgi jak pański, dodał pan Vollman.

Przed laty popełniłem wraz z przyjaciółmi *l'occupation* skłóconej młodej pary, która po bramy zamknięciu się tu zakradła. Przywiedliśmy ich wtedy do tego, że się ze sobą sparzyli. I zaręczyni odnowili. Może z rok po owym pojednaniu młody małżonek powrócił tu, aby odszukać miejsce, gdzie się to dokonało. Ciekawością wiedzeni, znów popełniliśmy *l'occupation* i stwierdziliśmy, że powody niezgody, które pierwotnie doprowadziły do zerwania zaręczyn, w żyznym klimacie małżeństwa jeszcze bardziej urosły i się rozjątrzyły, aż niedawno skłoniły młodą małżonkę do samounicestwienia przez otrucie.

To, żeśmy się podówczas byli w sprawę wmieszali, zostawiło nam, nie da się ukryć, krew na rękach.

Niewłocznie przysiągłem nigdy więcej w praktyce tej nie uczestniczyć.

Lecz moja sympatia do chłopca tudzież uczucie, że przez swą wcześniejszą nieuwagę na szwank go naraziłem, kazały mi przysięgę ową złamać i do przyjaciół dołączyć.

wielebny everlv thomas

Wypadłszy z białego kamiennego domku, biegiem na złamanie karku poszybowaliśmy i we trzech pana Lincolna raptemśmy osaczyli.

roger bevins iii

I daliśmy susa.

hans vollman

Prosto w Prezydenta.

roger bevins iii

Wokół nas roił się tłum.

hans vollman

Kilkoro śmiazków za naszym przykładem również wniknąć spróbowało.

wielebny everly thomas

Najpierw dla rozpoznania przebiegając przez Prezydenta lub przelotnie on się ocierając, bądź też przemykając przezeń niby nur taflę jeziora w pogoni za rybą przebijający.

hans vollman

Pan Cohoes, wygadany kotlarz, krok w krok za panem Lincolnem podążając, wniknął weń od strony pleców i pozostał, stąpając we wspólnym z nim rytmie.

roger bevins iii

Nic to! - zawołał, tak własną śmiałością podniecony, że głos w dyszkant mu przeszedł.  
wielebny everly thomas

Wszystkim nagle śmiałości przybyło.  
hans vollman

Niezabawem wszczęło się ogólne poruszenie.  
roger bevins iii

Nikt na uboczu pozostać nie chciał.  
hans vollman

Wielu wzajem się w siebie wdzierało...  
wielebny everly thomas

Jedni w drugich wnikając...  
hans vollman

Wielorako ze sobą się łącząc...  
roger bevins iii

Kurcząc się w miarę potrzeby...  
hans vollman

Aby wszyscy pomieścić się mogli.  
roger bevins iii

Wniknęła też pani Crawford, którą jak zwykle obmacywał pan Longstreet.  
hans vollman

Wniknął zadźgany pan Boise; i Andy Thorne; panowie Twistings i Durning.  
roger bevins iii

Oderwawszy się od porucznika Stone'a i jego patrolu, wniknął też murzyński kontyngent;  
urazony bliskością tych ludzi Stone ze swym patrolem w ich ślady pójść nie raczył.  
wielebny everly thomas

W środku znaleźli się już Baronowie; panna Doolittle, pan Johannes, pan Bark i Tobin  
„Borsuk” Muller także wniknęli.  
roger bevins iii

A z nimi wielu innych.  
hans vollman

Zbyt licznych, aby dało się wszystkich wymienić.  
wielebny everly thomas

Tyle rozmaitych woli, wspomnień, skarg, pragnień, tyle nieogładzonych sił żywotnych.  
roger bevins iii

Wtem na myśl nam przyszło (gdy Manders z wysoko uniesioną latarnią w zagajnik przed Prezydentem wszedł), że moglibyśmy tę moc tłumną do naszych celów zaprząć.  
hans vollman

Tego, czego pan Vollman nie zdołał dopiąć samopas...  
roger bevins iii

Mogliśmy wszak dokonać wszyscy razem.  
wielebny everly thomas

Gdy zatem światło latarni skośną smugą przed nami się kładło, poprosiłem, aby wszyscy, którzy tkwią w panu Lincolnie, jęli go do z a t r z y m a n i a nakłaniać.  
hans vollman

(Chcieliśmy najpierw go z a t r z y m a ć, gdyby zaś to się powiodło, z a w r ó c i ć, jeśli się da).  
wielebny everly thomas

Wszyscy ochoczo na to przystali.  
roger bevins iii

Pochlebiali im bowiem, że o coś w ogóle ich się prosi i do uczestnictwa w sprawie choćby najmniejszej zachęca.  
wielebny everly thomas

*Stój*, pomyślałem, a ciżba impuls ten podchwyciła, wyrażając go każdy po swojemu.  
roger bevins iii

*Stań, zaniechaj, marsz przerwij.*  
hans vollman

*Wstrzymaj krok, znieruchomiej, nie idź dalej.*  
I temu podobne.  
wielebny everly thomas

Cóż za przyjemność. Jak miło było tam się znaleźć. Razem. Wspólnym celem złączeni. Tkwieliśmy wewnątrz pospołu, lecz i każdy w każdym, dostrzegając przebłyski cudzych umysłów, a zarazem umysłu Panalincolnowego. Jak dobrze było czuć, że wspólnie to robimy!  
roger bevins iii

Myśleliśmy.  
hans vollman

Wszystcyśmy myśleli.

wielebny everly thomas

Jak jeden. Równocześnie.  
hans vollman

Jeden zbiorowy umysł, cnym dążeniem połączony.  
roger bevins iii

Wszelkie samolubne troski (o to, by pozostać, dobrze się mieć, siły zachować) na chwilę odłożono.

wielebny everly thomas

Świeżością powiało.  
hans vollman

Gdyśmy się od tego całego ambarasu uwolnili.  
roger bevins iii

Byliśmy zazwyczaj tacy samotni.  
W ciągłej walce o pozostanie.  
W obawie przed błędem.  
hans vollman

Nie zawsze żyliśmy w takim opuszczeniu. Bo przecie w dawnym miejscu...  
wielebny everly thomas

Jakeśmy sobie nagle przypomnieli...  
hans vollman

Wspomnieli wszyscy w jednej chwili...  
wielebny everly thomas

Nagle odżyło w mej pamięci do kościoła chodzenie, kwiatów posyłanie, ciast pieczenie, aby je przyniósł Teddie, ręką za ramię obejmowanie, czerni przywdziewanie, w szpitalu godzinami wyczekiwanie.

roger bevins iii

I to, jak Leverworth dla Burmeistera dobre słowo w najgorszej chwili skandalu bankowego znalazł; a Furbach sakiewkę wyciągnął, aby hojnie obdarzyć doktora Pearla po pożarze w Zachodniej Dzielnicy.

hans vollman

I jakeśmy zesзли gromadą w fale przyboju, za ręce się trzymając, aby odszukać biednego Chaunceya, kiedy utonął; i brzęk monet wpadających do płóciennej torby z topornym nadrukiem Dla Ubogich; i jak na klęczkach całą grupą dziedziniec kościelny o zmierzchuśmy pielili; metaliczny stukot zielonego kotła z zupą, gdym go wraz z diakonem taszczył wieczorami dla tych nędzarek w Owczym Gaju.

wielebny everly thomas

My, dzieci, tłoczyliśmy się radosną cizbą wokół kadzi wrzącej czekolady, którą kochana panna Bent mieszała, czule jak do kociąt do nas pomrukując.  
roger bevins iii

Mój Boże, cóż to było za odkrycie! Nagle tak się rozprzestrzenić!  
hans vollman

Jak mogliśmy zapomnieć? Wszystkie te szczęsne zdarzenia?  
wielebny everly thomas

Aby tu pozostać, trzeba być głęboko i nieustannie zaprzątniętym swą główną racją pozostania, nawet za cenę wykluczenia całej reszty spraw.  
roger bevins iii

Ustawicznie szukać okazji do opowiedzenia swej historii.  
hans vollman

(A jeśli zakaz surowy opowiedzieć jej nie dozwala, wciąż ją trzeba w myśli odświeżać).  
wielebny everly thomas

Raptem jednak ujrzeliśmy, ile nas to kosztowało.  
Tyleśmy zapomnieli z tego, czym niegdyś byliśmy i cośmy wiedzieli.  
roger bevins iii

I oto dzięki owemu fortunnemu współmieszkanu...  
wielebny everly thomas

Poczuliśmy (niby kwiaty, z których zdjęto przygniatające je dotąd kamienie), że po części odzyskujemy przyrodzoną nam pełnię.  
roger bevins iii

By tak rzec.  
hans vollman

Miłe to było uczucie.  
wielebny everly thomas

Owszem.

hans vollman

Nawet bardzo.  
roger bevins iii

I zdawało się nam służyć.

wielebny everly thomas

Spojrzawszy na pana Vollmana, stwierdziłem, że jest raptem o d z i a n y, a jego członek skurczył się do zwykłych rozmiarów. Strój miał, owszem, mocno niechlujny (drukarski fartuch, buty farbą pochłapane, skarpetki nie do pary), lecz i tak był to cud.

roger bevins iii

Czując na sobie uporczywe spojrzenie pana Bevinsa, zerknąłem nań i miał przykrego widoku mnóstwa oczu, nosów, dłoni i tak dalej ujrzałem przystojnego młodzieńca o dziarskiej i miłej powierzchowności: miał on dwoje oczu, jeden nos, dwie dłonie, rumiane policzki i bujną kruczą czuprynę tam, gdzie zaledwie przed chwilą gęsty wysyp gałek ocznych włosom miejsca nie zostawiał.

Innymi słowy, był zeń młodzian o nader ujmującym wyglądzie, który wszystkiego miał w sam raz tyle, ile trzeba.

hans vollman

Przepraszam, z niejakim onieśmieniem rzekł Wielebny. Czy mogę spytać? Jak wyglądam?

Bardzo dobrze, odparłem. Całkiem odprężony.

Ani trochę nie wystraszony, dodał pan Vollman.

Brwi na słusznej wysokości, powiedziałem. Oczy nie nazbyt wytrzeszczone.

Włosy nie zjeżone, dorzucił pan Vollman.

A ust zdumienie już nie rozdziawia, zakończyłem.

roger bevins iii

I nie tylko na nas spłynęło owo szczęsne błogosławieństwo.

wielebny everly thomas

Timowi Middenowi z nie znanych nam powodów zawsze deptał po piętach większy odeń sobowtór, który nieustannie nad nim się pochylał, szepcząc do ucha przynębiające słowa. I nagle owo monstrum znikło.

hans vollman

Pan DeCroix i profesor Bloomer rozłączyli się i choćby nie wiedzieć jak blisko siebie szli, więź między nimi już się nie odnawiała.

roger bevins iii

Pan Tadmil, zhańbiony urzędnik, który włożył był ważny dokument do niewłaściwej teczki, powodując upadek swej firmy, i nie mógł potem znaleźć innej pracy, więc się rozpił, stracił dom i dożył chwili, gdy żona jego ze zgryzoty w szpitalnej skrzyni legła, a dzieci z racji coraz większej hulaszności ojca po rozmaitych sierocińcach poumieszczano, chodził zazwyczaj przygięty żalem niemal do ziemi, niby nawias smętną kępką siwych włosów zwieńczony, cały rozdygotany, stąpał zaś z największą ostrożnością, bojąc się błąd choćby najmniejszy popełnić.

I otośmy ujrzeni żwawego, jasnowłosego młodzieńca, który nową posadę właśnie był otrzymał, więc z kwiatem w klapie paradował, wielkich nadziei pełen.

wielebny everly thomas



Obmacywał zaniechawszy, pan Longstreet łzami się zalał i jął błagać panią Crawford o wybaczenie.

roger bevins iii

(Po prostu samotność mi doskwiera, moja droga).

sam „gładysz” longstreet

(Jeśli pan chce, mogę panu podać nazwy różnych naszych kwiatów polnych).

pani elizabeth crawford

(Rad bym je usłyszał).

sam „gładysz” longstreet

Verna Blow i jej matka Ella, które zazwyczaj objawiały się jako wiedźmy, podobne prawie jak dwie krople wody (choć obie umarły w połogu, nie zdążyły się tedy zestarzeć w dawnym miejscu), wyglądały (każda z dziecięcym wózkiem przed sobą) znów młodo, obie porywająco piękne.

hans vollman

Mowę odzyskawszy, biedna, po wielekroć gwałcona Litzie w pierwszych słowach podziękowała pani Hodge za to, że przez wszystkie lata niemoty i samotności w jej imieniu przemawiała.

elson farwell

Pani Hodge, poczciwa niewiasta, podziękowania Litzie niemym skinieniem głowy skwitowała, na swe uleczone dłonie i stopy ze zdumieniem patrząc.

thomas havens

Mimo tych przemian cudownych, które pośród nas się dokonywały, pan Lincoln się nie zatrzymał.

roger bevins iii

Wręcz przeciwnie.

wielebny everly thomas

Jakby jeszcze przyspieszył.

roger bevins iii

Miejsce to co rychlej opuścić postanowiwszy.

hans vollman

Rety, wymamrotała Verna Blow, której odzyskana młodzieńcza uroda nawet w owej chwili druzgocącej porażki cudownością swą mię uderzała.

roger bevins iii

## LXXVIII

Wezwałem Kawalerów, którzy natychmiast przybyli, zawisając nad nami, i zrzucili z góry (na swój uroczy, naiwny sposób atencję okazując) maleńkie bireciki, jam zaś nasze rozpaczliwe położenie jał im objaśniać, prosząc, aby nad posesją przelecieli, skrzykując wszelką pomoc, jaka się nadarzy.

Ale właściwie jak mamy to powiedzieć? - zapytał pan Kane.

Nie jesteśmy wszak „słowmistrzami”! - dodał pan Fuller.

Ogłoście wszem wobec, że próbujemy ratować pewnego chłopca, rzekł pan Vollman. Zgrzeszył on tym jedynie, że jest dzieckiem, a budowniczy tego miejsca zarządził z niedocieczonych przyczyn, że jeśli dziecko kocha życie dość mocno, aby pragnąć tutaj pozostać, jest to ciężki grzech, najsroższej godzien kary.

Obwieście im, że nie chcemy już dłużej być niczym, nic nie robić i nic dla nikogo nie znaczyć, żyjąc w ciągłej trwodze, dodał Wielebny.

Nie wiem, czy wszystko spamiętamy, przyznał pan Kane.

Wygląda to na poważne zobowiązanie, powiedział pan Fuller.

Zdamy się na pana Lipperta, rzekł pan Kane. Jest wszak z nas najstarszy.

roger bevins iii

Choć Prawdę powiedziawszy, wszyscy Trzej byliśmy sobie rówieśni, każdy z nas zawitał bowiem Tutaj w dwudziestym ósmym roku Życia (niekochany i nieżonaty jeszcze), lecz w istocie to właśnie ja byłem, formalnie rzecz biorąc, najwyższym rangą w naszym niewielkim Kółku, bom zjawił się pierwszy i (Samotnie) lat niemal dziewięć spędziłem, zanim Dołączył do mnie pan Kane (za sprawą Włóczni Indiańskiej, co mu pośladki jakże niefortunnie przebiła), dzięki czemu Duet Nierozłącznyśmy utworzyli na lat jedenaście bez mała, po czym pan Fuller, ów Zuch Młody, po wypitce nieroztropnie z Silosu w Delaware skoczywszy, Tercet niniejszy sformować nam pomógł.

Uznałem tedy po Namyśle, że mieszanie się w tę Sprawę bynajmniej w Interesie naszym nie leży, nie ma ona bowiem z nami nic wspólnego, a może Zagrozić samej Wolności naszej, Zobowiązaniemi Przykrymi nas obarczając, pozbawiając Swobody czynienia zawsze i wszędzie Li Tylko tego, co Chcemy, a nawet zdolność naszą do Pozostania na Szwanek Wystawiając.

Bardzo nam przykro! - krzyknąłem do tych w dole. - Nie chcemy, więc się nie podejmiemy!

Stanley „profesorek” lippert

Kawalerowie poczęli wtedy zrzucać ku nam meloniki: czarne, posępne, pogrzebowe, jakby mimo całej swej trzpiotowatości powagę chwili pojęli, a lubo trwać przy nas nie zamierzali, z niejakim żalem odmawiali nam pomocy.

wielebny everly thomas

Ich smutek rychło jednak pierzchł.

hans vollman

Gonili za miłością (tak przynajmniej sobie wmawiali), musieli więc trwać w ciągłym ruchu, pełni nadziei, dowcipni, ożywieni, mając oczy otwarte w nieustannym poszukiwaniu.

roger bevins iii

Rozglądając się za jakąś nowo przybyłą albo i dawną, lecz przeoczoną, której  
bezprzykładna uroda pozwoliłaby im bez żalu wyrzec się drogocennej wolności.  
wielebny everly thomas

Odlecieli zatem.  
hans vollman

Z „Profesorkiem” Lippertem na czele w radosny gon ponad posesją ruszyliśmy.  
gene „łajdak” kane

Sunąc tuż nad wzgórzami i ścieżkami, przelatując pędem przez lazarety, szopy i drzewa, a  
nawet przez jednego jelenia z owej drugiej sfery.  
jack „blagier” fuller

A gdyśmy wnikli weń i niemal w tejże chwili z powrotem wylecieli, jelen stanął dęba,  
jakby go pszczoła ucięła.  
gene „łajdak” kane

## LXXIX

To ten, to ów pana Lincolna porzucal, zniechęcony.  
roger bevins iii

Kulili się jak embriony i zeń wytaczali.  
hans vollman

Bądź z gibkością gimnastyków wyskakiwali.  
roger bevins iii

Lub po prostu nieco zwalniali kroku, pozwalając, aby Prezydent pozostawił ich w tyle.  
hans vollman

Każdy z jękiem zawodu na ścieżkę padał.  
wielebny everly thomas

Wszystko fałszem się okazało.  
roger bevins iii

Chimerą jeno.  
wielebny everly thomas

Mrzonką.  
roger bevins iii

Aż wreszcie nieopodal J.L. Bagga, co *W Światłości Wiecznie Żyje*, wypadliśmy nawet my  
trzej.  
hans vollman

Najpierw Bevins, potem Vollman, a na końcu ja.  
wielebny everly thomas

Padliśmy kolejną na ścieżkę przy pomniku Muirów.  
hans vollman

(Grupce aniołów z troską pochylonych nad dwoma chłopcami w marynarskich ubrankach,  
co na kamiennej płycie ramię przy ramieniu leżeli).  
roger bevins iii

(Felix i Leroy Muir.  
*Morze Ich Pochłonęło*).  
wielebny everly thomas

(Rzeźbiarz pokpił sprawę. Aniołowie pochylali się młodymi marynarzami niby chirurdzy  
nie wiedzący, jak zacząć).  
hans vollman

(Z niejasnych powodów na stole operacyjnym leżały też dwa wiosła).  
roger bevins iii

Dopiero wtedy przypomnieliśmy sobie o chłopczynie i o męce, którą zapewne w owej chwili cierpiał.  
hans vollman

Dźwignęliśmy się tedy, znużenie pokonawszy, i zawróciliśmy.  
roger bevins iii

## LXXX

A choć owo tłumne współmieszkanie wiele spraw we mnie gwałtem poruszyło (spowijając mię dręczącą, mglistą chmurą przypomnianych detali z życia mego, w której były imiona, twarze, zagadkowe kuluary, niegdysiejszych potraw wonie; desenie dywanów z nie wiedzieć czyich domów, charakterystyczne sztucce, konik na biegunach z uchem urwanym i nagłe przypomnienie, że żona moja imię E m i l y nosiła), nie objawiło mi prawdy najgłówniejszej, której szukałem, czyli przyczyny potępienia mego. Przystanąłem na ścieżce, za tamtymi w tyle pozostając, bom rozpaczliwie pragnął chmurę ową na wskroś przejrzeć i przypomnieć sobie, kim niegdyś byłem i jakim wyrządził zło, alem dokonać tego nie zdołał, po chwili zaś musiałem pospieszyć dalej, aby przyjaciół doścignąć.

wielebny everly thomas

## LXXXI

Chłopię leżało bezwładnie na posadzce domku z białego kamienia, aż po szyję omotane pancernym kokonem, który już całkiem stężałym się zdawał.

hans vollman

Wokoło unosiły się wstrętne wyziewy dzikiej cebuli, gęstniejące ku innemu, bardziej złowrogiemu odorowi, dla którego nazwy nie masz.

wielebny everly thomas

Chłopiec patrzył na nas z dołu mętным wzrokiem, z losem pogodzony.

roger bevins iii

Było już po wszystkim.

wielebny everly thomas

Chłopczyna musiał zażyć driakiew dlań przeznaczoną.

hans vollman

Zebrałiśmy się wokół niego, aby go pożegnać.

roger bevins iii

Imaginuście sobie tedy nasze zdumienie, gdy raptem dał się słyszeć głos niewieści gotów wszcząć rokowania, bo ponoć „ON” nie przeciwilby się, gdybyśmy chcieli przenieść chłopca z powrotem na dach, aby odbył tam resztę swej (wiecznej) kary.

wielebny everly thomas

Zważcie, że żadnej z tych rzeczy nie czynimy po dobrowoli lecz z musu, zadudnił jakiś bas, lekko sepleniąc.

roger bevins iii

Głosy zdawały się dobywać z pancerza.

hans vollman

Który zdawał się składać z ludzi. Takich jak my. Jak my dawani. Ludzi niegdysiejszych, ale jakoś pomniejszonych i w samo tworzywo pancerza wplecionych. Tysiące maleńkich ciałek, nie większych od ziarenka gorczycy, wiły się, twarzyczki ku nam zadzierając.

wielebny everly thomas

Kim byli teraz? A zwłaszcza dawniej? Jak to się stało, że „mus” rzeczony ich przytłoczył?

roger bevins iii

O tym sza, rzekł głos niewieści. O tym sza. Popelniono błędy, dodał bas.

hans vollman

Chcecie mej rady? - spytał trzeci, mówiący z brytyjska. - Nie wycinaj w pień całego regimentu swych wrogów.

Nie knuj z kochanką, jak zgładzić żywe dziecko, zaseplenił bas.  
roger bevins iii

Miast zadać truciznę ukochanemu, postanów go ścierpieć, rzekła niewiasta.  
wielebny everly thomas

Z dziećmi płciowych zbliżeń zażywać nie lża, powiedział głos starca z Vermontu rodem,  
po akcencie sądząc.  
hans vollman

Przy każdym z owych wyznań czyniąca je twarz wyłaniała się na mgnienie z pancerza,  
naznaczona wyrazem udręki i pokrzywdzenia.  
wielebny everly thomas

Widzieliśmy tu już niemało dziwnych rzeczy.  
roger bevins iii

Ta była wszelako najdziwniejszą.  
hans vollman

Czy jesteście... jesteście w Piekle? - zapytał Wielebny.  
Jeszcze w nie najgorszym, odparł Brytyjczyk.  
Przynajmniej nie każą nam tłuc czaszkami o rzędy śrubokrętów w pęczki związanych,  
rzekła kobieta.  
Nie gwałci nas sodomską modą buhaj gorejący, wyseplenił bas.  
roger bevins iii

Jakikolwiek grzech popełniłem, musiał on być (i oby zaiste był!) lekkim w porównaniu z  
grzechami tych oto. A jednak uznano, że jest ich autoramentu. Bo czy nie byłem? Wydawało  
się, że gdy trzeba będzie odejść, trafię tam gdzie i oni.

Jakem sam w kazaniach wielu prawił, Bóg nasz jest Bogiem straszliwym i tajemniczym, a  
wyroki Jego są niezbadane, sądzi bowiem podług uznania Swego, my zaś jesteśmy wobec Niego  
jako te jagnięta, do których ni tkliwości, ni złości nie żywi; jedne na rzeź posyła, inne zaś na łąkę  
wypuszcza, własnym kaprysem wiedziony, wedle praw, których wzrok nas, maluczkich, nie  
dosięga.

Jeno uległość nam pozostaje. Mamy poddać się wyrokom Jego i pokornie znieść karę.  
Mych jednak rozterek owa nauka nie rozstrzygała.  
I jakżem nad tym bolał, do głębi duszy bolałem.  
wielebny everly thomas

Gdzież więc ma zostać? - zapytał Brytyjczyk. - Tu? Czy na dachu?  
hans vollman

Wszystkie spojrzenia ku chłopcu pobiegły.  
roger bevins iii

On zaś dwakroć mrugnął, lecz nic nie powiedział.



hans vollman

A może, zaczął pan Bevins. Może zrobilibyście dlań wyjątek.  
Z pancerza buchnęła salwa gorzkiego śmiechu.  
Zacne zeń dziecię, dodał pan Vollman. Zacne dziecię o wielu...  
Uczyniliśmy to już mnóstwu zacnych dzieci, rzekła niewiasta.  
Prawo jest prawem, powiedział Brytyjczyk.

Ale czemu, pozwolę sobie spytać, zagadnął pan Bevins, prawo jest inne dla dzieci niżli dla reszty z nas? To chyba niesprawiedliwe.

Z pancerza dobiegł gwar oburzonych głosów sprzeciwu w rozmaitych językach, z których wieluśmy ni w ząb nie rozumieli.

Nie wspominajcie nam o sprawiedliwości, proszę, rzekła niewiasta.

Furda sprawiedliwość, prychnął Vermontczyk.

Czy ja zamordowałam Elmera? - zapytała niewiasta.

Ano zamordowałaś, przytaknął Brytyjczyk.

A jakże, zgodziła się. A czy to nie wrodzone skłonności i pragnienia przywiodły mię do tego, że choć przez całe życie nikoguteńko nie zabiłam, w końcu popełniłam ów czyn? Tak, to one. A czy moja w tym wina? Czy było to sprawiedliwym? Czy chciałam się urodzić rozwiązłą, chciwą i ludziom cokolwiek niechętną, a wobec Elmera aż tak niecierpliwą? Wcalem się o to nie prosiła. Lecz taką właśnie byłam.

I właśnie za to tu jesteś, rzekł Brytyjczyk.

Właśnie za to tu jestem, święta racja, przyznała niewiasta,

Ja też tu jestem, wtrącił Vermontczyk. Czy chciałem urodzić się jako ktoś, kto z dziećmi zespołem pragnie? Nie pamiętam, żebym w matczynym łonie życzenie to wyraził. Czy walczyłem z tym popędem? Ze wszystkich sił. No, prawie ze wszystkich. Walczyłem, jak mogłem. Jak mógł walczyć ktoś, kto się urodził z tą akurat przypadłością, tak, a nie inaczej nasiloną. A gdym opuszczał dawne miejsce, czy próbowałem wytłumaczyć to swym oskarżycielom?

Zapewne, rzekła niewiasta.

Oczywiście, że próbowałem, z oburzeniem przytaknął Vermontczyk.

I jak się do tego odnieśli? - zapytał Brytyjczyk.

Nie najlepiej, przyznał Vermontczyk.

Mieliśmy morze czasu na przemyślenie tych spraw, powiedziała niewiasta.

Aż za wiele, rzekł Vermontczyk.

Słuchajcie, zaseplenił bas. Kiedy Marie i ja dzieckośmy zgładzili, czuliśmy się sługami dobrej sprawy. Daję słowo! Kochaliśmy się; a ono ułomnym było; stało na drodze miłości naszej; jego opóźniony rozwój nie pozwalał nam okazywać sobie wzajem uczucia w przyjęty sposób (nie mogliśmy podróżować, jadać na mieście, rzadko kiedy bywaliśmy choć przez chwilę sam na sam), wydawało się zatem (nam wtedy), że usunąwszy szkodliwy wpływ w osobie dziecka (przez wrzucenie go do potoku Furniss), wolność zyskamy; będziemy mocniej kochać, żyć bardziej w świecie, chłopca zaś uwolnimy od cierpień, które jako nieuleczalnie ułomny miał doznogonie znosić; jemu więc także ulżymy, wszystkim szczęścia przysparzając.

Tak wam się zdawało, rzekł Brytyjczyk.

Byliśmy o tym szczerze przekonani, zapewnił go sepleniący bas.

I trwasz w tym przekonaniu? - spytała niewiasta.

Z czasem osłabło, ze smutkiem wyseplenił bas.

Czyli kara twa skuteczną jest, stwierdziła niewiasta.

wielebny everly thomas

Byliśmy tacy, jacyśmy byli! - szczeknął sepleniący bas. - Jakże moglibyśmy być inni? A będąc takimi, inaczej postąpić? Byliśmy tacy w owym czasie i przywiodło nas do tego punktu właśnie to, nie żadne wrodzone zło w nas samych, lecz ówczesny stan naszego poznania i wcześniejsze doświadczenia.

Los, Przeznaczenie, rzekł Vermontczyk.

To, że czas płynie w jedną tylko stronę, unosząc nas ze sobą, poddanych takim, a nie innym wpływom, które do tych, a nie innych uczynków nas skłaniają, wyseplecił bas.

I w końcu karę przeokrutną za to ponosimy, powiedziała kobieta.

Beludźowie wyrzynali nasz pułk, zaczął Brytyjczyk. Potem jednak szala się przechyliła i całą gromadą nam się poddali, białą flagę wywiesiwszy, po czym... do rowu zeszli, a ludzie na mój rozkaz dali ognia (i żaden nie miał kwaśnej miny, zapewniam), po czym przykryliśmy dzikusów ich białą flagą i zakopali. Jakżebym mógł inaczej postąpić? Skoro czas płynie w jedną tylko stronę, a ja byłem taki, nie inny? Porywczy, z głową nabitą wyobrażeniami o męskości i honorze, z żywym wspomnieniem lat szkolnych, kiedy to trzech starsi bracia nieomal na śmierć mię pobili, a karabin tak pięknie

leżał mi w dłoniach, wrogowie zaś wydawali się obmierzli? Jakżebym mógł (jak może ktokolwiek spośród nas) postąpić inaczej, niżli w danej chwili postępuję?

I czy ten wywód ich przekonał? - zapytała kobieta.

Sama wiesz, dziwko, że nie przekonał! - krzyknął Brytyjczyk. - Dlatego tu jestem.

Wszyscy tu jesteście, rzekł Vermontczyk.

Na wieki wieków, powiedział Brytyjczyk.

Nie da się temu zaradzić, wyseplecił bas.

Ani też zapobiec nigdy nie można było, podkreśliła kobieta.

roger bevins iii

Zerknąwszy mimochodem na Wielebnego, dostrzegłem przemykający po jego twarzy pewien szczególny wyraz jakby niezłomności, wręcz wyzwania.

hans vollman

Tkwić tu wraz z nimi, którzy godzą się z własnymi grzechami tak biernie, wręcz dumnie, bez odrobiny skruchy?

Nie zniósłbym tego; znieść nie mogę; czyżby nawet i teraz nie było dla mnie żadnej nadziei?

(Może, pomyślałem, na tym właśnie polega wiara: na przekonaniu, że Bóg zawsze gotów jest przyjąć choćby cień dobrej chęci).

wielebny everly thomas

Dosyć, przerwał Vermontczyk.

Do roboty, powiedziała kobieta. I tak już za wiele trudu kosztował nas ten tutaj.

Nie to, co ta poprzednia, rzekł Brytyjczyk. Ta dziewczyna. Była dużo ustępliwsza.

Urocze dziecko, wspomniała kobieta. Zupełnie biernie. Nie stawiała najmniejszego oporu, powiedział Brytyjczyk. Zrobiliśmy z nią, cośmy tylko chcieli, wyseplecił bas.

Nie miała wszelako aż tylu pomocników, przypomniał Vermontczyk.

Racja, rzekł Brytyjczyk. Nikt palcem nie kiwnął w jej obronie.

No to gdzie chcesz, młodzieńcze? - zapytała kobieta. - Tu? Czy na dach?

roger bevins iii

Chłopczyna milczał.

hans vollman

Na dach, rzekł Wielebny. Jeśli łaska.

Doskonale, odparła kobieta.

Pancerz natychmiast odpadł, oswabadzając chłopca.

roger bevins iii

Czy mogę mieć zaszczyt zanieść go na górę? — zapytał Wielebny.

Oczywiście, rzekła kobieta.

hans vollman

Schyliłem się i wziąłem chłopca na ręce.

Pomknąłem.

Z grobowca prosto w noc.

Szybowniczym biegiem.

Gnałem jak wicher.

Ku jedynemu miejscu, w którym dla chłopięcia była jeszcze choćby najmniejsza nadzieja schronienia.

wielebny everly thomas

## LXXXII

Radośnie, radośnie!  
Arcyśmiały był to ruch!  
roger bevins iii

Sukinsyn! - krzyknęła kobieta ze znużeniem w głosie.  
hans vollman

Pan Vollman i ja wypadliśmy szybowniczym biegiem z białego kamiennego domku, w pogoń za Wielebnym ruszając.  
roger bevins iii

Potoczyła się za nami niska fala na kształt ruchomej ścianki do kolan, złożonej z wszelkich rodzajów materii, jakie owe demoniczne istoty w danej chwili zamieszkiwały (jako to trawa, ziemia, nagrobek, posąg, ławka)...  
hans vollman

Wyprzedziła nas...  
roger bevins iii

(Unosząc jak dzieci na fali przyboju, a potem znów na ziemi stawiając).  
hans vollman

... i doścignęła Wielebnego.  
roger bevins iii

Oblewany i osaczony przez chlupoczący wokół niego materii tuman, pognął w dół po zboczku pagórka nieopodal komórki ogrodnika.  
hans vollman

W polu widzenia pojawiła się kaplica, a myśmy nagle przejrzeni zamysł pastora.  
roger bevins iii

Demoniczne istoty rozdzieliły się, rzec by można, na dwa skrzydła, błyskawicznie zachodząc Wielebnego z obu flank, po czym drogę mu zabiegły i kolana podcięły, z nóg go zbijając.  
hans vollman

Padając, na wznak się obrócił, instynktem wiedziony, aby wziąć na się impet zderzenia z ziemią, chłopca przed nim chroniąc.  
roger bevins iii

I wtedy go dopadły.  
hans vollman

Ich obu.

Ścigały wprawdzie chłopca, lecz w tym pościgu także Wielebnego przygwoździły.  
roger bevins iii

Frenetycznym szałem owładnięte, wyglądały, jakby już nie odróżniały i nawet nie chciały odróżniać Wielebnego od chłopięcia.  
hans vollman

Zanim do pastora i chłopca dotarliśmy, byli oni ciasno ze sobą zesnurowani nowym, szybko krzepnącym pancerzem.  
roger bevins iii

Z którego dobiegały straszliwe krzyki Wielebnego.  
hans vollman

Mają mię! - krzyczał. - Nawet mnie już dopadły! Muszę... muszę odejść! Dobry Boże! A może nie muszę? Ale żebym miał tak trwać w tym wiekuistym potrzasku...  
Ależ idź, oczywiście, ratuj się, drogi przyjacielu! - odkrzyknąłem. - Idź!  
Kiedy nie chcę! - zawołał Wielebny. - Boję się!  
Jął się dławić, a jego zniekształcony głos świadczył, że pancerz ust już dosięgnął, po czym wtargnął chyba aż do mózgu, o przywidzenia pastora przyprawiając.  
Ten pałac! - krzyknął Wielebny w ostatniej chwili. - Ten straszliwy brylantowy pałac!  
roger bevins iii

Wtem z wnętrza pancerza dobiegł znajomy, lecz zawsze mrozący do szpiku kości huk wystrzału, co wtóruje każdemu zjawisku rozświtu materii.  
hans vollman

I Wielebny znikł.  
roger bevins iii

Po jego odejściu próżnia na chwilę w pancerzu powstała...  
hans vollman

Pan Vollman kopnął go z całej siły, aż pancerz się zapadł.  
roger bevins iii

Gdyśmy się nań wściekle rzucili, szarpiąc go i drapiąc, czułem, że demoniczne istoty spojierają zeń na nas z urazą, zniesmaczone zaciekłością naszą, świeżo wskrzeszoną skłonnością ludzką do czynów z nienawiści płynących. Pan Bevins wepchnął rękę aż po łokieć. Od drugiej strony napierając, przebiłem powierzchnię pancerza długą gałęzią, a wślizgnąwszy się pod nią, niby dźwignię o kolana ją sobie oparłem i nacisnąłem, gdy zaś pancerz się rozpuknął, pan Bevins zdołał wsunąć weń całą rękę. Jął ciągnąć, krzycząc z wysiłku, i po chwili niczym żredek noworodek (równie mokry i nieogłodzony) wytoczył się chłopczyna, a myśmy przez sekundę wyraźnie widzieli w rozbitym pancerzu odcisk twarzy Wielebnego, na którą, radem rzec, w tych ostatnich chwilach nie powrócił znajomy wyraz (najczystsza zgroza, której świadectwem były uniesione brwi i rozwarłe w kształt litery O usta), malowała się bowiem na niej ostrożna nadzieja, jakby pastor, udając się w owo miejsce nieznane, był kontent, że przynajmniej tutaj zrobił

wszystko, co mógł.  
hans vollman

Pan Vollman chłopca na ręce porwał i do ucieczki się rzucił.  
Wypłynawszy spośród szczątków pancerza na ziemię, demoniczne istoty w pogoń ruszyły.

Pełznąć od dołu, nogi w kostkach niezabawem panu Vollmanowi spętały, runął przeto na kolana, istoty zaś na powrót przybrały kształt pędów, błyskawicznie obrosły mu nogi oraz tułów i aż na ręce jęły się zapuszczać.

Podbiegłem, chwyciłem chłopca i rzuciłem się do ucieczki.  
Zaledwie po paru sekundach prześladowcy mię doścignęli.  
roger bevins iii

Zerwałem się na równe nogi, podbiegłem, chłopię panu Bevinsowi odebrałem, ku kaplicy pomknąłem i zanim pościg znów mię dopędził, ledwiem zdążył dać nura głową naprzód przez północną ścianę.

Znam to miejsce, wymamrotał chłopczyna.  
Ja myślę, odparłem. Wszyscy je znamy.  
Wielu z nas kaplica posłużyła za wrota; lądowisko; ostatnie miejsce, gdzie jeszcze nas brano serio.  
hans vollman

Ziemia wokół kaplicy jęła się poruszać.  
Nawet tu? - zdziwiłem się. - Wokół tego najświętszego miejsca?  
Święte, nieświęte, nam to za jedno, odparł Brytyjczyk.  
Mamy zadanie do wykonania, rzekł Vermontczyk.  
Jak mus, to mus, dodała kobieta.  
Dalejże, wypraw go do nas, zażądał Brytyjczyk.  
Co się odwlecze, to nie uciecze, powiedział Vermontczyk  
Zbieramy siły, postraszył Brytyjczyk.  
Lada chwila wtargniemy, zapowiedziała kobieta.  
I dopiero zobaczysz, rzekł Vermontczyk.  
Wyślij go, warknął ten sepleniący.  
roger bevins iii

Pan Bevins właśnie wniknął przez ścianę, gdy z ciemności we frontowej części kaplicy dobiegło wyraźnie słyszalne męskie chrząknięcie, uzmysławiając nam, że nie jesteśmy tam sami.

Pan Lincoln siedział w pierwszym rzędzie krzeseł, gdzie pewnie zajął był też miejsce podczas wczorajszego nabożeństwa.  
hans vollman

### LXXXIII

Tom kiedyśmy się do bramy zbliżali Prez. na widok kaplicy powiedział że chyba się tam przejdzie posiedzieć chwilę w zaciszu jeżeli się nie przeciwie i wyznał że wciąż czuje przy sobie synka i nie potrafi się uwolnić od tego uczucia ale jak w przybytku modlitwy pomilczy minut parę to może mu się uda.

Nie przyjął ode mnie latarni mówiąc że mu jej nie potraza bo całe życie nieźle widzi po ciemku no i poszedł przez ten sam plac na którym nie dalej jak wczoraj ludzie stali setkami na trawie w mżawce czarno ubrani i pod parasolami przy smutnych dźwiękach organów z kaplicy a jam się do wartowni wrócił i tu właśnie piszę a na dworze bidny konik niecierpliwie kopytami o bruk stuka jakby czuł bliskość jeźdźca i przez to tańczył w miejscu koński taniec przed długą jazdą ku domowi.

Prez. ciągle w kaplicy.

Manders, *op. cit.*

## LXXXIV

Witraże w oknach dawały przyćmiony, lecz mocny odzew bladej poświacie księżyca, co przez nie przebijała.

hans vollman

Niebieskawym odcieniem wszystko nasycając.

roger bevins iii

Po wczorajszym nabożeństwie wyniesiono wszystkie krzesła prócz kilku pierwszych rzędów, a i te w lekkim nieładzie stały.

hans vollman

Pan Lincoln siedział twarzą do ołtarza, z wyciągniętymi nogami, z dłońmi splecionymi na udach i głową zwieszoną.

Zrazum pomyślał, że śpi.

Wnet jednak jakby wyczuł, żeśmy weszli, bo się ocknął i rozejrzał.

roger bevins iii

Zaciekawione postaci z całej posesji wlewały się przez ściany kaplicy niby woda przez groblę nieszczelną.

Wniknij weń, rzekłem do chłopięcia.

hans vollman

Chłopiec dwakroć mrugnął.

I wniknął.

roger bevins iii

Niby to siadając ojcu na kolanach.

hans vollman

Jak to zapewne nieraz czynił w dawnym miejscu.

roger bevins iii

I gdy tak siedzieli jeden w drugim, tę samą przestrzeń fizyczną zajmowali, a dziecko było mniejszym sobowtórem mężczyzny.

hans vollman



## LXXXV

(Ojcze      Jestem tu  
Co mam  
Jeśli każeś mi odejść      Odejdę  
Każeś zostać      Zostanę  
Czekam twej rady      Panie Ojcze)  
Nasłuchiwałem, czy nie odpowie  
Księżyc wezbrał      Wszystko bardziej z      błękit      niało  
W umyśle Ojca nie było nic      nicnicnic  
I nagle  
*Nie mogę uwierzyć, że to wszystko naprawdę*  
Jął wspominać      Przeglądać w pamięci      Pewne sprawy  
O mnie  
    O mej chorobie

*Jakże się nazywała ta niewiasta, której córkę piorun raził. Na łące Ponce'a. Tuż przedtem szły tamtędy, o brzoskwiniach rozmawiając. O różnych odmianach. Która jakie woli. Potem przez wiele nocy widywano, jak snuła się tamtędy, mamrocząc coś o brzoskwiniach, szukając owego punktu w rozmowie, przy którym mogłaby przeskoczyć otchłań czasu i go zawrócić, aby dziewczynę na bok odepchnąć, grom zabójczy na się ściągając.*

*Niezdolna pogodzić się z tym, co ją spotkało, musiała przeżywać rzecz wciąż na nowo.*

*Teraz pojmuję.*

*Tamtego popołudnia przyniósł na tacy pięć kamieni. Zamierzał dociec ich naukowych nazw. Kamienie wciąż leżą na tacy. Na parapecie okna w holu przy jego pokoju. (Chyba nigdy się nie zdobędę na to, żeby je stamtąd zabrać).*

*W porze zmierzchu zastałem go siedzącego na schodach z tacą na kolanach.*

*Oj, marnie się dziś czuję, powiedział.*

*Dotknąłem ręką jego czoła.*

*Płonęło.*

willie lincoln

## LXXXVI

Z gorączki, którą zrazu uznano za objaw przeziębienia, wywiązał się tyfus.  
Leech, *op. cit.*

Tyfus rozwija się wolno i bezlitośnie przez kilka tygodni, uniemożliwiając ofierze trawienie, dziurawiąc jelita, wywołując krwotoki i zapalenie otrzewnej.  
Epstein, *op. cit.*

Oslabiające działanie choroby odbiło się na stanie pacjenta, powodując wysoką gorączkę, biegunkę, bolesne skurcze, wylewy wewnętrzne, wymioty, silne wyczerpanie i omamy.  
Goodwin, *op. cit.*

Nalewka makowo-kamforowa może złagodzić szarpający ból żołądka; omamy mogą zaprowadzić dziecko w zacisze słodkich snów lub wtrącić w labirynt koszmarów.  
Epstein, *op. cit.*

Pacjent był tak rozkojarzony, że nie poznał zrozpaczonej, kochającej twarzy wysokiego mężczyzny, który się nad nim pochylał.  
Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Od pracy dla kraju raz po raz się odrywając, Prezydent krążył po pokoju i oburącz za głowę się chwycił, gdy jego synek jęczał boleśnie.  
Flagg, *op. cit.*

„Dobrotliwe słówka, które są z tejże krwi co wielkie i święte czyny”, nieustannie z ust mu płynęły.  
Harold Holzer, *Lincoln, jakiego znaliśmy*, wypowiedź Elizabeth Todd Grimsley

Lincoln miał niezwykle czułe serce dla każdej cierpiącej istoty, człowieka na równi ze zwierzęciem czy ptakiem.  
Holzer, *op. cit.*, wypowiedź Joshuy Frya Speeda

Odznaczał się wielką dobrocią serca. Umysł pełen miał tkliwej wrażliwości. Był ludzkim niezwykle.  
Rozmówcy Herndona, *op. cit.*, wypowiedź Leonarda Swetta

Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z nikim, kto byłby aż tak gotów bliźnim służyć.  
Holzer, *op. cit.*, wypowiedź Johna H. Littlefielda

Zaiste nie umiał on nienawidzić.  
William H. Herndon i Jesse W. Weik, *Abraham Lincoln. Prawdziwa historia wielkiego życia*

Jakież katusze musiały zadawać człowiekowi tak z natury współczującemu cierpienia ukochanego chłopca!  
Flagg, *op. cit.*

Willie Lincoln miotał się i jęczał, lecz nic nie dawało się zrobić.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincoln, op. cit., wypowiedź kamerdynera D. Strumphorta*

Płonące policzki, rozbiegane oczy i ciche jęki rozpaczy zdawały się świadczyć, że chory przeżywa wielką udrękę wewnętrzną i chciałby się od niej uwolnić, aby znów być tym samym szczęśliwym malcem co przedtem.

*Hohner, op. cit.*

Pościel rozkopawszy, mały Willie rzucił złoto-fioletową narzutę. Leżała zmięta na podłodze.

*Sternlet, op. cit.*

Żółte lamówki, złote frędzle i bordiury nie tylko nie rozpraszały posepności monarszego wystroju, lecz tym bardziej przypominały odwiedzającym, że ciemność i śmierć przychodzą nawet po książęta.

*Epstein, op. cit.*

Oczy zmętniały, a niespokojna szamotanina ustała. Bezruch ten wydał się jeszcze bardziej przerażający. Chłopiec był już zdany tylko na siebie. Nikt nie mógł mu pomóc ni go powstrzymać w tej podróży otchłannej, w którą wedle wszelkich oznak już był wyruszył.

*Hohner, op. cit.*

Pot śmiertelny na czoło mu wystąpił.

*Keckley, op. cit.*

W pokoju Konania tuż przed ustaniem oddechu czas zdaje się zupełnie zatrzymywać.

*Sternlet, op. cit.*

Prezydent mógł tylko stać i patrzeć, z oczami rozszerzonymi rozpaczą, bezsilny wobec bezlitosnego królestwa, które przed jego synem podwoje swe otwierało.

*Hohner, op. cit.*

## LXXXVII

Zaraz, rzekł chłopczyna.

Siedział w swym ojcu, a na jego twarzyczce malował się stropiony wyraz, jakby to, co słyszał, raczej go martwiło, niżli pocieszało.

Wyjdź, rozkazałem mu.

Nie pojmuję, odparł.

Wychodź natychmiast, rzekłem.

hans vollman

## LXXXVIII

Ciało zabalsamowali dwudziestego drugiego lutego doktorzy Brown i Alexander w asyście doktora Wooda.

*Legenda Lincolna*, biuletyn Lincoln Life Foundation, nr 1511, styczeń 1964

Ani Brown, ani Alexander nie brał udziału w balsamowaniu Williego; powierzyli oni to zadanie swemu mistrzowi balsamowania Henry'emu P. Cattellowi.

Thomas J. Craughwell, *Jak ukradziono ciało Lincolna*

Przygotowaniami do pochówku kierował Frank T. Sands. Być może to on doradził dla pewności przykryć pierś trupa zielono-białymi kwiatami rezedy wonnej (*Reseda odorata*), słynącej z przemożnie słodkiego zapachu.

Epstein, *op. cit.*

Zastosowano metodę Sagneta z Paryża.

*Legenda Lincolna*, *op. cit.*

Sagnet był pionierem nowatorskiego zastosowania chlorku cynku.

Steven Wedge i Emily Wedge, *Zatrzymać śmierć. Balsamowanie i kult nieśmiertelności w XIX wieku*

Pięć kwart dwudziestoprocentowego roztworu chlorku cynku wstrzyknięte przez tętnicę podkolanową nie tylko konserwowało włókni na co najmniej dwa lata, lecz także powodowało cudowne przeistoczenie, nadając ciału wygląd świetliście białego marmuru.

Craughwell, *op. cit.*

Metodzie Sagneta przypisywano nadzwyczajne właściwości, twierdząc, jakoby szczątki stawały się dzięki niej „posągową konchą, rzeźbą”.

*Legenda Lincolna*, *op. cit.*

W tym celu stół na krzyżakach ustawiono. W Zielonej Sali zwinięto dywany, a podłogę zabezpieczono wielką kwadratową płachtą płótna namiotowego.

Dr Donovan G. Root, *Asystent lekarza. Wspomnienia doktora D. Roota*

Zabieg nie wymagał spuszczenia krwi z ciała. Chłopca rozebrano, po czym wykonano nacięcie na lewym udzie. Wpuszczono tam chlorek cynku za pomocą metalowej pompki o niewielkiej średnicy. Wszystko odbyło się bez żadnych szczególnych przeszkód. Na miejsce nacięcia trzeba było założyć mały szew, po czym chłopca z powrotem ubrano.

Wedge i Wedge, *op. cit.*

Matka tak z rozpaczy szalała, że to ojciec wybrał ubranie do trumny i w wielkim pudle na kapelusze nam je przysłał.

Root, *op. cit.*

Williego ubrano w codzienny strój: spodnie, kurtkę, białe pończochy i płytke buty. Białe kołnierzyk koszuli wyłożono na wierzch, a mankiety wywinęto na rękawy kurtki.

Wayne C. Temple, *Abraham Lincoln. Od sceptyka do proroka*, za: „Illinois State Journal”, 7 lipca 1871

My, domownicy, za życia chłopca wszyscyśmy nieraz widywali na nim owo szare ubranko.

*Naoczny świadek dziejów. Biały Dom za kadencji Lincolna, op. cit.*, wypowiedź kamerdynera D. Strumphorta

Mały Willie, straszliwie wyniszczony, w jednym ze swoich starych brązowych ubranek, białych skarpetkach i płtykich butach wyglądał jak sponiewierana marionetka.

*Epstein, op. cit.*

Leżał z zamkniętymi oczami, ciemne włosy uczesane miał z dobrze nam znanym przedziałkiem, pobladły w śmiertelnym śnie; poza tym jednak wcale się nie był zmienił, ubrano go bowiem jak na wieczór, a w jednej z rączek złożonych na piersi trzymał bukiecik wonnego kwiecia.

*Willis, op. cit.*

Wszedł Prezydent, aby nań spojrzeć - lecz zbyt się pospieszył. Stół na krzyżakach stał jeszcze. Jenkins właśnie zwijał płachtę. W otwartym puzdrze widać było narzędzia naszego fachu. Pompa wciąż bulgotała. Wszystko to było godne pożałowania. Psuło zamierzone wrażenie. Prezydent wyraźnie zbladł, podziękował nam i z pokoju szparko wyszedł.

*Root, op. cit.*

## **LXXXIX**

Chłopiec siedział jak skamieniały, oczy wytrzeszczając.  
roger bevins iii

## XC

W dniu pogrzebu Williego Lincolna wichry zrywał dachy i darł flagi na strzępy.  
Leech, *op. cit.*

W kondukcje zmierzającym na Dębowe Wzgórze, gdzie mieścił się cmentarz w Georgetown, dwa siwki ciągnęły karawan wiozący chłopczyka, który za życia jedynie szczęścia zaznał. Lecz powóz, w którym siedział znużony, zboląły Prezydent, zaprzężono w karosze.  
Randall, *op. cit.*

Wichura zrywała dachy z wysokich domów, wybijała szyby w oknach, zrównywała z ziemią całe pola namiotów wojskowych, zamieniała błotniste ulice w kanały, a kanały w wartkie strumienie. Porywisty wiatr zniszczył kilka kościołów i wiele lichych chat, powyrywał drzewa, zdarł świetliki z dachu Biblioteki Kongresu; fale załwały Długi Most na Potomaku, prowadzący do Alexandrii.  
Epstein, *op. cit.*

Ojciec jechał przez to rumowisko, patrząc niewidzącym wzrokiem.  
Leech, *op. cit.*

Złożony z mnóstwa powozów kondukt ciągnął się przez tyle kwartałów ulic, że minęło wiele czasu, nim wjechał krętą drogą na pagórki Georgetown i na piękny cmentarz na Dębowym Wzgórzu, zwieńczony dąbrową.  
Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Gdy czoło konduktu dotarło ulicą Waszyngtona do cmentarza na Dębowym Wzgórzu, okazało się, że z racji jego długości trzeba go częściowo poprowadzić przez Bridge Street do High Street. Kondukt wjechał na wzgórze, mijając nowy rezerwar, zwany Górnym, skręcił w Road Street i ruszył na wschód w stronę cmentarza, gdzie ciało Williama Wallace'a Lincolna miało spocząć w grobowcu W.T. Carrola na parceli dwieście dziewięćdziesiątej drugiej.

Mathilde Williams, kustoszka Peabody Library Association, *Esej o śmierci Williego Lincolna*

Wszystko znieruchomiało, a setki ludzi wysiadły z powozów i weszły przez bramę na cmentarz, po czym ruszyły do pięknej gotyckiej kapliczki z czerwonego piaskowca, o oknach z niebieskimi witrażami.  
Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Wtem wyjrzało słońce, wlewając się przez okienka i malując wszystko wewnątrz kaplicy niebieską poświatą jakby z morskiego dna, aż na chwilę umilkły modlitwy, a zebranych zdumienie nabożne ogarnęło.

*Listy zebrane Barbary Smith-Hill z czasu wojny, op. cit.*

Tam też nad trumną pomodlił się jeszcze doktor Gurley.  
Kunhardt i Kunhardt, *op. cit.*

Możemy być przeświadczeni - a zatem pogrążeni w żałobie rodzice i wszystkie dzieci



smutku przeświadczonymi być mogą - że ich nieszczęście nie powstało z prochu, a troska z ziemi raptem nie wyrosła.

Dzieje się to wedle pewnego ładu, z nakazu ich Ojca i Boga. Jakkolwiek tajemniczym może im się zdać owo zrządzenie, On to tak zrządził. A gdy żałobą są okryci, mówi im, jako Pan nasz Jezus Chrystus rzekł onego czasu Uczniom swym, zdumionym zachowaniem Jego: „To, co ninie czynię, jest dla was niepojętym, lecz z czasem pojmiecie”.

Gurley, *op. cit.*

I oto siedział tam, dźwigając w umyśle brzemię, którym świat się zdumiewa, człowiek przygięty do ziemi ciężarem serce i mózg przytłaczającym, chwiejąc się od ciosu, jakim była utrata dziecka!

Willis, *op. cit.*

Prezydent wstał, do trumny podszedł i samotnie nad nią stanął.

Francine Cane, *Mroczne dni*

Napięcie i żałoba w kaplicy wręcz namacalne się zdały.

W ostatnich bezcennych chwilach przy synku spędzonych Prezydent głowę pochylił, myśmy zaś poznać nie umieli, czyli jest rozmodlonym, zapłakany, czy też skonsternowanym.

*Listy zebrane Barbary Smith-Hill z czasu wojny, op. cit.*

Czyjs okrzyk w oddali. Może robotnika, który kierował uprzątnięciem śladów po przejściu burzy szalonej.

Cane, *op. cit.*

Prezydent jakby li tylko siłą woli od trumny się odwrócił, jam zaś sobie uświadomił, jak trudno musi mu być własne dziecko porzucić w miejscu tak ponurym i samotnym, czego przenigdy nie byłby uczynił, za dziecko wciąż żywe odpowiedzialnym będąc.

Z prywatnej korespondencji pana Samuela Pierce'a, za zgodą spadkobierców

Wyglądał, jakby przez kilka ostatnich dni ogromnie się postarzał. Płynęło ku niemu wiele współczujących spojrzeń i modlitw, aż zebrał się w sobie i z kaplicy wyszedł, z miną srodze zgnębiającą, lecz łzom jeszcze nie folgując.

*Listy zebrane Barbary Smith-Hill z czasu wojny, op. cit.*

Podszedłem do Prezydenta i dłoń jego ująwszy, współczucie najszczerze wyraziłem.

Jakby mię nie słuchał.

Na jego twarzy odmalowało się mroczne zdumienie. Willie nie żyje, powiedział, jakby dopiero co doń to dotarło.

Pierce, *op. cit.*

## XCI

Chłopczyna wstał.  
hans vollman

Z pana Lincolna tym samym się wyłaniając.  
roger bevins iii

Ku nam się zwrócił.  
hans vollman

Z wyrazem zgrozy na bladej, krągłej twarzyczce.  
roger bevins iii

Mogę panom coś powiedzieć? - zapytał.  
Jakżem go w owej chwili kochał. Taki był zeń osobliwy ludzik z tą długą kędzierzawą grzywką, pulchnym, sterczącym brzuszkiem i po trosze dorosłym obejściem.  
Nie jesteście chorzy, oświadczył.  
hans vollman

Wszystkich nagle ogarnęła nerwowość i poruszenie.  
roger bevins iii

To coś w mej skrzyni - ciągnął chłopiec - nie ma ze mną nic wspólnego.  
hans vollman

Ten i ów jął chyłkiem zmierzać ku drzwiom.  
roger bevins iii

Chociaż właściwie ma, dodał chłopiec. A raczej miało. Lecz teraz jestem... czymś całkiem osobnym. Od niego. Wyjaśnić tego nie umiem.  
hans vollman

Milcz, rzekł pan Vollman. Bądź łaskaw natychmiast zamilknąć.  
To, co nam dolega, ma swą nazwę, powiedział chłopiec. Nie znacie jej? Czyżbyście naprawdę jej nie znali?  
roger bevins iii

W owej chwili wielu już salwować się ucieczką próbowało, niejaki zator w drzwiach tworząc.  
hans vollman

To doprawdy zdumiewające, ciągnął chłopiec.  
Przestań, rzekł pan Vollman. Przestań, proszę. Dla dobra wszystkich.  
Jesteśmy martwi, oświadczył chłopiec. Wszyscyśmy martwi!  
roger bevins iii

Wtem za nami niby gęsta palba piorunów po trzykroć rozległ się znajomy, lecz jak zawsze mrozący do szpiku kości huk wystrzału, co wtóruje każdemu zjawisku rozświtu materii.

hans vollman

Nie śmiałem spojrzeć za się, aby sprawdzić, kto odszedł.

roger bevins iii

Martwi! - zawołał chłopiec nieomal radośnie, pewnym krokiem na środek wychodząc. -  
Martwi, martwi, martwi! To słowo.

To słowo straszliwe.

hans vollman

Purdy, Bark i Ella Blow objali się o jedno z zamkniętych okien niby ptacy uwięzieni, niebacznymi słowy chłopczyny osłabieni i zachwiani.

roger bevins iii

Verna Blow stała pod oknem, błagając matkę, aby na dół zesza.

hans vollman

Słuchaj, rzekł do chłopca pan Vollman. Mylisz się. Jeśli słowa twe są prawdziwe, kim jest ten, kto je wymawia?

I kto je słyszy? - dodałem.

Kto teraz do cię przemawia? - ciągnął pan Vollman.

I do kogo? - zakończyłem.

roger bevins iii

On jednak uciszyć się nie dawał.

hans vollman

Każdym bezmyślnym zdaniem lata pracy i mozołu wniwecz obracając.

roger bevins iii

Ojciec tak powiedział, rzekł. Powiedział, że nie żyję. Czemu miałby tak mówić, gdyby to prawdą nie było? Dopiero com słyszał, jak to powiedział. A raczej słyszałem, jak wspomniał te własne słowa.

Nie znaleźliśmy na to odpowiedzi.

hans vollman

W rzeczy samej nie posądzaliśmy pana Lincolna (poznawszy go już co nieco), że mógłby skłamać w tak doniosłej sprawie.

Przyznam, że wiadomość ta dała mi do myślenia.

Dopiero wtedy sobie przypomniałem, że w swych tutaj początkach przez czas krótki miał się za...

roger bevins iii

Potem jednak prawdę ujrzałeś. Widząc, że chodzisz, mówisz i myślisz, uznałeś, że musisz zatem być tylko c h o r y m, jakowąś nie znaną wcześniej chorobą dotkniętym, bynajmniej nie...

hans vollman

Dało mi to do myślenia.  
roger bevins iii

Byłem posłuszny, rzekł chłopczyna. A przynajmniej się starałem. I teraz też posłusznym chcę być. Udać się tam, gdzie powinien. Gdzie powinien był pójść od razu. Ojciec już tu nie wróci. I nikogo z nas nie przyjmą z powrotem w dawnym miejscu.

hans vollman

Z radości skakał niby malec z nazbyt pełnym pęcherzem.  
Mówię wam, pójdźcie ze mną, powiedział. Wszyscy! Po cóż tu tkwić? Odejść to błąhostka. Już po nas. Nie widzicie?  
roger bevins iii

Purdy, Bark i Ella Blow w okiennej framudze odeszli z potrójnym, oślepiającym błyskiem rozświtu materii.

hans vollman

Za nimi wnet podążyła Verna Blow, pozostawiona na dole, nie chcąc cierpieć (tak jak w dawnym miejscu długie lata cierpiała) sierocej samotności.

roger bevins iii

Wiedziałem! - krzyknął chłopczyna. - Wiedziałem, że coś jest ze mną nie tak!

hans vollman

Ciało jego pergaminowo cienkim się zdało; wstrząsał nim dygot.  
roger bevins iii

Postać jego (jak zdarza się tym, co mają niebawem odejść) jęła się mienić rozmaitymi kształtami, w których przejawiał się był w dawnym miejscu, jako to purpurowego noworodka, rozwrzeszczanego nagiego niemowlęcia, bobasa o galaretowatej twarzyczce, chłopca gorączkującego na łożu boleści.

hans vollman

I nagle bez widocznej zmiany wzrostu (to jest posturę dziecięcą zachowując) jął przybierać rozmaite niedoszłe postaci (czyli te, których nigdy, niestety, nie miało mu być danym osiągnąć):

Zdenerwowanego młodzieńca w ślubnym fraku.

Nagiego małżonka z kroczem od niedawnej rozkoszy wilgotnym.

Młodego ojca, co usłyszawszy płacz dziecka, z łóżka wyskakuje i świecę zapala.

Pogrążonego w żałobie wdowca o włosach posiwiiałych.

Zgarbionego starca z trąbką przy uchu, siedzącego okrakiem na pieńku i oganiającego się od much.

roger bevins iii

Żadnego z owych przeistoczeń jakby nieświadom.

hans vollman

Owszem, było miło - rzekł ze smutkiem. - Jakże miłe było dawne miejsce. Lecz wrócić tam nie możemy. Ani do dawnych siebie. Możemy tylko uczynić swą powinność.

roger bevins iii

Po czym oddech głęboki wzięwszy, oczy zamknął...

hans vollman

I odszedł.

roger bevins iii

Odszedł chłopczyna.

hans vollman

Ani pan Vollman, ani ja nigdyśmy się jeszcze nie byli znaleźli tak blisko zjawiska rozświtu materii i znajomego, lecz zawsze mrożącego szpik w kościach huku wystrzału, który mu nieodłącznie wtóruje.

roger bevins iii

Towarzyszący temu wybuch zbił nas z nóg.

hans vollman

A gdyśmy z posadzki ku górze zezowali, mignęła nam w ostatniej chwili blada dziecięca twarzyczka, dwie pięstki zaciśnięte w oczekiwaniu i plecki w łuk wygięte.

roger bevins iii

I tyleśmy go widzieli.

hans vollman

Jego szare ubranko jeszcze na mgnienie w powietrzu zawisło.

roger bevins iii

## XCH

Jestem Willie Jestem Willie Jeszcze jestem

Nie jestem

Willie

Nie willie ale jakoś

Mniej

Więcej

Wszystko teraz Wolno Wszystko wolno mi teraz Wszystko wolno

świetleckoświetlecko mi teraz

Wstać z łóżka i zejść na przyjęcie wolno mi

Cukrowe pszczoły jeść wolno

Kawały ciasta też!

I ponczu (nawet z rumem) napić się wolno!

Niech orkiestra głośniej gra!

Huścić się na żyrandolu wolno; poszybować aż pod sufit wolno; podejść do okna i wyrzeć wolno, wolno, wolno!

Przez okno wyfrunąć wolno, wolno (gdy całe roześmiane zgromadzenie gości radośnie za mną podąża, do odlotu mię zachęcając, ależ tak, a jakże) (i mówią o, już mu dużo lepiej, wcale się chorym nie zdawa!)

Wszystko, co mój poprzednik (willie) miał, zwróconym teraz być musi (i z radością jest zwracane), bo nigdy moim (jego) nie było, toteż wcale nie jest odbierane, ani trochę!

Gdy ja (którym należał do williego, lecz już przestałem doń (wyłącznie) należeć) powracam

Do wielkiego piękna.

willie lincoln

### **XCIII**

Pan Lincoln wzdrygnął się na krześle.  
roger bevins iii

Niby uczeń, co raptem ocknął się w klasie.  
hans vollman

Rozejrzał się wokoło.  
roger bevins iii

Jakby przez chwilę niepewny, gdzie jest.  
hans vollman

Potem wstał i ku drzwiom ruszył.  
roger bevins iii

Odejście chłopczyny wolność mu przywróciło.  
hans vollman

Stąpał tak żwawo, że przeniknął przez nas, nimeśmy usunąć się z drogi zdążyli-  
roger bevins iii

I znów przez chwilę go znaleźliśmy.  
hans vollman

## XCIV

Jego synek odszedł; synka już nie było.  
hans vollman

Synek był nigdzie; był wszędzie.  
roger bevins iii

A on sam nie miał tu już nic do roboty.  
hans vollman

Innymi słowy, jego synek był nie bardziej tutaj aniżeli gdziekolwiek indziej. To miejsce nie miało już w sobie nic szczególnego.  
roger bevins iii

Jego dalsza tutaj obecność była błędem, rozczulaniem się nad sobą.  
hans vollman

A to, że w ogóle tu przyjechał, odstępstwem i słabością było.  
roger bevins iii

Umysł jego od niedawna ku smutkowi się skłaniał; ku poczuciu, że świat przepelniony jest smutkiem; że każdy dźwiga jakieś smutku brzemień; każdy cierpi; i jakkolwiek w tym świecie obrałoby się drogę, pamiętać należy, że wszyscy cierpią (nikt nie jest kontent; wszyscy skrzywdzeni, zaniedbani, poniechani, niezrozumiani), trzeba tedy czynić, co w naszej mocy, aby ulżyć wszystkim napotkanym; i że jego terażniejszy smutek nie jest li tylko jego własnym, bynajmniej nie jest, lecz odczuwały go i jeszcze odczują dziesiątki ludzi we wszystkich czasach, w każdym czasie, nie lża go zatem przewlekać ni z nim przesadzać, ponieważ w tym stanie on sam, prezydent Lincoln, nikomu przyjść z pomocą nie zdoła, że zaś z racji swego stanowiska w świecie może ogromnie pomóc lub wielce zaszkodzić, nie powinien trwać w przygnębieniu, jeśli tylko zdoła zeń się otrząsnąć.

hans vollman

Wszyscy byli zasmuceni, teraz albo dawniej, a jeżeli nie, to niebawem posmutnieć mieli.  
roger bevins iii

Naturalną rzeczą koleją.  
hans vollman

Choć na pozór człek każdy innym od reszty się zdawał, w istocie tak nie było.  
roger bevins iii

W samym rdzeniu każdego tkwiło cierpienie; nasz ostateczny cel i kres, a w drodze ku niemu wiele strat nam sądzonych.  
hans vollman

Tak tedy winniśmy wzajem się widzieć.



roger bevins iii

Jako istoty cierpiące, skrępowane...  
hans vollman

Wiekuiście nie dorastające do okoliczności, zbyt skąpym zadośćuczynieniem  
wynagradzane.  
roger bevins iii

Jego współczucie biegło w owej chwili ku wszystkim, dzięki swej ścisłej logice podziały  
wszelkie omackiem przekraczając.  
hans vollman

Odchodził stąd złamany, zadziwiony, spokorniały, umniejszony.  
roger bevins iii

Gotów uwierzyć w każde o tym świecie twierdzenie.  
hans vollman

Poniesioną stratą ze swych sztywnych ram wytrącony.  
roger bevins iii

I dzięki temu potężny.  
hans vollman

Okrojony, zniszczony, przebudowany.  
roger bevins iii

Litościwy, cierpliwy, olśniony.  
hans vollman

A zarazem...  
roger bevins iii

A zarazem toczył wojnę. I chociaż ci, z którymi wojował, także byli cierpiącymi,  
skrępowanymi istotami, musiał...  
hans vollman

Ich zgładzić.  
roger bevins iii

Zabić, pozbawić źródeł utrzymania i zagnać z powrotem na łono wspólnoty.  
hans vollman

Musiał (a myśmy także czuli się zobowiązani) uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby  
wobec tylu zabitych i rannych żołnierzy, którzy spoczywali w szczerym polu jak kraj długi i  
szeroki, a chwasty wdzierały im się w torsy, oczy mieli wydziobane lub rozplynięte, zęby

ohydnie wyszczerzone, wokół nich zaś leżały porzucane, deszczem zmoczone/krwią nasiąknięte/śniegiem oskorupione listy, otóż musieliśmy zadbać, aby podczas marszu ową trudną drogą, na którą dość dalekośmy się zapędzili, nie zbłądzić bardziej niżli dotąd (zbłądziliśmy wszak już srodze), a błędząc, nie zniszczyć już więcej tych chłopców, z których każdy był kiedyś komuś drogi.

*Nieniszcz już, nieniszcz już*, kołatało nam w głowach, *staraj się nieniszcz już*.

Żałobę naszą przewyciężyć należało; nie pozwolić, aby nami zawładnęła, ręce wiążąc i coraz głębiej w rów nas zapędzając.

roger bevins iii

Musieliśmy tedy gwoli największego dobra czym prędzej sprawę zakończyć i...

hans vollman

Zabijać.

roger bevins iii

Zabijać skuteczniej.

hans vollman

Środków nie szczędząc.

roger bevins iii

Krew przelewać.

hans vollman

Wroga wykrwawiać, aż rozum w nim się odrodzi.

roger bevins iii

Najszybszy sposób zakończenia sprawy (a zatem najlitościwszy) mógł być zarazem najkrwawszym.

hans vollman

Aby cierpieniu położyć kres, należało cierpień przysporzyć.

roger bevins iii

Byliśmy upokorzeni, zagubieni, wyśmiewani, niemal ze wszystkiego wyzuci, nie wiodło nam się i musieliśmy coś przedsięwziąć, aby własny upadek powstrzymać, siebie sobie przywracając.

hans vollman

Musieliśmy wygrać. Nasza sprawa musiała zwyciężyć.

roger bevins iii

Na myśl o zabijaniu serce w nim zamarło.

hans vollman

Czy sprawa była tego warta. Wartą zabijania. Na pozór *czysto* praktyczną się zdawała

(szło niby tylko o Unię), lecz przy wnikliwszym spojrzeniu okazywała się czymś więcej. Jak ludzie powinni żyć? Jak żyć mogą? Przypomniawszy sobie chłopca, którym niegdyś był (kryjomo przed Ojcem czytywał Bunyana; hodował króliki na sprzedaż za parę miedziaków; stał w mieście, gdy codzienny pochód chudeuszy cedził przez zęby twarde słowa, głodem podyktowane; musiał uskakiwać z drogi jakiemuś szczęśliwcowi, co powozem wesoło przejeżdżał), dziwołaga i odmienca we własnym odczuciu (ale też przemyślnego i nad innych wywyższonego), długonogiego, wiecznie coś potracającego, przezywanego (Chamem Lincolnem, Pajakiem, Małpachamem, Wielkoludem), lecz w cichości duszy przekonanego, że coś wreszcie kiedyś osiągnie. A gdy już wyruszył drogą do celu, stanęła ona przed nim otworem: był bystry, ubiany i za niezdarność, i za zawziętość dążeń, a brzoskwiniowe sady, stogi siana, dziewczęta i prastare dzikie łągi przywodziły go swym pięknem nieomal do szaleństwa, leniwe stada dziwnych zwierząt laziły nad mętnymi rzekami, przez które można było się przeprawić jedynie dzięki staremu wioślarzowi pustelnikowi, mówiącemu językiem ledwie do angielskiego podobnym, a wszystko to, cała ta obfitość była dla każdego, każdy mógł z niej czerpać, jakby stworzono ją wyłącznie po to, aby dać człowiekowi lekcję wolności, nauczyć go, że m o ż e być wolnym, że każdy człowiek, każdy wolny biały człowiek, choćby pochodził z takich nizin jak on (z chaty Cane'ów dobiegały odgłosy rui, więc zajrzawszy przez otwarte drzwi, zobaczył dwie pary stóp w skarpetkach i ledwo drepczące dziecko, które dla złapania równowagi chwyciło się stopy jednego z dwojga rują ogarniętych), nawet młodzieniec, który widywał takie sceny i żył wśród takich ludzi, może wznieść się aż tak wysoko, aż tam, dokąd jego samego ciągnęło.

A z drugiej strony: królewęża, które wyrwały człowiekowi jabłko z ręki, twierdząc, że jest ich własnego chowu, chociaż wszystko, co miały, samo im się trafiło lub niesprawiedliwie to zdobyły (aczkolwiek niesprawiedliwość owa polegała może jedynie na tym, że urodziły się silniejszymi, sprytniejszymi, pełniejszymi werwy), a zawładnąwszy jabłkiem, zjadały je z dumą, jakby w mniemaniu, że nie tylko je wyhodowały, ale też samą ideę owocu wynalazły, cenę zaś tego kłamstwa płaciły serca maluczkich (w Sangamon pan Bellway przepędzał swoje dzieci z ganku, ilekroć on i Ojciec przetaszczali tamtędy wór ziarna, obwisły między nimi).

Za morzem opasli królowie patrzyli z uciechą, jak coś, co miało tak świetny początek, wykoleja się (a na Południu tak samo przyglądali się podobni królowie), jeśli zaś z szyn wypadnie, na zawsze też wykolei się cała sprawa, a gdyby kto zechciał kiedy znów ją podjąć, rzekną (i słusznie): pospólstwo nie umie samo się rządzić.

Otóż pospólstwo umie. Pospólstwo zarządzi.

A on będzie przewodził pospólstwu w rządzeniu.

I sprawa zwycięży.

roger bevins iii

Nasz Willie nie chciałby, aby okowy czezej, daremnej żałoby w dążeniu tym nas hamowały.

hans vollman

W naszym umyśle chłopię stało na szczycie wzgórza, wesoło nam machając, aby wzbudzić w nas męstwo i wolę rozstrzygnięcia sprawy.

roger bevins iii

Ale (tu bowiem ściągaliśmy wodze wyobraźni) czy nie były to tylko pobożne życzenia? Czy to nie my sami, pragnąc nabrać sił przed dalszym trudem, próbowaliśmy wydebić od naszego chłopca błogosławieństwo, którego rzetelności nijak sprawdzić nie mogliśmy?

Tak.  
Tośmy właśnie czynili.  
hans vollman

Musieliśmy wszelako tak czynić, i to z wiarą, w przeciwnym bowiem razie czekała nas  
zguba.

roger bevins iii

Trzeba nam było wszak podążać dalej.  
roger bevins iii

Ujrzeliśmy to wszystko w owej sekundzie, gdy pan Lincoln przez nas przenikał.  
hans vollman

Wnet potem wyszedł za drzwi w noc.  
roger bevins iii

## XCV

My, czarni, nie weszliśmy za białymi do kościoła.

Wiedzieliśmy z doświadczenia, że nie bardzo lubią, jak do ich kościołów wchodzimy. Chyba że dziecko na ręce trzeba wziąć albo jakiegoś starca podeprzeć czy ręką powachlować.

I nagle ten wysoki biały wyszedł drzwiami prosto na mnie.

Nie ustąpiwszy placu, kiedy przeze mnie przeniakał, wyrozumiałam coś jakby *Wytrwam, wytrwam. Z Bożą pomocą. Lubo zabijanie musi chyba mocno się klócić z wolą Jego. Jak by On to wszystko osądził? Już nam wszak pokazał. Mógłby położyć tamę. Ale nie położył. W Bogu widzieć musimy nie tyle Kogoś (nieprzerwanie istniejącego rozdawcę nagród), ile COŚ -wielką nieogarnioną ludzkim rozumem bestię, która czegoś od nas chce, my zaś musimy jej ofiarować, czego żąda, a zależy od nas jedynie to, w jakim duchu ofiarę tę złożymy; tudzież ostateczny jej cel. A jakiemu celowi owo COŚ chciałoby, abyśmy się przysłużyli? Nie wiem. W tej oto chwili wydaje się, że ląknie ONO krwi, więcej krwi, i zmiany stanu rzeczy z obecnego na stan przezeń pożądanym. Jaki jednak miałby on być, tego także nie wiem i cierpliwie czekam, aż się dowiem, podczas gdy owe trzy tysiące poległych wpatrują się we mnie plugawym wzrokiem i niecierpliwie wymachując martwymi dłońmi, pytają: Do jakiegoż to sprawa ta może jeszcze wieść celu, który by ofiarę naszą straszliwą uczynił godn...*

I wtedy wyszedł ze mnie, a mi ulżyło.

Przy bramie stał pan Havens jak raz na drodze temu białemu, jak i jam przedtem stała, lecz zrobił coś, na com ani się ważyła, anim tego pragnęła.

pani francis hodge

## XCVI

Sam nie wiem, co mię naszło. W dawnym miejscu nigdy nie był popędliwy. Bo i po cóż miałbym być? Pan Conner, jego zacna żona, wszystkie dzieci i wnuki były dla mnie jak własna rodzina. Nigdy mię z żoną ani z dziećmi nie rozdzielili. Jadaliśmy do syta i wcale nas nie bito. Dostaliśmy żółty domek, mały wprawdzie, lecz ładny. Było to w sumie szczęśliwe położenie, wzięwszy wszystko pod uwagę.

Więc nie wiem, co mię naszło.

Gdy ten dżentelmen przeze mnie przenikał, poczułem łączące mię z nim powinowactwo.

I postanowiłem chwilę zabawić.

W nim.

Sunęliśmy więc razem, ja z nim krok w krok. Nie było to łatwe. Nogi miał wszak długie. Wyciągałem swoje, aby za nim nadążyć, i całym się wydłużył, aż dorównałem mu wzrostem, a gdy wyszliśmy za bramę i na koń wsiedli, ten dreszcz podniety (wybaczcie), że znów jadę konno, był całkiem przemożny, więc... zostałem. W tamtym. Cóż to była za podnieta! Robić, co chcę. Bez niczyjego rozkazu, nie prosząc przyzwolenia. Jakby nagle, by tak rzec, uleciał sufit domu, w którym całe życie przemieszkalem. W jednej chwili poznałem rozległe połacie Indiany tudzież Illinois (całe miasta, ulica za ulicą, i różne formy gościnności, w poszczególnych domach tamtejszych przyjęte, chociaż nigdy w żadnym z nich nie był) i w końcu poczułem, że ten jegomość... o mój Boże, nawet powiedzieć nie śmiem, jaki urząd (tak mi się zdało) sprawuje. Zdjął mię lęk, że w kimś tak wysoko postawionym przebywam. Było mi w nim jednakowoż wygodnie. I nagle zapragnąłem, aby i on mię poznał. Moje życie. Aby poznał nas. Nasz los. Nie wiem, skąd wzięło się to uczucie, ale mną owładnęło. On zaś nie czuł do mnie niechęci, rzekłbym. A raczej czuł ją dawniej i wciąż w nim pozostał jej osad, lecz uważnie ją zbadawszy i na światło wydobywszy, sprawił, że nieco zmurszała. Był otwartą księgą. Coraz otwartzszą. Która dopiero co troszkę szerzej się otwarła. Pod wpływem smutku. I pod naszym. Nas wszystkich, zarówno czarnych, jak i białych, którzyśmy tak niedawno tłumnie w nim gościli. Zdało mi się, że zdarzenie owo pozostawiło w nim pewien ślad. I to wyraźny. Zasmuciło go. Jeszcze bardziej. Myśmy go zasmucili. Wszyscy, tak biali, jak i czarni, zasmuciliśmy go jeszcze bardziej swym smutkiem. A choć może dziwnym się to wyda, on z kolei swym smutkiem mię jeszcze bardziej zasmucał, więc pomyślałem, No cóż, łaskawy panie, skoro już smutkiem wypadło nam się zajmować, mam i ja pewien smutek, o którym taki mocarz jak pan chciałby się może dowiedzieć. Jąłem myśleć jak najusilniej o pani Hodge, o Elsonie i Litzie, i o wszystkim, com przez długie lata w naszym dole spędzone zasłyszał o ich licznych troskach i upokorzeniach, i wspomniałem jeszcze kilkoro z naszej rasy, których niegdyś znałem i kochałem (Matkę; żonę; dzieci nasze - Paula, Timothy'ego i Glorię; Rance'a P. i jego siostrę Bee; czworo małych Cushmanów), wraz ze wszystkimi ich cierpieniami, i myślałem sobie przy tym, Łaskawy panie, jeśliś jest tak potężnym, jak mniemam, i tak nam przychylnym, jak mam powody sądzić, spróbuj zrobić coś dla nas, abyśmy mogli coś zrobić sami dla siebie. Jesteśmy gotowi, łaskawy panie; jesteśmy gniewu pełni, uzdolnieni, a nadzieje nasze tak są wężowo sprężone, że równie dobrze mogą zabić, jak zbawić: wyzwól nas, łaskawy panie, rozwiąż nam ręce, abyśmy wreszcie pokazali, na co nas stać.

thomas havens

## XCVII

Elson i Litzie stali przy drzwiach kaplicy, podsłuchując.  
A teraz podbiegli szybkołusem, za ręce się trzymając.  
Ten biały chłopczyk..zaczęła Litzie.  
Mówi, żeśmy martwi, dokończył Elson.  
pani francis hodge

Boże, westchnęła pani Hodge.  
elson farwell

Przez wszystkie te lata w naszym dole hołubiłam przekonanie, że Annalise i Benjamin, moje dzieci, zdołają kiedyś...

Niby co? Odnaleźć mię? Kiedyś mię tu odnaleźć? Tutaj? Śmiechu warte.

Nagle zrozumiałam, jak bardzo to śmiechu warte. O, ja biedna.

O, ja biedna, tyle lat.

Nigdy mię tu nie odnajdą. Zestarzeją się, pomrą i spoczną t a m, w dalekich stronach, w które ich zabrano (ode mnie). Nie przyjdą tu. Czemu zresztą miałabym tego chcieć?

Owszem, jakoś chciałam, dopókim czekała, wierząc, że tylko tu p r z y s t a n ę ł a. Lecz teraz, odkąd...

Odkąd wiem, że nie żyję, chcę już tylko, żeby poszli tam, dokąd pójść p o w i n n i. Prosto tam. Gdziekolwiek to jest. A skorom już to poczuła, ujrzałam, że ja też powinnam tam odejść.

Spojrzałam na Litzie po dawnemu, jakbym pytała: i co panna na to?

Pójdę za panią, pani Hodge, odparła Litzie. Jak za matką rodzoną.

pani francis hodge

A swoją drogą szkoda.  
Ledwom głos odzyskała, a tu pora odejść.  
litzie wright

Elson? - zagadnęłam.

Nie, powiedział. Jeżeli takie rzeczy jak dobroć, braterstwo i odkupienie istnieją i są osiągalne, muszą czasem wymagać rozlewu krwi, odwetu i zastraszenia dawnego sprawcy, aż się więc zacnie z trwogi, pokonania bezdusznego prześladowcy. Zamierzam pozostać. Tutaj. Dopóki pomsty nie wezmę. Na kimś.

(Taki zeń kochany chłopak. Taki dumny. Tak dramatyczna postać).

Przecieśmy martwi, powiedziałam.

Jestem tu, odparł. O to ja.

Nic więcej nie mówiłam, bo skoro postanowił zostać, nie chciałam mu mieszać szyków.

Każdy z nas musi postąpić, jak sam chce.

Gotowaś? - spytałam Litzie.

A ona jakby na pamiątkę dawnych czasów obojgiem oczu mrugnęła, co zawsze znaczyło:

Tak.

pani francis hodge

## XCVIII

Drogi Bracie, jeszcze tylko postscriptum - napisawszy powyższe, do łóżka się położyła - Po jakimś czasie zbudził mnie stukot końskich kopyt - wezwałam Grace, która pomogła mi się w fotelu na kółkach i do okna go przysunęła - Odjeżdżał zaś nie kto inny, lecz pan Lincoln we własnej osobie - przysięgam - Odjeżdżając, w siodle trzymał się pochyło, znużony wielce - Okno otworzywszy, krzyknęłam z góry do „starego pocziwego Mandersa”, aby się upewnić - W rzeczy samej był to Prez. - Jakże serce musi go boleć, skoro przyjechał tu w tej zimnej i okrutnej porze nocy?

Muszę teraz prosić Grace, żeby mnie z powrotem do łóżka położyła - Staram się wzywać ją tylko w razie konieczności, krzywo bowiem na mnie ostatnimi czasy patrzy — Wiecznie w niehumorze, nigdy już ze mną nie żartuje - jakby miała mnie po uszy, no i nie dziwota - żadna to przyjemność być na każde skinienie kogoś tak jak ja unieruchomionego - i nie mogę mieć jej za złe, ile że ostatnio częściej miewam bóle, więc i mój nastrój nierzadko zwarzonym bywa — Grace nie jest jednak mą przyjaciółką - O czym raz po raz muszę sobie przypominać - Ty i ja najęliśmy ją do opieki nade mną - I NIC WIĘCEJ.

Kiedy wrócisz, Bracie? Wiem, że podróżujesz we własnych sprawach - lecz trudno mi uwierzyć, że samotność Ci nie doskwiera - A możeś oczarował jaką damę z Prerii - Twa siostra jest zmęczoną, samotną i chorą - Czy mnie nie kochasz, nie pragniesz już ujrzeć? - Wróc, proszę - Nie chcę Cię niepokoić - Nie piszę tego wszystkiego, aby Cię gwałtem do powrotu zmusić, lecz ostatnio tak źle się czuję. Słabam, myśli me błędzą i jeść nie mogę - Czy nie powinniśmy być razem, skoro się wzajem kochamy?

Wróc, proszę. Bardzo za Tobą tęsknię. I nie mam tu żadnego prawdziwego przyjaciela.

Twa kochająca siostra,

Isabelle.

*Wojenny Waszyngton. Listy Isabelle Perkins z czasów wojny domowej, op. cit.*



## XCIX

Gdy Prez. z kaplicy wychynął, w te pędym wypadł z wartowni bramę roztworzyć Prez. wyszedł bez słowa jakby roztargniony rękę wyciągnął i przedramię serdecznie mi uściskał na konika wskoczył ażem myślał że oba razem na bok gruchną ale konik mężnie ustał i kopytami stukocząc wnet z godnością niemałą pobiegł jakby chciał chronić dobre imię jeźdźca chociaż Prez. prawie włożył stopami po ziemi i powiadam ci Tom że gdy odjeżdżali R Street w zimną noc ta szlachetna szkapa tak dumnie stąpała jakby dźwigała na grzbiecie samego Herkulesa albo G. Waszyngtona.

Kiedym bramę z powrotem zamykał poczułem Tom że ktoś na mnie patrzy więc głowę zadarłszy zobaczyłem w oknie naszą „tajemniczą pannę” z przeciwka która właśnie na swym stanowisku wiernie siedziała i tak siedząc okno rzeczony ze sporym trudem do góry odsunawszy do mnie przez drogę zawołała pytając czy to w rzeczy samej Prez. dopiero co był odjechał na com odkrzyknął że owszem i posmutniałem Tom znałem ją bowiem wszak a przynajmniej widywałem kiedy będąc jeszcze małą chodziła a nawet biegała z resztą dzieciarni a teraz chyba lat trzydziestu dobiega więcem życzliwością wiedziony zawołał żeby okno zamknęła bo ziąbem wieje a ona ponoć niedomaga i za troskę mi dziękując rzekła smutne to nieprawdaż że taki los spotkał prezydenckiego syna a ja na to że doprawdy bardzo smutne na co ona że dziecko zapewne jest już w lepszym świecie a ja że taką też mam nadzieję i o to właśnie się modłę i głosy nasze zawisły jakbyśmy byli ostatnimi żywymi duszami na ziemi aż powiedziałem dobranoc i ona także życzyła mi dobrej nocy Po czym okno zasunęła i niezabawem światło u niej zgasło.

Manders, *op. cit.*

## C

Wszczął się gromadny exodus z kaplicy, gdy cała nasza kohorta pierzchać jęła przez wszystkie cztery ściany naraz.

hans vollman

Wielu uległo, w ruchu trwając.

roger bevins iii

Pan Bevins i ja wybiegliśmy ramię w ramię, podczas gdy atramentowo czarną noc wokół kaplicy liczne zjawiska rozświtu materii rozjaśniały.

hans vollman

Wszystkim zawładnął chaos.

roger bevins iii

Jasna sukienka pięknej zgwałconej Mulatki spłynęła z góry, krwawymi odciskami dłoni na biodrach splamiona.

hans vollman

Za nią podążyła obszerna, próżna już suknia pani Hodge.

roger bevins iii

Powietrze pełne było klątw, krzyków i świszczącego poszumu, który brał się stąd, że nasi drodzy przyjaciele przez chaszczce i nisko nawisie gałęzie drzew rozpaczliwie uciekali.

hans vollman

Kilkorgiem owładnęło tak głębokie zwątpienie, że ruch wszelki niemożliwym dla nich się stał.

roger bevins iii

Ze znużeniem opierali się o kamienne płyty, z trudem pełzli ścieżkami, leżeli bezwładni i jakby złamani na ławkach — rzekłbyś, z nieba spadli.

hans vollman

Wielu uległo, w owych nieprzystojnych pozach spoczywając.

roger bevins iii

I oto z drugiego końca trawnika wokół kaplicy natarł śmiałą szarżą porucznik Stone.

hans vollman

Zmierzając prosto ku panu Farwellowi.

roger bevins iii

Wynoście mi się stąd, a miejsca tego Świętego więcej mi nie Brukaj, SMOLUCHU.  
Spośród Wszystkich obecnych bawię w tym Miejscu najdłużej (spędziłem był tu bowiem  
Nocy z górą DWADZIEŚCIA TYSIĘCY, Liczba zaś Dusz tutaj przybyłych, które

Tchórzostwem i Chwiejnością wiedzione przez ten czas odeszły, wedle najświeższej mej rachuby do DZIEWIĘCIUSET się zbliża), któż tedy, jeśli nie ja, miałby tutaj Rządzić, niech mię więc Dyabli do PIEKIEŁ porwą, gdybym pozwolił jakowemuś SMOLUCHOWI w chaosie niniejszym do leniuchowania sposobność naleźć!

porucznik cecil stone

Konfuzja niedawna nawet w Poruczniku niezmiernie zazwyczaj zadufanie w sobie widocznie podkopała, skoro podczas diatryby tej wygłaszania nie tylko nie urósł ni o piędź, lecz zdawał się wręcz kurczyć nieco.

roger bevins iii

Porucznik kazał panu Farwellowi wracać do roboty, to jest podjąć tę czy ową czynność, którą mu był zlecił ten czy ów spośród białych, na co pan Farwell za kołnierz go chwycił i bez ceregieli na wznak powalił.

hans vollman

Porucznik zapytał ostrym tonem, jak pan Farwell śmie tknąć w gniewie białego człowieka, i rozkazał mu, aby go z ziemi podniósł. Tamten jednak odmówił, toteż Porucznik w pierś go kopnął, wstecz odrzucając, po czym na równe nogi się zerwał, na Farwellu okrakiem siadł i pięściami po głowie jął go okładać. Zdesperowany Farwell począł omackiem szukać na ścieżce kamienia, a znalazłszy, Porucznika w ciemię nim uderzył, na ziemię obalając i pieróg z głowy strącając. Następnie wraził mu kolano w pierś i tymże kamieniem czaszkę na płask roztrzaskał, po czym odszedł na bok, zataczając się, na ziemi siadł niepokieszony i w dłoniach twarz ukrywszy, zaszlochał.

roger bevins iii

Głowa Porucznika wrędcie kształt pierwotny odzyskała, a on sam ożył i płaczącego pana Farwella zoczywszy, warknął, że widok zapłakanego SMOLUCHA to wielka dlań nowość, płacz bowiem uczuć ludzkich wymaga, i znów kazał panu Farwellowi wracać do roboty, to jest podjąć tę czy ową czynność, którą mu był zlecił ten czy ów spośród białych, na co pan Farwell tak jak wprzód za kołnierz go chwycił i na wznak powalił, a Porucznik raz jeszcze zapytał, jak pan Farwell śmie tknąć w gniewie białego człowieka, i rozkazał mu, aby go z ziemi podniósł. Tamten jednak odmówił, toteż Porucznik znowu w pierś go kopnął...

hans vollman

I tam dalej.

roger bevins iii

Trwało to jeszcze, gdyśmy stamtąd pierzchali.

hans vollman

Nic nie wskazywało, że przestaną.

roger bevins iii

Obaj walczyli tak zajadle, jakby gotowi byli to czynić przez wieczność całą.

hans vollman

Chyba żeby sama rzeczywistość jakiemś fundamentalnemu i niewyobrażalnemu  
przeistoczeniu ulec miała.  
roger bevins iii

## CI

Pan Vollman i ja w desperacji szybowniczym biegiem ku swym lazaretom pomknęliśmy.  
roger bevins iii

Wstrząśnięci.  
hans vollman

Nawet nami bowiem wstrząsnęło.  
roger bevins iii

Nawet panem Bevinsem i mną.  
hans vollman

Cóż nam trzeba czynić, bracie? - zawołałem.  
Oto my, odkrzyknął pan Vollman. Spójrz na mnie. Otom ja. Któż to... któż do cię przemawia? I kto słyszy me słowa? Byliśmy jednakowoż wstrząśnięci.  
roger bevins iii

Napotkaliśmy bezecnych Baronów, którzy padli byli społem na szpitalny wzgórek Constantine'a (niepozorną płytę piaskowcową z pękniętym narożnikiem, ptasimi odchodami od dziesiątków lat plugawioną...  
hans vollman

Ktoś bowiem drzewko niegdyś nad nią posadził, aby Constantine'a przed słońcem osłonić).  
roger bevins iii

Wstawaj, wstawaj.  
Żadnych, k..wa, popasów. Żadnego, k..wa, myślenia.  
eddie baron

Przecie ja nie myślę. Nie myślę ni ch..a... Tylko mi źle.  
betsy baron

Patrz na mnie, patrz się na mnie.  
Pamiętasz, jak mieszkalim na tym k....sko pięknym polu? Z dziećmi? Na tej, eee, rozległej łące?  
W namiocie? Pamiętasz? Kiedy ten j...ny Donovan wyrzucił nas z tej za....ej dziury nad rzeką? To były czasy, no nie?  
eddie baron

To nie była, k...a, żadna rozległa łąka! Ty g..ju! Wszystkie najz.....sze męty z całego świata przychodziły tam s..ć i swoje p.....ne śmieci wyrzucać!  
betsy baron

Ale jaki za to mielim widok! Mało które dziecko ma takie widoki. Starczało wyjrzeć spod

klapy namiotu i już widać było ten j...ny Biały Dom!

eddie baron

Ale pierw musielim obejść naobkoło to p.....ne wysypisko. A po drodze uważać na wielkie p.....ne szczury. I na tę p.....ną bandę Prusaków, co tam mieszkali i każdą jedną probowali obmacać.

betsy baron

Ale ciebie nigdy nie macali.

eddie baron

G...o prawda! Jednemu ch...wi musiałam syznąć na girę łopatę rozżarzonych węgli! Żeby się wreszcie odczepił! Wlazł prosto do j.....go namiotu! Przy j....ych dzieciach! Nie dziwota, że nigdy nas nie odwiedzają! Jesteśmy tu już... jak długo? Kawał czasu, k..wa. A oni ani razu nie przyszli.

betsy baron

Trzniać ich! No nie? Te j...ne źmije wyrodne ni ch..a nie mają prawa ni ch..a mieć nam za złe, dopóki tak jak my nie zeżrą k.....ej beczki soli, a jeszcze nie zeżarły ani pół k.....ej beczki.

eddie baron

Nieprawda, Eddie.

To były nasze dzieci.

A myśmy s.....li sprawę.

betsy baron

Żadnego, k..wa, smutnego p.....nia...

I żadnych, k..wa, popasów. Żadnego, k..wa, myślenia.

A wiesz dlaczego?

Dlatego bo chcemy tu zostać! Mamy jeszcze od ch..a spraw do obłania, no nie?

eddie baron

Eddie.

Przecie my, k..wa, nie żyjemy.

Kocham cię, ch..u j...ny.

betsy baron

Nie.

Nie nie nie. Nie rób mi tego. Nie rób.

Zostań się ze mną, k..wa, dzidziu.

eddie baron

Ciało jej pergaminowo cienkim się stało. Wstrząsnęły nią drgawki. Cała postać jęła się mienić rozmaitymi kształtami, w których przejawiała się była w dawnym miejscu (zbyt rozpustnymi, wynędzniałymi i wstydem okrywającymi, aby wspomnieć o nich wypadało), potem zaś przybierać poczęła rozmaite przyszłe kształty, których nigdy, niestety, nie miało być jej danym osiągnąć: troskliwej matki; uważnej piekarki, chleby i ciasta zagniatającej; trzeźwej

uczestniczki nabożeństw; szacownej babci, łagodnie się wysławiającej wśród gromadki wielbiącego ją, czysto utrzymanego drobiazgu.

roger bevins iii

Wtem rozległ się znajomy, lecz zawsze mrozący do szpiku kości huk wystrzału, który wtóruje każdemu zjawisku rozświtu materii.

hans vollman

I znikła.

roger bevins iii

Jej znoszone, niewonne odzienie spadło w częściach na ziemię wokół nas.

hans vollman

Stekiem wyzwisk co najplugawszych ryknąwszy, pan Baron także uległ, acz z ociąganiem, przymuszony niepojęcie silnym afektem do owej damy, jego rozświt materii nie pałał wszelako jak u wszystkich promienną bielą, lecz był buroszary.

roger bevins iii

Odzienie jego spadło w częściach na ziemię wokół nas, cuchnąc tytoniem, potem i whisky.

hans vollman

Spadł też kupon z wyścigów i nieprzystojny rysunek.

roger bevins iii

## CII

Ujrzałem nagle, że pan Bevins niezdrowo wygląda.  
Ciało jego pergaminowo cienkim się stało. Wstrząsnęły nim drgawki.  
hans vollman

Napłynęło tyle wspomnień.  
Wspomniałem pewien poranek. Dnia mej...  
Poranek, gdym...  
Ujrzał Gilberta. W piekarni.  
Tak. No właśnie.  
Mój Boże.

Był... ach, jakże to boli! Był z kimś. Z mężczyzną. Ciemnowłosym, wysokim. O szerokiej piersi. Szepnął mu coś i obaj się roześmiali. Jakby ze mnie. Świat się spłaszczył. Przypominał dekorację z rozmysłem zbudowaną, aby na jej tle opowiedziano pewien szczególny dowcip we mnie wymierzony: o tym, że sążone mi było urodzić się z tą moją skłonnością, spotkać Gilberta, pokochać go, lecz nie móc z nim być (pragnął bowiem „żyć godziwie”), po czym następowała puenta: ja w drzwiach piekarni, z bochnem w rękę, załamany, a tamci dwaj nadchodzą, przystają - szept, śmiech - i mijają mię z obu stron, a nowy znajomy (jakże urodziwy) brew unosi, jakby pytał: Te n? To o n?

A potem kolejna zabójcza salwa śmiechu.  
Pospieszyłem do domu i...  
Rzecz ową uczyniłem.  
roger bevins iii

Pan Bevins padł na kolana.

Jego postać jęła się mienić rozmaitymi kształtami, w których przejawiał się był w dawnym miejscu:

Zniewieściałego, lecz uczuciowego chłopca, rozpieszczanego przez siostr liczne grono;  
Pilnego ucznia zgarbionego nad tabliczką mnożenia;

Nagiego młodzieńca w wozowni, który pochylał się, aby czule pocałować wspomnianego Gilberta;

Dobrego syna, pozującego między rodzicami do dagero-typu w dniu swych urodzin;  
Czerwonolicego, zrozpaczonego straceńca o twarzy łzami zalanej, z rzeźnickim nożem w rękę i porcelanową misą na kolanach.

Pamiętasz? - zapytał. - Kiedym tu przybył? Okazałeś mi tyle dobroci. Uspokoileś mię. Namówiłeś do pozostania. Pamiętasz?

Rad byłem ci się przysłużyć, odrzekłem.

Właśnie mi się coś jeszcze przypomniało, dodał zdumionym tonem. Przyszła tu raz z wizytą twa żona.

hans vollman

Nie przypominam sobie żadnego takiego zdarzenia, sztywno odparł pan Vollman. Żona jest zdania, że zdrowieniu memu najbardziej sprzyja czasowa samotność, woli mię więc nie odwiedzać.

Przyjacielu, rzekłem. Dość już tego. Pomówmy szczerze. Przypomina mi się wiele rzeczy. A pewnie i tobie też.



Nic a nic, odrzekł pan Vollman.

Przyszła tu pulchna, promienna niewiasta, powiedziałem. Może z rok temu. Wspomniała o wielu rzeczach, o pomyślnych zdarzeniach z życia swego (licznych dzieciach, mężu znakomitym), wyrażając ci wdzięczność - sam pomyśl, właśnie tobie wdzięczną była! - za dobroć w młodych latach od cię zaznaną, dzięki której mogła, wedle jej własnych słów: „temu, kto okazał się życia mego miłością największą, oddać się, niezbrukana będąc”. Podziękowała ci też za to, żeś ją „na drogę miłości wprowadził” i nigdy (ni razu) nie był dla niej przykrym, lecz zawsze łagodnym, kochającym i troskliwym. „Jak przyjaciel szczery”, dodała.

Panu Vollmanowi łzy po twarzy się potoczyły.

Uczyła ci ten zaszczyt, mój panie, że przyszła cię pożegnać i stojąc nad twym grobem, wyjaśniła, iż nie będzie mogła spocząć u twego boku, musi bowiem towarzyszyć temu nowemu jegomościowi, mężowi swemu, który jest...

Litości, rzekł pan Vollman.

... o wiele młodszym, dokończyłem. Od cię. A jej bardziej rówieśnym.

A ty, wtrącił raptem pan Vollman. Tyś wszak żyły sobie podciął i na kuchennej posadzce do cna się wykrwawił.

Tak, przyznałem. Tom uczynił.

Przed laty, ciągnął pan Vollman.

Przed laty wieloma, przytaknałem.

O Boże, westchnął pan Vollman, a ciało jego pergaminowo cienkim się stało, wstrząsnęły nim drgawki i cała postać jęła się mienić rozmaitymi kształtami, w których przejawiał się był w dawnym miejscu:

Czeladnika o świeżym licu, w kitlu farbą drukarską poplamionym;

Młodego wdowca, co łzy po stracie pierwszej żony ocierał palcami, których paznokcie wciąż nosiły ślady pracy w postaci granatowych obwódok, choć je przed pogrzebem jakby w napadzie natręctwa szorował;

Samotnego jegomości w sile wieku, wyzbytego wszelkiej nadziei, który tylko pracował, pił i (w chwilach przygnębienia) do dziwek chadzał;

Drukarza lat czterdziestu sześciu, ciężkiej budowy ciała, z drewnianymi zębami, który w Nowy Rok ujrzał nagle po drugiej stronie salonu Wickettów promienną młodą pannę (właściwie dziewczę jeszcze) w żółtozielonej sukni i stwierdziwszy w jednej chwili, że nie jest już starym, lecz młodym (pociągającym, żywotnym, szykownym), po raz pierwszy od lat poczuł, że ma nie tylko coś do ofiarowania, ale i kogoś, komu (taką przynajmniej żywił nadzieję) wolno mu będzie ów dar ofiarować.

roger bevins iii

Pójdziemy? - zapytał pan Bevins. - Pójdziemy razem?

I przyjął za kolejną rozmaite swe przysze (a raczej niedosze, niestety) postaci:

Przystojnego młodzieńca, spoglądającego z dziobu statku na rząd żółtych i niebieskich domów, które poczynały majaczyć na dalekim wybrzeżu (a podczas owego rejsu wychędożył go gracko i po wielokroć pewien brazylijski mechanik, niejednego ucząc go przy tym i moc rozkoszy sprawiając) (dzięki czemu pan Bevins się dowiedział, że t a k i e właśnie życie mu służy, czy się to Bogu podoba, czy nie);

Ukontentowanego wieloletniego kochanka pewnego łagodnego, brodatego aptekarza nazwiskiem Reardon;

Zamożnego, zażywnego jegomości w sile wieku, który biednym Reardonem w jego ostatniej chorobie się opiekował;

Starego, niemal stuletniego dziadygi, szczęśliwie wyzwolonego z wszelkich pożądań (mężczyzny, jedzenia, tchu), którego wieziono do kościoła jakimś cudownym wehikułem bez koni, co jechał na gumowych kołach, jak nieustannie strzelająca armata zgiełk czyniąc.

hans vollman

Tak, zgoda, rzekł pan Vollman. Chodźmy. Razem.

roger bevins iii

I poczuliśmy się, jakbyśmy Rubikon przekroczyli. Świadomość własnego stanu była w nas tak silną, że wprost niezaprzeczalną.

hans vollman

Cos nas wszelako wstrzymywało.

roger bevins iii

Wiedzieliśmy, co to takiego.

hans vollman

A raczej kto.

roger bevins iii

Teraz już jednomyślni, frunęliśmy szybowniczym lotem ku wschodowi (zygzakiem, niby ptaki zranione odbijając się od głazów, pagórków i ścian kamiennych domków, bez reszty ogarnięci tym jedynym pragnieniem, aby co najrychlej do celu dotrzeć), to nikać, to znów na mgnienie się pojawiając, słabi i z chwili na chwilę słabnący, ledwie podtrzymywani wciąż jeszcze nie rozwianym ostatkiem wiary w realność własną, coraz dalej na wschód, ażeśmy dolecieli nad samą rubież owego niezamieszkanego pustkowia mierzącego wzdłuż i wszerz kroków kilkaset.

hans vollman

Zamkniętego złowrogim parkanem z żelaza.

roger bevins iii

### CIII

Traynorówna leżała jako zwykle, w parkanie uwięzła i weń wrośnięta, przejawiając się w owej chwili jako miniaturowy, dymiący wrak wagonu kolejowego, a kilkudziesięcioro uwięzionych w niej pasażerów, na wpół zwęglonych i skonania bliskich, wielce nieprzystojne dezyderaty wyszczekiwało, podczas gdy „koła” panny Traynor nie przestawały się obracać, bezlitośnie krając świń kilka, co (jak nam dano do zrozumienia) wagon ów wykoleiły, miały zaś ludzkie twarze tudzież głosy i nader żałośliwie nimi krzyczały, wciąż na nowo miażdżone i druzgotane kręcącymi się kołami, spod których swąd przypalonej wieprzowiny buchał.

hans vollman

Przyszliśmy się pokajać.

roger bevins iii

Za to, żeśmy w porze jej zguby stchórzyli.

hans vollman

Którego to tchórzostwa wspomnienie ni na chwilę gryźć nas potem nie przestało.

roger bevins iii

Wspomnienie pierwszej próby, w którejśmy przeokropnie zawiedli.

hans vollman

Chwili, gdyśmy porzucili ową lepszą naturę z dawnego miejsca wyniesioną.

roger bevins iii

Przed płonącym wagonem stojąc, w głąb niego zawołałem:

Czy mię panna słyszysz? Chcemy ci coś powiedzieć.

hans vollman

Wagon lekko się poruszył na szynach, płomienie w górę skoczyły, a kilka świń, sprawczyń katastrofy, pięknym amerykańskim dialektem, którego słowa z ich bezsprzecznie ludzkich ust się dobywały, oświadczyło nam bez ogródek, że Traynorówny nie da się uratować, ona zaś ratunku bynajmniej nie pragnie, bo nienawidzi tego wszystkiego i nas także, jeśli więc los jej w istocie leży nam na sercu, najlepiej zostawmy ją samą, obecność nasza jedynie bowiem męczarni jej przysparza, już i tak ciężkich, będąc przypomnieniem nadziei, które hołubiła w dawnym miejscu, i tego, kim była, ledwie tu zawitawszy.

roger bevins iii

Wirującą w tańcu młódką.

hans vollman

W letniej, co chwila zmieniającej barwę sukience.

roger bevins iii

Przepraszamy, zawołałem w głąb wagonu. Przepraszamy, żeśmy nie uczynili więcej, aby cię nakłonić do odejścia, kiedy jeszcze miałaś panna wybór.

Lękaliśmy się, dodał pan Bevins. Lękaliśmy się o siebie.  
Baliśmy się, przyznałem. Baliśmy się, że starania nasze spalą na panewce.  
Czuliśmy, że musimy oszczędzać siły, dorzucił pan Bevins.  
Przykro nam, że cię to spotkało, powiedziałem.  
Niezasłużenie, rzekł pan Bevins.  
A zwłaszcza żałujemy, żeśmy nie zostali, aby nieść ci pociechę, gdyś się osuwała.  
Rzeczywiście czmychnęliście jak niepyszni, stwierdziła jedna ze świń.  
hans vollman

Na to wspomnienie panu Vollmanowi grymas bolesny twarz wykrzywił.  
I nagle zaszła w nim zmiana: znowu wydawał się silnym i dziarskim, jak mężczyzna, którym zapewne był w swej drukarni, przed niczym czmychać wcale nie skłonny.  
Po czym przemknął błyskawicą przez swe niedoszłe postaci:  
Rozpromienionego jegomościa w skotłowanym łożu nazajutrz rano po tym, jak on i Anna małżeństwo swe byliby skonsumowali (ona głowę radośnie na piersi by mu złożyła i ręką między nogi sięgnęła, rada wnet znów zacząć);  
Ojca bliźniaczek, co wyglądały jak dwie bledsze, mniejsze Anny;  
Emerytowanego drukarza z chorymi kolanami, którego podtrzymuje onaż Anna, też już starsza, wciąż jednak piękna, gdy razem idą po molo, gawędząc poufale, jakby z nawyku, i nie zawsze ze sobą się zgadzają, porozumiewając się rodzajem szyfru, który z biegiem lat najwidoczniej sobie wypracowali, rozmawiają zaś o bliźniaczkach, dziś już także matkach dzieciom.  
Pan Vollman obrócił się ku mnie z bolesnym, lecz dobrotliwym uśmiechem.  
Nic z tego nigdy się nie ziściło, rzekł. I nigdy się nie ziści.  
Zaczerpnął tchu.  
I w pociąg płonący wstąpił.  
roger bevins iii

W dawnym wagonie restauracyjnym wyraźnie widziałem twarz panny Traynor z tapety w lawendowe paski wyzierającą.  
hans vollman

Panicz Bristol pragnął mię, paniczowie Fellowes i Delway takoz, wieczorami siadywali wokół mnie na trawie, a w oczach płonęło im najzarliwsze, najtkliwsze Pragnienie.  
Fszystko to było bardzo  
A potem Matka słała Annie  
Tak bardzo chciał am Dziecię kochane pszytulić.  
Mógłby pan  
Mógłby pan oddać mi pszyługę Wielką pszyługę  
Wiem doskonale zem nie tak piękną jak niegdyś.  
Mógłby pan sprobować  
Chociazs sprobować  
Zrobić to tu. Zrobić teraz. Czy nie zechce pan  
Wysadzić ten jeb huj guwno dupa gwałt pociąg. Łaskawy panie.  
Odejściem swym  
Jeśli pan raczy Może mię to uwolni Sama nie wiem Niepewnam  
Ale tak długo już tu cierpię.

elise traynor

Spróbuję, powiedziałem.  
hans vollman

Z wnętrza pociągu dobiegł znajomy, lecz zawsze mrozący do szpiku kości huk wystrzału, co wtóruje każdemu zjawisku rozświtu materii.

Pociąg wpadł w dygot, a świny się rozkwiczały.

Rzuciłem się na drogą, błogosławioną ziemię, którą miałem niebawem utracić.

Pociąg wybuchł. Posypały się ławki, strzępy świń, jadłospisy, bagaże, gazety, parasole, damskie kapelusze, męskie buty, tanie powieścicła.

Na kolana się dźwignąwszy, ujrzałem, że pociąg znikł, a miast niego stoi jedynie złowrogi parkan z żelaza.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko odejść.

Acz sprawy świeckie wciąż mocno mię trzymały.

Jako to: dzieci gromadka przez kosolotną zamieć grudniową brnąca; przyjacielska wspólnota przy tytuniu i zapałce pod krzywą od kraksy ulicznej latarnią; zastygły zegar w swej wieży wysokiej ptactwem nawiedzany; zimna woda z cynowego dzbana; po czerwcowym deszczu lgnącej do ciała koszuli ręcznikiem wycieranie.

Perły, szmaty, guziki, włosie dywanu, piwna piana.

Czyjeś dla cię dobre życzenia; ktoś pamięta napisać; ktoś zauważa, żeś nieswój.

Krwawy befsztyk na talerzu śmiercią czerwony; wierzch żywopłotu pod dłonią, kiedy pędzisz spóźniony do budynku szkoły o woni kredy i drzewnego dymu.

W górze gęsi, w dole koniczyna, dźwięk własnego oddechu, gdy go nie starcza.

I jeszcze to, jak wilgoć w oku zamazuje poletko gwiazd; bolesne miejsce na ramieniu od sanek taszczenia; na zamrożonej szybie palcem w rękawiczce imienia ukochanego pisanie.

Buta sznurowanie; supła na paczce wiązanie; czyjeś usta na twoich; dłoń na twej dłoni; koniec dnia, początek dnia; wrażenie, że zawsze będziesz miał przed sobą dzień.

Żegnajcie, trzeba mi teraz pożegnać to wszystko.

Krzyk nura w mroku; skurcz łydki wiosną; w salonie szyi dłonią potarcie; łyk mleka pod koniec dnia.

Krzywonogi pies dumnie wstecz orze trawę, aby skryć niepozorne łajenko; w dolinie masyw chmur kruszeje z upływem godziny, której kieliszek brandy głębi przydaje; zakurzone szczebelki żaluzji uginają się pod twym sunącym palcem, a tymczasem dochodzi południe i musisz coś postanowić; widziałeś to, coś widział, zraniło cię to i wydaje się, że masz tylko jedno wyjście.

Skrwawiona misa z porcelany kolebie się do góry dnem na drewnianej podłodze; skórka pomarańczowa ani drgnie pod ostatnim niedowierzającym tchnieniem pośród warstwy drobniuteńko rozpylonego lata, a zgubny nóż, odłożony w mimochodnej panice na znajomą chwiejną poręcz, upuści potem (wrzuci) Matka (droga Matka) (z sercem rozdartym) w powolne, czekoladowe fale Potomaku.

Żadna z tych rzeczy nie była prawdziwą; nic prawdziwym nie było.

Wszystko było prawdziwym; niepojęcie prawdziwym, nieskończenie drogim.

Te oraz inne rzeczy były zrazu niczym, utajone w bezkresnym bulionie energii, lecz potem nazwaliśmy je i pokochali, wywabiając tą modą z niebytu.

A teraz musimy je utracić.

Ślę to wam, drodzy przyjaciele, nim odejdę, w momentalnym gejzerze myśli, z miejsca,

gdzie czas zwalnia i w końcu ustaje, my zaś możemy odtąd już zawsze żyć w jednej jedynej chwili.

Żegnajcie żegnajcie żegna...

roger bevins iii

## CIV

Caroline, Matthew, Richard i ja leżeliśmy splątani w naszym miejscu nieopodal masztu flagowego: mój interes w ustach Caroline, ona tyłkiem na interes Richarda nadziana, interes Matthew we mnie od tyłca, a intereselem Caroline raczyły się pospołu usta Matthew i mój wyciągnięty palec środkowy, którym ją gładziłem.

pan leonard reedy

Chyba nas ominęła powszechna podnieta.

pani caroline reedy

Bośmy własną podnieta byli pochłonięci.

richard crutcher

Ze jednak zgiełk licznych zjawisk rozświtu materii irytującym się stawał...

pani caroline reedy

Myśmy trzej sflaczeli.

pan leonard reedy

Co dalszą podnieta utrudniło.

pani caroline reedy

Ja, Richard i pan Reedy spodnieśmy podciągnęli, pani Reedy spódnice i bluzkę zapięła, po czym pomknęliśmy wzdłuż parkanu ku owej (słabszej) podniecie.

matthew crutcher

Po drodze pana Bevinsa zoczyliśmy...

pani caroline reedy

Pedryła przeklętego.

richard crutcher

Kłęczał u parkanu, mamrocząc pod nosem.

pan leonard reedy

I nagle ta co zwykle szopka:

Rozbłysk światła, deszcz fatalaszków.

matthew crutcher

I było po Bevinsie.

richard crutcher

## CV

Słońce już prawie wzeszło.

Ci z nas, co przetrwali noc tę upiorną, zbili się w grupki gwoli narady, po czym na krótkie obloty wyprawili, ocalałych szukając.

Nie znaleźliśmy Purdy'ego, Johannes'a ni Crawleya.

Ani Picklera, Eli i Blow, Verny Blow, Appletona, Scarry'ego i Thorne'a.

Brakowało Middena, jako i Goncourta, Cuppa, Edwella i Longstreeta.

Znikł też wolebny Thomas.

Nawet Bevins i Vollman, dwaj spośród naszych najdawniejszych, najwierniejszych rezydentów, odeszli.

Jakżeśmy ich żalowali. Naiwnych. Bredniami niedorostka złamanych. Na zawsze straconych.

Uroczych głupców.

lance durning

Myśmy zaś wciąż tam trwali. Nieprawdaż? Bo jeśli nie, to któż mówił? Któż słyszał?  
percival „szyk” collier

Co za pogrom.

A przecie zdołaliśmy zwiedzić zaledwie maleńki skrawek posesji.

lance durning

Niebawem dzień na dobre jął wstawać, toteż całym ciałem każdego z nas ta co zawsze słabość owładnęła, a wraz z nią nadeszło poczucie malenia, każdy tedy pomknął do swego domku i z obrzydzeniem wstąpił w larwę szpitalną, oczy zamykając lub odwracając, aby nie widzieć, jakie się z niej plugastwo ostało.

robert g. twistings

Gdy zaś wzeszło słońce, każdy w sobie odmówił naszą zwykłą modlitwę:

lawrence t. decroix

Obyśmy wciąż tu byli, kiedy słońce znów zajdzie.

pani antoinette boxer

I obyśmy w tych pierwszych chwilach odzyskanej ruchliwości stwierdzili, że znów ofiarowano nam ów wielki matczyny dar:

robert g. twistings

Czas.

lance durning

Więcej czasu.

percival „szyk” collier



## CVI

Jak zawsze o wschodzie Słońca obie sfery Zjednały się ze sobą i wszystko, co było prawdziwym w Naszej, zyskało też walor prawdy w Ich sferze: wszystkie Kamienie, Drzewa, Krzewy, Wzgórza, Doliny, Strumienie, Sadzawki, Mokradła, Plamy Światła i Cienia się zjednały i były odtąd Tożsame w obu Światach, tych zaś żadną Modą odróżnić się nie dawało.

Wiele Nowych, Dziwnych i Niepokojących rzeczy zdarzyło się minionej nocy.

My, Trzej Kawalerowie, przyglądaliśmy się im z Wyżyn: przepieczni, osobni i Wolni - tak jak lubimy.

Wezwałem swych młodych Podopiecznych do co najrychlejszego Odwrotu ku naszym Skrzyniom Szpitalnym, iżbyśmy Wniknęli.

W to, co tam na nas Czekало.

Stanley „profesorek” lippert

Fu.

gene „łajdak” kane

Nie lubiliśmy wnikać w to coś.

jack „blagier” fuller

Wcale a wcale.

gene „łajdak” kane

Taka jednak była Cena; musieliśmy trwać, Czujni, lecz Nieruchomi, w owych Paskudach, co niegdyś nas Przypominały (ba - wręcz Były nami!) (a myśmy gorąco je Miłowali), dopóty, dopóki Znów nie zapadnie Noc, wtedy zaś Wyrwiemy się z nich na...

Stanley „profesorek” lippert

Wolność.

gene „łajdak” kane

Odzyskaną.

jack „blagier” fuller

Znów będąc prawdziwie sobą.

gene „łajdak” kane

Z Całym Błogosławionym Stworzeniem na powrót przestawać mogąc.

Stanley „profesorek” lippert

I wszystko znowu możliwym będzie.

gene „łajdak” kane

My Trzej nigdyśmy się nie Ożenili ni szczerze nie Kochali, lecz gdy Noc znów zapadnie, to jeśli wciąż Zamieszkiwać tu będziemy, może zdołamy owo „nigdy” wykreślić...

stanicy „profesorek” lippert

Dopóki bowiem nie spotka nas ostateczny kres, „nigdy” właściwie nic nie znaczy.  
jack „magier” fuller

I miłość może jeszcze przypaść nam w udziale.  
gene „łajdak” kane

## CVII

Tom dopiero com kopnął się z latarnią do grobowca Carrollów sprawdzić czy wszystko w porządku i widzę że trumna małego Lincolna ździebko wystaje z wnęki więc ją wepchnął z powrotem o bidulek właśnie dobiega końca naj-pierwsza jego samotna noc spośród wielu które go tu czekają przez wieczność długą a smutną.

Nie mogłem opędzić się od myśli że nasz Philip jest prezydentowiczowi mniej więcej rówieśnym a kiedy się po podwórku naugania do dom wpada rozczochrany płonąc radością życia bo przed chwilą się przekomarzał przez płot z pannami amy i reba leonardównymi a teraz łap za miotłę i z nadmiaru szczęścia szturcha w zasięgnięcie kucharkę panią Alberts a ona się obraca z wielgachną rzepą w ręku żeby mu dać przez łeb ale widzi tę jego rozpromienioną twarz więc rada nie rada rzepę do miski upuszcza a chłopca za szyję chwyta i całusami obsypuje ja zaś ukradkiem miotłę jej podaję żeby mogła w odwecie też dać mu szturchańca w znoszone i podniszczone w zabawach spodnie kiedy będzie czmychał zwycięstwem się napawając a nie lada jaki to szturchaniec skoro owa dama ręce ma jak udźce pieczone o Boże nieznośna jest myśl że to Philip mógłby leżeć w takim miejscu jak to a gdy mię ona nachodzi muszę dziarsko nucić urywek jakowejś melodii zarazem modląc się Nie nie nie zabierz od mnie ten kielich Panie obym odszedł przed wszystkimi których kocham (Philipem Mary Jackiem juniorem i drogą Lydią) chociaż tak też będzie źle bo jak dotrą do kresu to mię zabraknie i im nie pomogę. Tak czy owak to nie do zniesienia o Boże w jakim trudnym położeniu człek tkwi na tym padole Tom drogi przyjacielu Tom łaknę snu czekam przybycia Twego z nadzieją że te myśli smutne a niezdrowe zblakną niebawem gdy tylko ucieszy nas swym widokiem nasz drogi przyjaciel wschodzące Słońce.

Manders, *op. cit.*

## CVIII

Jechałem tedy w owym dżentelmenie cichymi ulicami, wraz z nim konika dosiadając, i nie byłem nieszczęśliwym. Chociaż on sam cierpiał. Czuł, że folgując żalobie, żonę swą tej nocy zaniedbał. A mieli wszak w domu jeszcze jednego synka chorobą złożonego. Którego także mogli stracić. Dziś co prawda mu się polepszyło, lecz los jego wciąż się ważył. Wszystko mogło się stać. Dżentelmen już to wiedział. Ale zapomniał. Jakoś zapomniał o drugim synku.

O Tadzcie. Drogim małym Tadzcie.

Dżentelmen był zaprzątnięty myślami. Nie chciał żyć. Już tego nie pragnął. Życie zbyt ciężkim się stało. Tyle było do zrobienia, a on sobie nie radził, gdyby zaś pokpił sprawę, wszystko wniwecz by się obróciło. Może z czasem (mówił sobie) poprawiłoby się i kto wie, czy w końcu nie byłoby znów całkiem dobrze. Ale właściwie sam w to nie wierzył. Zmagał się. Było mu ciężko. I mnie też. Tkwić w nim. Mimo to postanowiłem tam zostać. Zbliżał się ranek. Zazwyczaj za dnia spoczynkuśmy zażywali. Ściągało nas z powrotem w nasze skorupy i musieliśmy w nich wypoczywać. Lecz tamtej nocy nigdzie mię nie ciągnęło. Morzył mię jednak sen.

Zdrzemnąłem się i osunąłem z dżentelmena w jego konia, który był w owej chwili - poczułem - Cierpliwością wcieloną, od łba aż po kopyta, i lubił swego pana, jam zaś nigdy jeszcze nie czułem, że obrok jest na tym świecie tak dobrą rzeczą, i nie tęskniłem do tyła za *pewną niebieską derką*. Po chwili ocknąłem się, usiadłem prosto i znowu w pełni wtopiłem się w dżentelmena.

I takeśmy jechali w noc, uśpione domy rodaków naszych mijając.  
thomas havens

